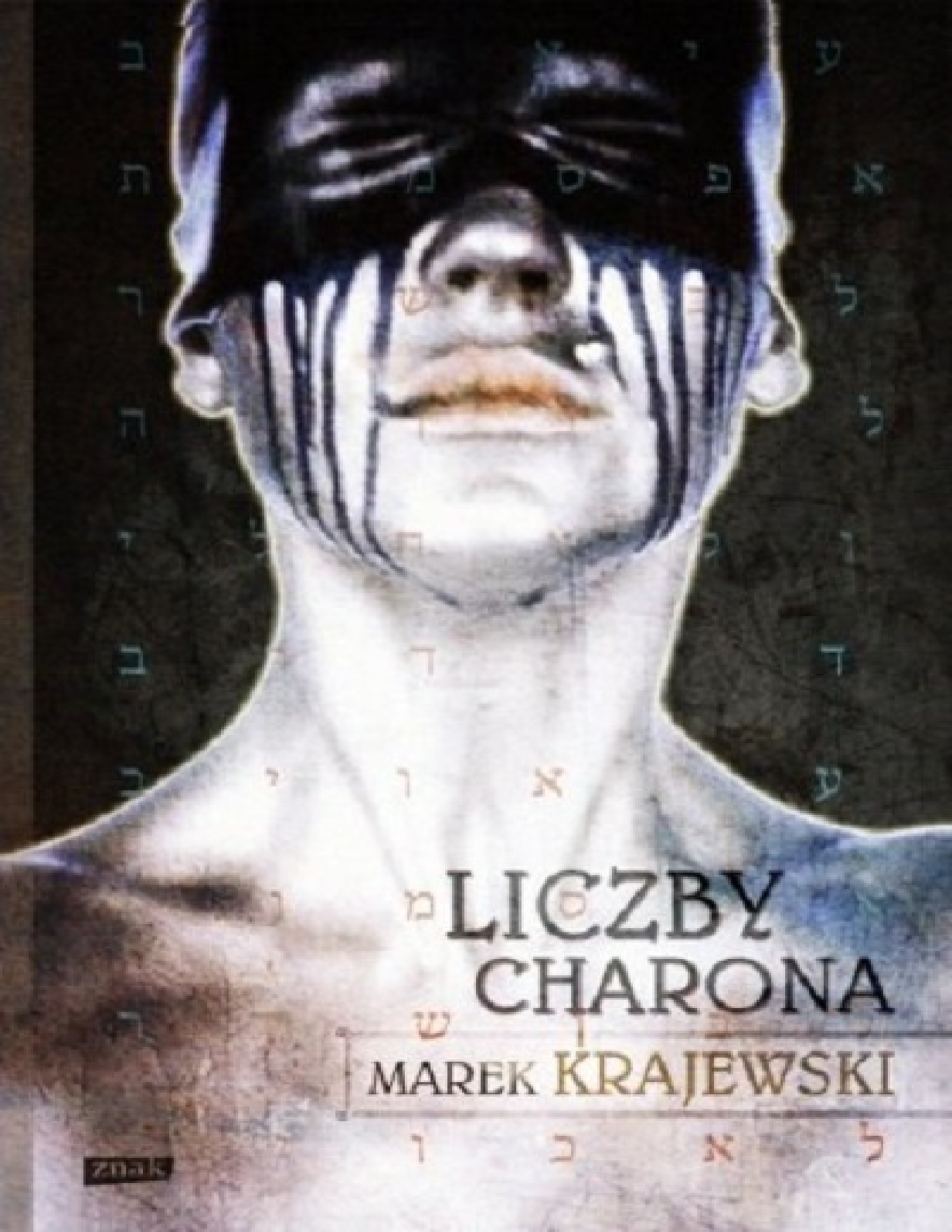
LICZBY
CHARONA
MAREK KRAJEWSKI
znak

MAREK KRAJEWSKI

# LICZBY CHARONA

Tam, dokąd nie umiemy wejść sami, dostajemy się matematyką.
Sporządzamy z niej wózki do poruszania się
w nieludzkich obszarach świata.

Stanisław Lem, Fiasko

## PROLOG

Oslo 1988

TELEWIZYJNY PREZENTER SVERRE ĹSLAND patrzyů z lekcewaýeniem na swojego niechlujnego rozmówcć w sztruksowym garniturze i w zbyt krótkich, postrzćpionych skarpetkach. Nie byů wcale pewien, czy właśnie dzisiejszy występ jest naprawdę, jak go usilnie o tym zapewniano, jego życiową szansą. Po cichu marzył o prowadzeniu drapieżnych wywiadów w programie Twarzą w twarz, emitowanym w niedziele w niedawno powstałej prywatnej stacji TVNorge, albo o zapowiadaniu sobotniego wieczoru w swojej NRK1. Po kilku wdechach konopnego dymu nachodziły go często oszałamiające wizje sławy, nisko opodatkowanych szwajcarskich kont oraz śniadych egzotycznych kobiet – lubieżnych, rozpustnych i czekających z gotowością niewolnic na seksualne poniżenie. Był niecierpliwy i jak zło konieczne traktował wszystkie służbowe polecenia, których wykonanie nie zagwarantowałoby mu dostępu do ekspresowej windy na najwyższe piętra sukcesu. Prychał pogardliwie, kiedy zlecano mu prowadzenie porannego programu dla przedszkolaków, z trudem tłumił ziewnięcia w czasie telewizyjnych interwencji typu „dziura w moście” i nie mógł się wprost powstrzymać, aby nie poprawiać błędów w wypowiedziach emerytów, z ktrymi rozmawiał na przykład o podwyýce cen. Raz czyniů to tak natrćtnie, lekcewaýŕco i zůoúliwie, ýe zapůaciů za to póůrocznŕ zsyůkŕ do regionalnej telewizji w Stavanger. Ta nauczka byůa dla Ĺslanda i smutna, i kształcŕca – po odbyciu kary powróciů do Oslo z podwinićtym ogonem i na swoim biurku postawił oprawioną w ramki łacińską sentencję Per aspera ad astra [1].

Po kilku tygodniach od powrotu zaczął tęsknić do rozmów z dziećmi i emerytami. Zlecenia, które teraz dostawał, a mianowicie rozmowy na żywo z naukowcami przed wtorkowymi filmami popularnonaukowymi, nie były już nudne. Były niebezpieczne. Miały go skompromitować i zniszczyć, choć jego nowy szef zapewniał z fałszywym uśmiechem, że są niepowtarzalną szansą rehabilitacji po niedawnej wpadce. Prezenter odczuwał dotkliwe poniżenie, kiedy musiał dziękować z grzecznym uśmiechem, a potem tracić całe dni na przygotowanie się do nudnych dyskusji z jakimś ekonomistą, biologiem albo filozofem, które wraz z następującymi po nich filmami popularnonaukowymi były wątpliwą konkurencją dla serialu kryminalnego na państwowym kanale drugim. Z dobrze maskowaną irytacją tłumił marzenia o rozwiązłych niewolnicach i o hollywoodzkiej sławie, kiedy wpatrywał się w grube okulary naukowców, których niechlujstwo było wprost proporcjonalne do ich rozrośniętego ego. Coraz czćúciej popeůniaů pomyůki i coraz pobieýniej przygotowywaů sić do rozmów, lekcewaýŕc trud dyýurnych reporterów dostarczajŕcych mu stosy fachowych materiaůów. W telewizyjnych kuluarach zaczćto szeptaă o rychůym końcu Sverrego Ślslanda i o jego młodym następcy, który został niedawno wyłowiony przez szefa w pewnym gejowskim klubie.

Te szepty rozrastały się w potężną kakofonię właśnie teraz, kiedy patrzył na swojego rozmówcę. Był to matematyk, który siedem lat wcześniej wyemigrował z Polski, pracował na uniwersytecie w Trondheim i właśnie otrzymał prestiżową nagrodę Norweskiego Towarzystwa Matematycznego.

O ile poprzednie rozmowy były zaplanowanymi przez szefa zasadzkami, o tyle dzisiejszy wywiad stanowił jawną zapowiedź nokautu. Po pierwsze, matematyk nie najlepiej mówił po norwesku, a za nic nie chciał się zgodzić na rozmowę po angielsku, ponieważ twierdził, że nieużywanie języka gościnnego kraju, który dał mu siedem lat godziwego życia i umożliwił międzynarodową karierę, byłoby olbrzymim faux pas wobec dobroczyńcy – norweskiego rządu. Po drugie, gość programu był nad wyraz arogancki, a swoją nieodwołalną decyzję używania norweskiego oznajmił przed programem niewybrednym, wręcz grubiańskim językiem oraz uderzeniem pięścią w stół. Po trzecie, pochodziů z kraju i z miasta, o których Ślsland nie miaů najmniejszego pojćcia, a informacje na temat Polski i Wrocůawia, które mu zostaůy dostarczone kilka godzin przed programem, byůy tak ýenujŕco skŕpe i stereotypowe, jakby zebrano je

wúród chůopów zatrudniajŕcych polskich robotników na plantacjach truskawek. Po czwarte, Sverre Ísland – poza prostŕ arytmetykŕ – nie miaů pojćcia o matematyce, a „królowŕ nauk” darzyů od czasów szkolnych gůuchŕ i nieprzejednanŕ nienawiúciŕ. Po piŕte wreszcie, nie zdŕýyů obejrzeă wcześniej zapowiadanego filmu, o którym wiedział tylko tyle, że będzie zawierał zagadkę kryminalną. Z zaciśniętymi zębami usiłował porzucić wszelkie obawy i w końcu powziął przewrotny plan, który miał zniwelować wszystkie potencjalne niebezpieczeństwa.

Najpierw postanowił usunąć zagrożenia natury językowej i już na początku wywiadu zadał polskiemu profesorowi skomplikowane pytanie. Zapytał mianowicie z radosnym uśmiechem, czy laureat nie uważa, że przyznanie norweskiej nagrody uczonemu pracującemu na norweskim uniwersytecie nie jest przypadkiem przejawem kumoterstwa. Rozmówca – zgodnie z planem pytającego – nie zrozumiał tego ostatniego, a przecież kluczowego wyrazu i odpowiadał tak mętnie i niezrozumiale, że zniecierpliwiony dziennikarz zaczął się kręcić.

– Szanowni państwo! – nieoczekiwanie gość programu zwrócił się wprost do kamery. – Mówię po norwesku, bo chcę okazać szacunek mojej nowej ojczyźnie, ale już dłużej nie wytrzymam – zrobił przy tym komiczną minę i uderzył się dłonią w udo – takich idiotycznych pytań! Umówmy się, Sverre – wycelował w dziennikarza palcem z nierówno obciętym paznokciem – że głupie pytania zadajesz po angielsku, a niegłupie po norwesku.

– No to musimy zatrudnić tłumacza, który będzie symultanicznie przekładał z angielskiego – uúmiechnŕů sić Ísland. – Bo obawiam sić, ýe jako matematyczny analfabeta bćdć panu zadawaů wyůŕcznie gůupie pytania.

– No, nie musi pan przecież pytać o matematykę.

– Nasz rozmówca – nasz pan i musimy sůuchaă jego ýyczeń. – Ísland z radoúciŕ odnotowaů swój pierwszy mały triumf. – Nie będziemy zatem mówili o matematyce, choć jest ona istotą filmu dokumentalnego, który zaraz państwo obejrzą. Będziemy mówić o Polsce, pańskiej pierwszej ojczyźnie. I o pańskiej małej ojczyźnie, o mieście Wrocławiu.

– Ja nie pochodzę z Wrocławia – odparł matematyk. – Powinien się pan lepiej przygotować.

Ísland poczuů, ýe ýar wytwarzany przez lampy telewizyjne staje sić nie do wytrzymania. Pociů sić obficie. Za chwilć pot wypůynie na jego

upudrowanŕ twarz, na jasnŕ, doskonale skrojoną marynarkę. „Tak, to jest nokaut – pomyślał. – Asystenci podali mi fałszywe informacje o tym polskim skurwysynu”.

– A skąd? – zapytał spokojnie.

– Urodziłem się we wspaniałym europejskim mieście. We Lwowie – sapnął matematyk i otarł pot z czoła.

Cios był celny. Nie do odparcia. Dziennikarz na próżno próbował odszukać w głowie najbardziej choćby skąpe informacje o jakichkolwiek polskich miastach. Nie znalazł tam nic prócz świeżych wiadomości o Wrocławiu oraz bardzo mglistych – o polskiej stolicy, Warszawie. W rezerwuarze jego wiedzy Polska wyprzedzała Angolę tylko jednym punktem, ponieważ w afrykańskim państwie mógłby wskazać tylko jedno miasto, jego stolicę Luandę, i tylko dwoma punktami Patagonię, ponieważ nie przypominał sobie nazwy żadnego patagońskiego miasta, o ile takowe w ogóle istniały. Teraz trzeba dowcipem pokryć zmieszanie, błazenadą zamaskować konfuzję. Albo pozornie się poddać, pokajać i puścić do telewidzów oko: spójrzcie, z jakim nadętym bucem mam do czynienia.

– Nie wszyscy telewidzowie znajŕ to sůynne polskie miasto. – Ísland wybraů to drugie rozwiŕzanie. – Ale moýe czegoú sić o nim dowiemy od pana?

– To prawda, nie znają! – wykrzyknął matematyk. – A nawet pewnie nie wiedzą, że teraz nie jest już polskim miastem! To jest miasto sowieckie, okaleczone, zdewastowane i gnębione przez reżim moskiewski, miasto wyrwane Polsce 17 września 1939 roku, miasto, z którego po wojnie wygnano Polaków, to znaczy pozbawiono go duszy! Wyobraża pan sobie? To tak, jakby nagle Szwedzi zabrali Norwegom Oslo, przyłączyli je do Szwecji i wygnali stamtąd wszystkich norweskich mieszkańców! Mam o tym wszystkim mówić? Mamy na to dość czasu? – zapytał, zwracając się do kamer, i widząc kiwnięcie głową osłupiałego operatora, natychmiast sam sobie odpowiedział: – Tak! Tak! Opowiem wam teraz o tym mieście bez duszy. Od kogóż możecie się tego dowiedzieć, jeśli nie ode mnie?

Ísland nie wierzyů wůasnym uszom i oczom. Przewidywanie klćski okazaůo sić nieuzasadnione. Wszyscy telewidzowie zapamićtajŕ z tego wywiadu krzyczŕcego wariata i spokojnego dziennikarza, który broniů sić jak mógů przed aroganckŕ bestiŕ. Odetchnŕů. Pot wyparowaů równie szybko, jak sić pojawiů. Ísland patrzyů na swego rozmówcć i nagle wydaů mu sić on wrćcz sympatyczny, a jego strój całkiem starannie dobrany.

Fioletowy fular pasował do szarego sztruksowego garnituru, no, może zbyt ciepłego jak na wczesne lato i stanowczo domagającego się żelazka. Na przegubie pobłyskiwał elegancki zegarek, na palcu lśniła gruba obrączka, chyba z białego złota. „Jak mogłem uznać go za niechluja – myślał – przecież to niemal elegant! Ten jego wybuch i przemówienie, które teraz wygłaszał prawie bezbłędnie, pozbawiają mnie całego kłopotu, nie muszę zadawać mu żadnych pytań! A jeśli ktoś postawi mi zarzut bierności, powiem: sam spróbuj przerwać słowotok takiego furiata!”

Profesor zaczął się szarpać z fularem. Poluzował go nieco, nie przerywając przemówienia. Frazy stawały się coraz bardziej wyszukane, nawet ryzykowne, jakby biegłość w języku i obrazowość wysławiania wzrastały wraz z emocjami.

– Polski Lwów byů stolicŕ europejskiej matematyki! – krzyknŕů profesor, po czym nagle sić uspokoiů i zaczŕů mówiă prawie szeptem, ale byů to szept sceniczny i przykuwaů uwagć Ślslanda, kamerzystów i telewidzów równie mocno jak krzyk. – Wiem, że to, co teraz powiem, będzie bardzo ryzykowne, ale powiem to mimo wszystko… Gdybym się nie urodził we Lwowie, nie byłoby mnie tutaj, nie zdobyłbym matematycznego Nobla. To nie wrocławskie lata studiów wśród ruin, to nie krystaliczne dowody z zakresu teorii liczb, do których dochodziłem jako naukowiec we wrocławskim hotelu asystenta – w upale i wśród wyłażących ze zlewu karaluchów – to nie sterylne lata norweskie zrobiły ze mnie matematyka. Stałem się nim dzięki mojemu lwowskiemu pochodzeniu. Dlatego tak zareagowałem, kiedy pan powiedział, że pochodzę z Wrocławia…

„Niedobrze – pomyúlaů Ślsland – profesorek zaczyna ůagodnieă, niemal przepraszaă. Traci agresywne oblicze. Trzeba go nieco rozzůoúciă, by zachowaă wyraęne role: kulturalny dziennikarz kontra rozsierdzony bufon”.

– O ile wiem – wykorzystał zawieszenie głosu przez profesora – źródłem genów są rodzice, nie miejsce urodzenia.

– Genius loci [2] nie ma oczywiście żadnego związku z genetyką – odparł łagodnie bohater wywiadu – oprócz związku etymologicznego. Mimo to pozostaje jakoś zakodowany w każdej komórce mózgu, wytwarza nie zbadane dotąd łańcuchy informacji.

– Trudno mi sobie wyobraziă – Ślsland natychmiast ominŕů ten temat – ýe ów genius loci jest matematyczny, że mieszkańcy Lwowa żyli matematyką i dostała się ona, że tak powiem, do krwiobiegu lwowian…

– Ba! – przerwał profesor. – Ludzie żyli matematyką i umierali przez nią. Była sprawą życia i śmierci. Była ożywcza i śmiercionośna. Jak wirus, który raz zabija, a innym razem wytwarza szczepionkę…

– Jeúli chcecie państwo dowiedzieă sić czegoú wićcej o úmiercionoúnej matematyce Lwowa – tym razem przerwaů Ísland, widzŕc na ogromnym studyjnym minutniku, ýe kończy sić czas wywiadu

to zapraszamy teraz na niezwykle interesujŕcy film dokumentalny pod tytuůem Liczby Charona.

Zgasůy reflektory kamer. W studiu zapadůa cisza. Jeden z kamerzystów skierowaů w stronć Ízlanda wyciŕgnićty kciuk. Pozostali bili mu brawo. Prezenter zamknŕů oczy i natychmiast zapomniaů o mieúcie, któremu wyrwano polskie serce, o matematyce i o skomplikowanych losach Europy Wschodniej, którą traktował jako jeden wielki słowiański amalgamat pod rosyjskim protektoratem. Kiedy do studia wchodził szef, by mu pogratulować i oślinić go judaszowym pocałunkiem, Ísland odpůywaů myślami ku południowym wyspom i ciemnoskórym niewolnicom.

[1] Przez ciernie do gwiazd.

[2] Duch miejsca.

LICZBA WIEDŹMY

(…) cenię sobie wasz ziemski realizm.

Wszystko tu u was jest ustalone, tu formuła, tam geometria, a u nas same jakieś nieoznaczone równania.

Słowa diabła, Fiodor Dostojewski, Bracia Karamazow

I

BYŁO MU BARDZO NIEWYGODNIE w ciasnym kącie na brudnym strychu. Drżał, kiedy pajęcze odnóża łaskotały go po łydkach, klął cicho, kiedy woda kapiąca z dachu wlewała mu się za kołnierz, trząsł się z obrzydzenia, kiedy ponad jego głową, na pochyłym suficie spacerowały wolno gołębie pasożyty, wstrętne, płaskie pluskwiaki gryzące do krwi. Najpierw przypalał je zapalniczką, a potem i ta rozrywka szybko mu spowszedniała.

Tkwił skulony w nienaturalnej pozycji od wielu godzin. Musiał tu przyjść wczesnym rankiem, gdy mieszkańcy domu jeszcze spali. A potem

czekał. Wątpliwym urozmaiceniem długo ciągnących się chwil były idiotyczne rozmowy dwóch wagarowiczów w mundurach rusińskiej szkoły Narodny Dom, którzy znaleźli tu kilkugodzinny papierosowy azyl. Zostali przegnani przez tęgą służącą, a ta po rozwieszeniu wypranej bielizny dostarczyła sporo uciechy brodatemu lokatorowi, który przybiegł tu za nią z rozpiętymi spodniami. Ani sztubacy nikotyniści, ani łyczakowski Romeo, gniotący na odwróconej balii swoją Julię, nie zauważyli go – ukrytego w ciemnym kącie za starą wanną, która była rezerwuarem deszczówki z dziurawego dachu.

Potem nie było już żadnych rozrywek – skręcał się z bólu ścierpniętych nóg, ale jednocześnie cieszyła go bliska perspektywa pojmania staruchy. Tak, przyjdzie tu punktualnie, na słoniowatych nogach pokona wyszczerbione stopnie schodów i zasapana, zastuka w drzwi strychu w umówiony sposób. Potem wlezie bocznymi drzwiami do brudnego i śmierdzącego gołębnika. Na pewno nie okaże obrzydzenia – przecież jej ciało jest mieszkaniem insektów, a brud odłazi warstwami z jej pofałdowanej skóry! Pewnie będzie mrugać zaropiałymi oczami i rozglądać się z głupawym uśmieszkiem. Będzie się rozglądać, aż odchyli głowę do tyłu. A wtedy on zrealizuje swój plan.

Czekał.

Cierpliwie podsycał swoje podniecenie.

Doczekał się. Przed piątą po południu usłyszał kroki na schodach. Sapanie cichło, kiedy jej podbite blachą podeszwy uderzały o schodki, wzmagało się, kiedy przystawała na półpiętrach, aby nabrać oddechu w astmatyczne oskrzela.

Już pokonywała ostatni podest.

Zagryzając zęby ze wstrętu, wszedł przez żelazne drzwiczki do pomieszczenia pokrytego kilkucentymetrową warstwą gołębiego łajna. Ptaki, siedzące na półkach, poruszyły się niespokojnie, lecz nie uciekały w stronę otwartego okna. Te tłuste stworzenia nie bały się ludzi i znały ich zwyczaje. Najpierw zlatywały całym stadem na dziedziniec pobliskiej fabryki tranu i soli kąpielowych Galen i tam w czasie przerwy śniadaniowej pozwalały się karmić okruchami robotniczego i urzędniczego chleba. Potem wypełniały małe boisko na tyłach żeńskiego seminarium nauczycielskiego na ulicy Sakramentek, gdzie w czasie długiej pauzy siadały na ramionach uczennic, kręciły się między ich nogami, a potem, syte i senne, wracały do swojego gołębnika.

Ten niegdyś prywatny stryszek właściciela kamienicy, połączony z publicznym małymi drzwiczkami, miał osobne wejście wprost z klatki schodowej. Gdyby nie smród i łajno, byłby miejscem wprost stworzonym do tajemnych schadzek. Mężczyzna znał dobrze to miejsce. Wszystko zaplanował.

Pomasował obolałe łydki i kolana, słuchał przez chwilę chrapliwego oddechu staruchy. Podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Stara sapała. Odsunął zasuwę i otworzył.

Wbrew jego oczekiwaniom nie odezwała się ani słowem. Stanęła na środku pomieszczenia i spojrzała na niego. Z jednej z półek nad głową staruchy zerwał się gołąb i pofrunął w stronę zakratowanego okienka. Wystraszyła się i uniosła gwałtownie głowę. Odsłoniła pofałdowane podgardle. Na to właśnie czekał.

Zarzucił na nią pętlę i przywarł do pleców kobiety. Rozpaczliwie próbowała zachować równowagę i uwolnić się, ale on kręcił się w kółko wraz z nią. Charczała, zaciskając palce na szorstkiej pętli, a z jej sinego języka kapała piana.

Puścił ją tak nagle, jak zaatakował. Najpierw osunęła się na kolana, a potem runęła na spiętrzone warstwy odchodów. Warczała jak suka, trzymając się za szyję. Na chwilę zniknęła mu z oczu w chmurze kurzu i ptasich piór.

Opadł na nią. Kolanami przycisnął jej ręce. Podniecony, wzniósł się zwycięsko nad jej purpurową twarzą. W dłoni zaciskał pięciocalowy gwóźdź do dekarskich łat. Drugą dłonią szarpnął za jej wysoki kok, sztywny od łojotoku.

Szczęk nożyczek był ostatnim dźwiękiem, jaki do niej dotarł.

Ostatnim uczuciem było ukłucie gwoździa na języku.

Ostatnim widokiem – młot wznoszący się nad jej pomarszczoną twarzą.

## II

EDWARD POPIELSKI SIEDZIAŁ W PODŁYM SZYNKU Bombacha na ulicy Bernsteina i zastanawiał się, jak powstrzymać drżenie prawej nogi. Jego kończyna wpadła w ruch wertykalny, kiedy zasiadł za stołem kwadrans temu. Poczuł wtedy, że obcas jego znoszonego trzewika pośliznął się na zaplutym klepisku. Oparł stopę na palcach, wygiął się mocno do tyłu i przyjrzał się obcasowi. Na szczęście wdepnął jedynie w rozgotowany ziemniak, który komuś wypadł z talerza. Przejechał podeszwą po szorstkim

podłożu i pozbył się przyklejonej pulpy. Teraz obcas był czysty. Porysowany, poorany, ale czysty. Ścięty na końcu pod kątem prawie takim jak obcas westernowych herosów, gwałtownie domagający się podzelowania, żałośnie proszący o reperację, ale lśniący od świeżo nałożonej pasty.

Co gorsza, sporo pozostawiał do życzenia nie tylko obcas, lecz również przednia część buta. Nosek lekko odstawał do góry od podeszwy, tworząc szczelinę, z której Popielski codziennie wydobywał scyzorykiem ziarna piasku. „Mój trzewik przypomina zubożałego arystokratę – myślał – a ja sam jestem niezamożnym pedantem, ubogim dandysem. Ta ostatnia fraza jest oksymoronem, a zatem z logicznego punktu widzenia odnosi się do niczego. Wniosek: jestem nikim”.

Popielskiego zalała fala wściekłości, a jego noga wpadła w nerwową wibrację. „Mogę oddać buty do szewca – myślał, pocierając poczerwieniałą od gniewu łysinę – ale żaden szewc nie naprawi mi ich w ciągu jednego dnia. Każdy mi powie: »Ta pani szanowny, grajcarów ni ma, ta ludzi najgorszy laczki mi tu oddaju, ta kryzys mamy, przyjdź pan, kochaniutki, najszybcij pojutrzy, a meszty [3] bedu jak nowy«. Tak powie każdy szewc – powtarzał w duchu Popielski – a mnie co robić? Ja będę siedział w przymusowym obuwniczym areszcie domowym przez dwa dni, bo te trzewiki są jedynymi, jakie posiadam!” Huknął pięścią w stół, a jego noga miotała się w górę i w dół pomiędzy blatem stołu a klepiskiem.

– Oj, pan kumisarz cóś dzisiaj nie ten tegu – powiedział młody suchotnik, o którego przynależności do zawodu kelnerskiego świadczyły wygryziona przez mole muszka, brudny ręcznik przewieszony przez ramię i butelka wódki Czystej Monopolowej w dłoni. – Jeszczy jedyn sznapsik na dobry humor?

Noga Popielskiego dalej drżała.

– Chcesz mi dokuczyć, szczeniaku? – wysyczał do kelnera. – To mów dalej „kumisarzu”, a policzysz zęby! Każdy dzieciak na Żółkiewskim wie, że ja już nie pracuję w policji!

– Przepraszam szanuwnegu pana. – Młodzieniec odsłonił drobne, poczerniałe zęby i wysokie dziąsła. – Ja tu z tydziń pracuji, ta nie wim, ali tamte wariaty – wskazał głową na barmana – bałakaju, że ten galanty pan to kumisarz, no to ja tyż du pana „pani kumisarzu”.

Gość rozchmurzył się i wskazał palcem na pusty kieliszek i na pusty talerz. Kiedy pierwszy został napełniony wódką, a drugi kapustą na gęsto ze

śladami skwarków, zapłacił, dorzucając pięć groszy napiwku. Nigdy nie sądził, że komplement „galanty” sprawi mu taką przyjemność. Była ona jednak tylko chwilowa. Uświadomił sobie bowiem, że za eleganckiego mogą go teraz uznać jedynie peryferyjne cwaniaki, sprzedajne dziwki albo świeżo upieczeni kelnerzy, do niedawna pucujący kufle w przydrożnych knajpach. Nikt z lepszego towarzystwa nie pomyli się co do jego statusu. Wystarczy jeden rzut oka na półokrągły dopinany kołnierzyk wytarty od twardego zarostu, na poszarpane mankiety, z których jego dziesięcioletnia córka Rita wycinała nożyczkami sterczące nitki, na buty, które blaskiem pasty nie potrafiły ukryć głębokich załamań skóry.

Prawie dwa lata temu się przeliczył, był zbyt pewny siebie, zaufał przyszłości w czasach, gdy nic pewnym nie było. Wtedy to właśnie jego nowy szef, podinspektor Hieronim Kocowski, oznajmił w ostrych słowach: „Urząd Śledczy nie jest prywatnym folwarkiem pana komisarza Popielskiego, do którego ów może przychodzić, kiedy tylko chce, zaczynać pracę po południu, nałogowo się spóźniać i lekceważyć przełożonych”. Notoryczny spóźnialski uśmiechnął się wtedy ironicznie i odpowiedział, że wzrastają zyski wiedeńskiego towarzystwa ubezpieczeniowego Universale, w którym przed ponad trzydziestu laty jego ojciec, inżynier Paulin Popielski, kilka lat przed swoją tragiczną śmiercią ubezpieczył się na życie. Niesubordynowany podwładny nie potrzebuje zatem łaski pana nadkomisarza, podczas gdy pan nadkomisarz potrzebuje pilnie łaski jego, Popielskiego, ponieważ nie jest w stanie sam poprowadzić śledztwa bardziej skomplikowanego niż ściganie koniokradów. Dwa miesiące później przeklinał swoją kłótnię z przełożonym, która poskutkowała nawet próbą rękoczynów i wkrótce dyscyplinarnym zwolnieniem. Wściekał się na swoją pychę, kiedy zduszone światowym kryzysem Universale zbankrutowało i musiał wrócić do dawnego przedpolicyjnego zajęcia. Zaciskał zęby i czekał, aż miną trzy lata od momentu zwolnienia i będzie mógł po upływie tej przewidzianej prawem karencji założyć prywatne biuro dochodzeniowe. Na razie udzielał lekcyj, lecz to zajęcie i tak nie wystarczało na utrzymanie służącej i dużego mieszkania koło Ogrodu Jezuickiego oraz na zapewnienie bytu najbliższej rodzinie: córce Ricie i kuzynce Leokadii Tchorznickiej, zastępującej małej zmarłą matkę.

Kiedy Kocowski w czasie tamtej pamiętnej rozmowy wskazał mu drzwi, wrzeszcząc, że w policji nie ma miejsca dla epileptyków i ślepaków, którzy mogą pracować tylko nocami albo w ciemnych okularach, Popielski

szarpnął zwierzchnikiem tak mocno, że omal nie naderwał mu klapy od marynarki, i powiedział, że epilepsia photogenica [4], na którą cierpi i która wcale mu nie przeszkodziła w odnoszeniu wielu sukcesów śledczych przez prawie dziesięć lat pracy, jest niczym w porównaniu z syphilis mentalis [5] zżerającym mózg naczelnika. Przeklinał później często tamtą gwałtowną reakcję w gabinecie Kocowskiego, kiedy nie mógł zapłacić służącej Hani, a ta poczciwa kobiecina zgodziła się służyć u nich bez pensji, za jedyną zapłatę mając poczucie przynależności do rodziny i przywiązanie małej Rity. Przeklinał swoją wściekłość, kiedy ich piękne mieszkanie na ulicy Kraszewskiego zadeptywali uczniowie, do których tępych głów Leokadia i Edward wlewali pokłosie swoich studiów: ona francuszczyznę, a on – łacinę, grekę i matematykę.

Wypił pół stopki wódki i dźgał łyżką maź kapusty w poszukiwaniu skwarków i podsmażanych plasterków kiełbasy. Przy stoliku obok rozsiadły się dwie kobiety – wymalowane i hałaśliwe. Przyglądał się im dokładnie, taksował ich ciała, a one nie odwracały wzroku. Przypomniał sobie pierwsze zbliżenie z aktorką Stefanią Gorgowicz, swoją późniejszą żoną. Stało się to za kurtyną wiedeńskiego teatru, a on w jednym błysku zrozumiał, dlaczego Francuzi nazywają szczyt rozkoszy „małą śmiercią”. Potem nastąpiły noce ich małżeństwa, a on każdej z nich rodził się i umierał. Pamiętał również lata płatnej rozpusty po śmierci żony – nocne podróżowanie salonką do Krakowa w towarzystwie jednej lub dwóch pierwszorzędnych kurtyzan. Czuł dotyk ich jedwabnej bielizny i zapach drogich perfum; widział we wspomnieniach ich śliskie języki i wygięte ciała, zamglone od kokainy oczy, gdy po nim skakały, i zdławione okrzyki, gdy je mocno dociskał. „To się skończyło – myślał – teraz pozostają mi takie jak te dwie przy stoliku obok, teraz mój wybór to nie »wiotka blondynka czy krągła brunetka?«. Teraz alternatywa moja brzmi: albo locha, albo kij od szczotki”.

Wybrał to drugie. Dosiadł się do kobiet i chudszej z nich szepnął do ucha wysokość jej honorarium, a kiedy ta znacząco mrugnęła pokrytymi tuszem rzęsami, wstał i ruszył w stronę baru. Pstryknął palcami na kelnera suchotnika i wykonał charakterystyczny gest przedramieniem. Chłopak był tu wprawdzie nowy, ale jego kiwnięcie głową zdradzało, że już poznał znaczenie tego gestu i dobrze wie, czemu służy pokoik nad barem. Popielski po drodze odebrał od niego klucze, wszedł na kręcone schody za barem i otworzył drzwi do pomieszczenia rozpusty.

Było ciasne i zaopatrzone w okno z matowej szyby wychodzące na salę. Pierwotnie był tu kantor właściciela, teraz zamiast biurka i półki na dokumenty stały żelazne łóżko, parawan i duże tremo. Popielski usiadł, poluzował krawat i zapalił papierosa – ostatniego z wyliczonych na dzisiaj. Kobieta weszła, uśmiechnęła się i powiedziała coś, czego jej klient w zamyśleniu wcale nie dosłyszał. Nie poprosił jednak o powtórzenie, odwzajemnił jedynie jej uśmiech, milczał i wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Widział mocno zbudowanego, całkiem łysego mężczyznę po czterdziestce. Patrzył na niegdyś czarną, dziś szpakowatą bródkę, na znoszony melonik i sygnet ze znakiem labiryntu.

Kobieta weszła za parawan, powiesiła na nim sukienkę, apaszkę i toczek, po czym nalała wody do miednicy, zdjęła majtki, zakasała halkę i ukucnęła. Między podłogą a dolną krawędzią parawanu widział jej nogi w pocerowanych pończochach i słyszał wodę brzęczącą po miednicy.

Nie czuł nawet śladu pożądania. Od czasu ostatniej przygody z prostytutką, sprzed miesiąca, nie miał kobiety, a mimo to Priap nie dał teraz najmniejszego znaku życia. „Brakuje mi jeszcze dziesięciu lat do platońskiej granicy starości – myślał – a jestem prawie zobojętniały na uroki niewieście. Obwisły, obojętny, całkiem do niczego”.

Kobieta wyszła zza parawanu i podeszła do niego.

– Nie rozebrał si pan jeszczy? – Uśmiechnęła się szeroko. – No na co pan czekasz? Mam zrobić „cium”, mój cukiereczku? – Uklękła przed klientem, podciągając wysoko halkę. Rozchyliła szeroko jego nogi. – Mam panu rozpiąć? – zapytała.

Spojrzał na nią uważnie. W blasku lampy naftowej dostrzegł jej włosy łonowe. Wydały mu się mokre i jakby czymś sklejone. Poczuł mdłości.

Wstał i rzucił dziewczynie dwadzieścia groszy.

– Idę już. To za fatygę! –

O to haman jeden! – wrzeszczała prostytutka, kiedy opuszczał pokój. – O to burmyło jakiś zatylipany! Najpirw chce, a potym ni może!

Kręcone schody prowadziły do głównej sali. Musiał zatem przejść przez całą knajpę, musiał patrzeć na gęby rozwarte w szyderczym śmiechu, widzieć kaprawe oczy, ironiczne spojrzenia, pełne politowania i radości z jego klęski. Musiał słuchać hymnu tej podłej speluny, śpiewanego zdartym głosem przez niewidomego akordeonistę:

U Bombacha fajna wiara,
Wcina precli, ćmi cygara.
A kto z nami trzyma sztamy,
Temu lepij jak u mamy.

Popielski wiedział, że dziwka opowie zaraz wszystkim o jego męskiej niemocy. Żadna już z nim nie pójdzie, żaden kelner nie nazwie go „galantym”. W knajpie Bombacha był od dzisiaj persona non grata [6]. Jeszcze kilka takich wieczorów, a nie będzie mile widziany w żadnej lwowskiej spelunie.

Szedł noga za nogą ulicą Bernsteina, aż doszedł do Gródeckiej. W tym samym tempie przeszedł Brajerowską i usiadł na ławce w Ogrodzie Jezuickim. Patrzył tępo w okna swojego mieszkania i daremnie przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Najważniejsze, że noga już nie drży. Chociaż tyle.

[3] Półbuty.
[4] Padaczka odruchowa wzrokowa.
[5] Kiła umysłowa.
[6] Osobą niemile widzianą.

## III

ASPIRANT WILHELM ZAREMBA WACHLOWAŁ SIĘ MELONIKIEM, a przy nosie trzymał wielką kraciastą chustkę. Nasiąkła ona całkiem zapachami jego kieszeni i wydzielała woń tytoniu i pastylek miętowych Aloe. Lubił tę mieszaninę zapachów i często ją wdychał, aby przypomnieć sobie szczęśliwe chwile dzieciństwa, kiedy wracał spocony z podwórka do domu, a ojciec, dostojny listonosz ze Stanisławowa, ocierał mu pot z czoła chustką, która pachniała miętą i tytoniem.

Teraz trzymał chustkę przy nosie nie po to, by wrócić wspomnieniami do krainy dzieciństwa, lecz by nie dopuścić do nozdrzy odoru, jaki wisiał w pokrytym łajnem i piórami gołębniku.

Źródłem smrodu nie były jednak ptasie odchody, lecz potężne, opuchłe ciało starej kobiety. Zawalało pół pomieszczenia i Zaremba, podobnie jak posterunkowy Socha z komisariatu IV, musiał – aby w nie nie wdepnąć – poruszać się jak baletmistrz pomiędzy rozrzuconymi kończynami martwej kobiety a półkami zajmowanymi przez gołębie.

Zażywnemu Wilhelmowi Zarembie daleko było jednak do tancerza. Chcąc przedostać się na strych przez niskie drzwiczki, stracił równowagę i nastąpił na rękę trupa. Wzdrygnął się na widok napuchniętego przedramienia. Mdłości wywołała w nim zmasakrowana twarz zamordowanej: placek prawie gołej skóry na głowie, otwarte oczy zalane smugami ptasich odchodów.

Poskromił mdłości, przełknął ślinę, przycisnął chustkę do ust i nosa i naparł ramieniem na drzwiczki oddzielające gołębnik od strychu. Po sekundzie z ulgą wciągał w nozdrza zapach prania i krochmalu. Wśród suszących się prześcieradeł stali posterunkowy Socha i niski mężczyzna trzęsący się w kacowych drgawkach. Na widok Zaremby mundurowy zasalutował i zaczął odczytywać głośno swoje notatki.

– „W dniu dzisiejszym ten tu obywatel – Socha wskazał na gołębiarza i z trudem odczytał nazwisko – Soliwoda Tadeusz, lat pięćdziesiąt trzy, wyznanie rzymskokatolickie, pomocnik kamieniarza i hodowca gołębi, zamieszkały Lwów, Skrzyńskiego 6, suterena, znalazł na strychu tejże kamienicy przy tejże Skrzyńskiego 6 zwłoki kobiety… Ostatni raz był tu tydzień temu”. Tyle zdążyłem zapisać, panie aspirancie.

Socha zamilkł, nieco zakłopotany kiepskim tempem swojego przesłuchania. Soliwoda bladością mógłby konkurować ze znalezionym przez siebie trupem.

– Niech pan teraz pisze, panie posterunkowy, dalszy ciąg przesłuchania, które ja przeprowadzę. – Zaremba zainhalował się zapachem mydła do prania, a potem nagle zmienił ton i krzyknął na pomocnika kamieniarza. – Tak rzadko przychodzicie, Soliwoda, do tych swoich śmierdzieli?! Raz na tydzień? Do jasnej cholery! Hodujecie gołębie, ale o nie nie dbacie? Wokół tylko smród i gówno! Chcecie zapłacić grzywnę?! Kto wam udostępnił to pomieszczenie na hodowlę?

– Właścicil kaminicy, pan inżynir Szlomo Gasthalter – zajęczał przerażony Soliwoda. – Ja tu si bardzu częstu katulam [7], pani władzuchnu, ali ostatniu to trochi ten tegu. – Uderzył się kantem dłoni w szyję i próbował się uśmiechnąć, ale zaraz na jego oblicze powróciło przerażenie, bo nie znalazł w oczach aspiranta ani śladu zrozumienia dla alkoholowego gestu.

– Wynajmujecie to pomieszczenie? – policjant dopytywał się surowo. – Ile płacicie? Stać was na to? Wie o tym financ?

– Ja za bezdurnu [8], pani władzuchnu. – Soliwoda przestąpił z nogi na nogę. – Pan Gasthalter ta oszczędny, ta i stróża ni ma. Cóś zreperować, węgil zrzucić – to ja, zawszy ja. Pod chajrem [9]! A za to mogi te ptaszki tu trzymać.

I gołębiarz, i posterunkowy Socha byli zdenerwowani. To szybkie przesłuchanie napawało pierwszego strachem, drugiego zaś irytacją, ponieważ nie mógł nadążyć ze sporządzaniem protokołu. Ślinił ogryzek ołówka i drapał nim nerwowo po kartkach notesu. Zaremba machnął ręką, odwrócił się od nich i wyszedł ze strychu na klatkę schodową.

Ponieważ pora była przedpołudniowa, kłębił się tutaj tłumek tylko kilkunastu osób, składający się ze służących i emerytów. Ludzie buczeli i falowali, jednak nie ośmielili się wstąpić na ostatnie półpiętro, gdzie rozpierał się swym imponującym brzuchem drugi posterunkowy z komisariatu IV, niejaki Janiszewski, i skutecznie zagradzał ciekawskim dostęp do miejsca zbrodni. Kilku ciekawskich robotników w fartuchach pobliskiej Drukarni Mieszczańskiej stało też na galeryjkach, które wisiały nad małym podwórkiem, i usiłowało zajrzeć przez szybkę na strych.

– Co to za hałasy!? – rozsierdzony Zaremba wrzasnął w stronę ludzi na schodach. – Proszę cicho mi tu być, wchodzić na górę i identyfikować zwłoki. – Ujrzawszy konsternację na twarzach ludzi, krzyknął, akcentując każde słowo: – Patrzeć, czy ktoś zna zabitą kobietę! Kto słaby na żołądku, niech nie wchodzi! Zrozumiano?

Ludzie kiwali ze zrozumieniem głowami, a Zaremba spojrzał na posterunkowego Janiszewskiego.

– Proszę ich pojedynczo wpuszczać, panie posterunkowy. Mogą stanąć tylko w progu, nie dalej, aby niczego nie zadeptać. Jak ktoś zakaszle i zechce rzygać, to go natychmiast za łeb i na schody! Niech nikt mi tego gołębnika nie zarzyga! No co się pan tak patrzy? Nie ma pan ochoty tam wchodzić? Rozumiem pana. – Pozwolił sobie na nikły uśmiech. – Ja też nie widziałem nigdy podobnej ohydy. Ale tak trzeba. Ta kobieta nie ma przy sobie dowodu osobistego, wygląda na zaniedbaną pijaczkę. Jakiś jej kompan zgłosi zaginięcie, kiedy wytrzeźwieje i zobaczy brak koleżanki. A to może potrwać… A my musimy ją zidentyfikować jak najszybciej, rozumie pan? No to do dzieła, panie posterunkowy!

Wszedł z powrotem na strych. Tam, wśród prześcieradeł, wciąż stali Socha i gołębiarz Soliwoda. Obaj spojrzeli na Zarembę, a w ich oczach widniało to samo pytanie.

– Do domu, Soliwoda! – zaordynował aspirant, odczekał, aż gołębiarz skwapliwie wykona rozkaz i odejdzie w ukłonach, po czym zwrócił się do Sochy: – A pana, panie posterunkowy, poproszę o obejrzenie strychu, dachu i wszystkich drzwi. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: jeśli zbrodniarz tu nie mieszkał, to jak mógł dostać się na strych i do gołębnika? Tylko niczego proszę nie dotykać!

Socha przystawił drabinę do włazu na dach i zaczął się ostrożnie po niej gramolić. „Same belbasy [10] w tym komisariacie IV” – pomyślał Zaremba, patrząc na jego pękatą sylwetę, i zaraz się zawstydził. Poklepał się ze smutkiem po własnym, też niemałym, bandziochu. Wyzywa w myślach innych od belbasów, a nie dalej jak dzisiaj jakiś mikry batiar, nie wiadomo skąd go rozpoznał na ulicy i wrzasnął nań „spuchlak [11] pulicaj!”. Usłyszał kroki na korytarzu, ściszone rozmowy i skrzypienie desek na podeście, z którego wychodziły dwie pary drzwi: jedne na strych, inne do gołębnika. Rozpoczęła się identyfikacja zwłok.

Poszedł do trzecich drzwi – pomiędzy strychem a gołębnikiem – i ukucnął, zaglądając przez szparę. Obserwował twarze ludzi, którzy stawali w progu i z obrzydzeniem spoglądali na zmasakrowanego trupa. Z tych obserwacyj, które czynił bardzo niechętnie na rozkaz naczelnika Urzędu Śledczego podinspektora Hieronima Kocowskiego, nic jednak nie mogło wyniknąć. Zaremba nie był w stanie zaobserwować jakichkolwiek oznak radości lub chorobliwego zainteresowania, jakie mieli rzekomo okazywać sprawcy przestępstw, którzy, jak twierdził doktór Iwan Pidhirny, często przychodzą na miejsce zbrodni. Ten jeden z najwybitniejszych medyków sądowych i znawców psychologii przestępczej zapoznał się z tą i innymi nowinkami na licznych kursach w Warszawie i zaraził nimi skutecznie nowego naczelnika. Zaremba, obciążony nadmiarem obowiązków, był zdania, że jego szef lepiej by zrobił, gdyby zamiast słuchać psychologicznych sugestyj Pidhirnego, przyjął do pracy nowego śledczego. Szef zaś postąpił zupełnie odwrotnie, niż to sobie roił Zaremba. Nie dość, że nie wystąpił do komendanta wojewódzkiego o nowy etat, to jeszcze po pierwszej lepszej awanturze zwolnił policjanta najlepszego z nich wszystkich, komisarza Edwarda Popielskiego.

Edziu – pomyślał Zaremba – rzeczywiście miał niewyparzoną gębę już w gimnazjum, choć przyznać trzeba, że atakował jedynie w ostateczności i potrafił wiele znieść – jak choćby ciągłe upokorzenia od profesora biologii. Po raz pierwszy jednak w kłótni z Kocowskim postawił wszystko na jednej

szali – i przegrał. Niepotrzebnie walił prosto z mostu temu fircykowi z odgórnego nadania, co o nim sądzi, niepotrzebnie drażnił go swoimi manierami profesora i najwyszukańszą elegancją, niepotrzebnie wciąż rzucał łacińskimi sentencjami i bez jego zgody pracował tylko wieczorami i nocami. Niepotrzebnie usprawiedliwiał swoje nieregulaminowe godziny pracy padaczką, która na dobrą sprawę według wszelkich przepisów wystarczała, by zwolnić go raz na zawsze z pracy w policji. A teraz Edziu jest wydalony ze służby, zawaleni robotą koledzy Kacnelson i Grabski gonią w piętkę, a on sam musi korzystać z pomocy takich głąbów jak te dwa pampuchy z komisariatu IV i – żaden przecież z niego psycholog! – zajmować się obserwacją potencjalnych sprawców, którzy zawsze niby wracają na miejsce zbrodni.

– Gdzie jest Pidhirny, ten geniusz psychologii!? – głośno powiedział do siebie Zaremba, obserwując przez szparę między futryną a drzwiami, jak z obrzydzenia czerwienieje twarz jakiegoś czeladnika. – Czemu on tu nie siedzi, w tych zasranych drzwiach, i nie wdycha tego smrodu? Już dawno powinien być! Zawiadomiłem go przecież dwie godziny temu, konowała jednego!

– Panie aspirancie, już sprawdziłem wszystkie drzwi i włazy na dach. – Socha nieoczekiwanie pojawił się za plecami Zaremby. – Jeśli nie był mieszkańcem tego domu i nie miał kluczy…

– Czekaj pan! – Zaremba patrzył na ostatniego identyfikującego, robotnika w brezentowej bluzie. – Już, już, posterunkowy. No, mówcie, mówcie!

– Musiał mieć klucze na strych albo otworzyć drzwi wytrychem – ciągnął Socha. – Nie mógł się dostać przez dach, chyba że jakąś drabinką linową… Okoliczne kamienice są wyższe od tej… Ta ma tylko jedno piętro. Drzwi na strych są zamykane na łańcuch i kłódkę od strony klatki schodowej. – Wskazał na kawał żelaza wiszący u futryny. – Nie było na nich żadnego śladu włamania… Jeśli wytrychem, musiał być to dobry włamywacz… Może miał klucz dorobiony…

– A tędy? – Zaremba wymierzył palcem w stronę niskich drzwi prowadzących ze strychu do gołębnika. – Przelazł do sąsiedniego pomieszczenia, tak? Te drzwiczki są zamykane?

– Które?

– No, te małe! – ponownie wskazał na wejście do gołębnika.

– Nie – odparł posterunkowy. – Zawsze są otwarte, jak mówił ten Paliwoda…

– Soliwoda – poprawił go aspirant.

– Tak, zawsze są otwarte.

– A drugie drzwi z gołębnika, prowadzące na klatkę schodową?

– Są zamykane na zasuwę od środka. Może był wcześniej w gołębniku. I czekał na starą…

– Nikt by w gołębniku nie wytrzymał od smrodu. – Zaremba nabrał tchu. – Morderca mógł czekać i siedzieć tylko na strychu…

– Na przykład za tym – Socha wskazał wannę wypełnioną do połowy deszczówką.

– Tak, macie rację. A zatem albo był ze staruchą umówiony, albo ona tu w jakimś celu regularnie przychodziła i się na nią zaczaił. W takim razie ktoś z mieszkańców musiałby ją zidentyfikować.

– Melduję, że nikt nie zidentyfikował zmarłej! – wrzasnął posterunkowy Janiszewski, który od dłuższej chwili stał w drzwiach na strych i przysłuchiwał się rozmowie.

– Ja ją zidentyfikowałem – powiedział znany Zarembie głos. – Doktór Iwan Pidhirny wszedł, najwyraźniej nie zauważony, do gołębnika i teraz, przedostając się na strych, wychylił głowę spod niskiej futryny. – Zidentyfikowałem ją. Może nie jestem geniuszem psychologii, jak to pan raczył zauważyć w swoim monologu przed chwilą, aspirancie Zaremba, może i jestem konowałem, ale… – medyk wynurzył się całkiem z małego otworu i stanął wyprostowany przed policjantem – ale syfilityków w tym mieście to ja znałem kiedyś wszystkich.

[7] Przychodzę.

[8] Za darmo.

[9] Słowo honoru!

[10] Tłuściochy.

[11] Grubas.

## IV

NAD OGRODEM JEZUICKIM ZAPADAŁ WIECZORNY PÓŁMROK, który zamazywał kontury przedmiotów. Z okrytymi białym kwieciem krzewami całkiem by się zlały białe studenckie czapki, gdyby nie dym papierosów, który je otaczał. Cylindry dwóch starych Izraelitów

grających w szachy na ławce przy rzeźbie alegorii żywotnych sił natury całkiem by znikły na czarnym tle potężnego dębu, gdyby nie gazowy płomień latarni, który nagle zasyczał i zajaśniał, zapalony przez sędziwego latarnika. Dwie młode dziewczyny, najwyraźniej czekające na swych kawalerów przy wejściu od ulicy Kraszewskiego, niewątpliwie przyciągnęłyby wzrok stojącego na balkonie Popielskiego, gdyby tenże był w swojej zwykłej jurnej formie i w swoim normalnym usposobieniu.

Tymczasem jego jurność zanikała w szybkim tempie, co zostało wczoraj boleśnie wyśmiane przez knajpianą dziwkę, a nastrój miał więcej niż podły, nie tylko zresztą z tego powodu. Palił papierosa skręconego z kiepskiego tytoniu i wpatrywał się w szczupłą postać znikającą na wysokości kawiarni zbudowanej w stylu zakopiańskim. Był to gimnazjalista Heniek Andrusyn, którego ojciec, majster tokarski, ostatkami ciężko zdobywanych pieniędzy podtrzymywał swoje nadzieje na utrzymanie potomka w IV Gimnazjum Klasycznym imienia Długosza. Heniek już po raz drugi repetował z łaciny i Popielskiemu przypadło w udziale trudne i, jak się po kilku lekcjach okazało, niewykonalne zadanie powtórzenia z chłopcem gramatyki łacińskiej na tyle, by był w stanie przetłumaczyć wyjątki z Cezara, Neposa i Fedrusa i otrzymać promocję do klasy piątej. Po każdych korepetycjach z Heńkiem jama ustna korepetytora zamieniała się w Saharę, a jego mózg w skostniałą Antarktydę. Niewielka suma lądowała w portfelu Leokadii, a Edward sięgał po pióro i papier, by napisać w końcu list do ojca chłopca, w którym miał wymówić to zlecenie, a same lekcje określić jako „podtrzymywanie agonii”. Jak dotąd wciąż tego nie uczynił. Przeliczał po raz nie wiadomo który, ile zarobi na ośmiu godzinach korepetycyj miesięcznie, i zamiast po papier listowy sięgał po papierosa, a potem wychodził na balkon, jednym uchem słuchając dziecięcego głosiku Rity, która bawiła się z Hanną w jej służbówce, drugim zaś – monotonnych litanij odmiany francuskich czasowników nieregularnych, jakie dochodziły z pokoju jego kuzynki.

Po zgaszeniu niedopałka zaczerpnął głęboko tchu. Teraz kolejny uczeń, syn dyrektora finansowego Zarządu Miejskiego, niejaki Bolek Szandrowski. Tego piętnastolatka już tak udręczył trygonometrią, że ów potrafił rozwiązywać nawet równania z tej dziedziny. Nauczyciel cieszył się z tego powodu niewymownie, bo dzisiaj mógł z czystym sumieniem przejść do ulubionych przez siebie zagadnień – do trójmianu kwadratowego z jego pięknymi parabolami i z precyzyjnymi wzorami Vičte’a. A potem, po tych

wszystkich korepetycjach, zje z córką i kuzynką placki ziemniaczane, krótko podrzemie, a około dziesiątej usiądzie w ciszy gabinetu w łagodnym świetle lampy z zieloną umbrą, otworzy komedie Plauta i przygotuje się do wykładu, który miesiąc temu zleciło mu studenckie Koło Filologiczne, oferując wcale niemałe honorarium.

Ujrzawszy Bolka Szandrowskiego zbiegającego stromą ulicą wzdłuż parku, Popielski wszedł do mieszkania i zamknął drzwi balkonowe. Napawając się radosnym śmiechem córki dobiegającym ze służbówki, poprawił bonżurkę, sprawdził poziom atramentu w wiecznym watermanie i zasiadł w gabinecie. Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi i Hanna wprowadziła ucznia. Za jej plecami kryła się rozbawiona Rita, która koniecznie chciała rozśmieszyć ojca: stroiła dzikie miny, robiła zeza i oparłszy kciuki na skroniach, machała szybko dłońmi. Potem znacząco zacisnęła dwa palce na nosie.

Popielski, zdziwiwszy się tym ostatnim gestem, uśmiechnął się do dziecka, zamknął drzwi, skinął głową Szandrowskiemu i zażądał od niego zeszytu z zadaniami domowymi. Myślami był daleko – przy kolacji z rodziną i przy rozbieraniu metrycznym Plautowych wierszy, której to trudnej sztuki miał nauczyć przyszłych filologów na zebraniu koła studenckiego. Nic dziwnego, że nie dosłyszał słów ucznia.

– Proszę powtórzyć – Popielski otrząsnął się z zamyślenia.

Szandrowski podszedł bliżej i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Cuchnący oddech wystrzelił z jego ust jak trująca chmura. „Woń gotujących się hormonów z dodatkiem spróchniałych zębów – pomyślał pobladły ze wstrętu Popielski – wyżartych dziur po dropsach i landrynkach w połączeniu z odorem ropy zamkniętej w kanałach zębowych”.

– Nie mam, panie profesorze. – Bolek przestąpił z nogi na nogę. – Nie odrobiłem.

– Dlaczego? – Korepetytor cofnął się z fotelem aż pod okno.

– Nie wiedziałem jak – odparł uczeń. – Zresztą nie miałem czasu. Wracam prosto z zajęć sportowych. Gramy mecz z trójką.

Smród dopadł nozdrzy Popielskiego mimo sporej odległości, o której sądził, że będzie skuteczną blokadą dla odoru. Nauczyciel wyobraził sobie, jak w czasie tej lekcji pochyla się nad Bolkiem i sprawdza podstawiane przez niego wzory. Do śmierdzącego oddechu dołączy się wówczas woń brudnego sportsmena – niemyte stopy, zapleśniałe pachy, sklejone włosy.

Wyobraźnia Popielskiego wyzwoliła silny skurcz żołądka, do ust napłynęła mu ślina.

Szybko wstał, otworzył okno i wyjrzał na podwórze. Odór smoły, kurzu i pomyj był cudownym zapachem z porównaniu z miazmatami, jakie wydzielał uczeń. Popielski nabrał powietrza i odwrócił się do chłopaka.

– Proszę stąd wyjść i nie przychodzić tu więcej w takim stanie! – powiedział powoli, aby jak najdłużej być na wydechu.

– A niby w jakim to stanie? – zapytał hardo Szandrowski.

– Po zajęciach sportowych.

– A to dlaczego? – chłopak podniósł głos.

– Bo śmierdzisz nieznośnie! Jak kloaka!

Uczeń schował zeszyty i spoglądał długo na nauczyciela. Ten nie mógł dobrze zinterpretować przeciągłego spojrzenia. Mogło oznaczać pokorę lub gniew.

– Ja też mam dość pana. – Oznaczało to drugie. – I widoku pańskiej łysej pały!

Ta dłuższa wypowiedź Szandrowskiego omal nie powaliła Popielskiego smrodem.

– Won!!! – ryknął.

Uczeń splunął na dywan i wybiegł szybko z mieszkania. Popielski nie gonił go. Po pierwsze, efekt jego pościgu za sportsmenem byłby marny, a po drugie – dogonienie wiązałoby się z osobistym kontaktem. A tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Był szczęśliwy, że już nie musi obcować z Bolkiem Szandrowskim, że stoi w otwartym oknie gabinetu i wdycha aromaty przegrzanego podwórka.

Do gabinetu wbiegła Rita.

– Papo, czemu ten pan tak szybko od papy wyszedł?

– Bo był nieprzygotowany do lekcyj, moja mała, i nakrzyczałem na niego. Widzisz? Musisz być zawsze dobrze przygotowaną, bo inaczej pan profesor nakrzyczy na ciebie w szkole.

Popielski chwycił dziecko i przytulił je mocno. Wdychał z czułością zapach taniego szamponu bijący z mytych często włosów córki, delektował się jej czystym oddechem.

– Pójdziemy teraz na juraszki do Zalewskiego, kochanie?

– Nie zdążysz, Edwardzie. – Leokadia stanęła w drzwiach i kiwnęła głową uczennicy, z którą właśnie skończyła lekcje francuskiego. – Poza tym juraszki to już dla nas zbyt drogi gips.

Ojciec i córka spojrzeli na Leokadię. Taksowali jej szczupłą i zgrabną sylwetkę, pociągłą twarz, nienaganny makijaż i włosy równo przycięte nad karkiem. I każde z nich zwróciło uwagę na coś innego: ojciec na pończochy kuzynki przyniesione dzisiaj przez Hannę od „artystycznej repasacji” i na pomalowane na karminowo paznokcie; dziecko na zacięte usta ciotki, które przed chwilą zakazały jej wyjścia z tatusiem na ulubione pierniki.

– A dlaczegóż to nie zdążymy, Lodziu? – zapytał Edward, targany złymi przeczuciami.

– Bo za czterdzieści minut – Leokadia spojrzała na zegarek, a potem do notesu, z którym się nie rozstawała – przychodzi ostatni uczeń, Artur Batler. Masz z nim tłumaczyć Ksenofonta.

Popielski zacisnął szczęki tak mocno, że ich mięśnie zadrgały pod skórą. Wyjął z kieszeni złotówkę, starannie ją obejrzał i schował z powrotem. Potem podał rękę córce i wyszedł z nią do przedpokoju, mijając bez słowa Leokadię i nie patrząc jej w oczy. Mała, uczepiona ojcowskiej dłoni, podskakiwała wesoło.

– Ubierz się, kochanie! – powiedział ojciec. – Idziemy na juraszki!

Leokadia spoglądała na Edwarda bez wyrazu. Notes był jakby przyklejony do jej bezwładnie opuszczonej dłoni. Widniały w nim równo zapisane terminy korepetycyj i tabelki z podsumowaniem codziennych wydatków.

– Wyrzuciłeś dziś jednego ucznia – powiedziała Leokadia po niemiecku, aby Rita nie rozumiała. – I nie przyjmiesz drugiego. Straciliśmy całe pięć złotych.

– Oddam ci dubeltowo – odpowiedział w tymże języku, przecierając buty z kurzu miękką szmatką i unikając wzroku kuzynki.

Znała bardzo dobrze te obietnice bez pokrycia. Namnożyło się ich sporo w ostatnich dwóch latach. Wiele sobie obiecywała po Edwardzie, ale od dekady nic się nie zmieniało. Chyba że na gorsze. Cały świat ulegał złym przemianom. Oszczędności topniały, ludzie, zgnębieni kryzysem rzucali się z okien hotelu „George’a”, jak ostatnio pewien właściciel ziemski z Wołynia, a mała Rita coraz bardziej jej nie lubiła. Tylko piwnozielone oczy Edwarda niezmiennie emanowały tępym uporem.

– Co mam powiedzieć Arturowi Batlerowi, kiedy przyjdzie? – zapytała cicho.

– Moja droga, mów, proszę, wszystkim moim uczniom tylko jedno – powiedział powoli, patrząc zdecydowanie w jej wielkie oczy – żeby

używali mydła i proszku do zębów.

## V

NACZELNIKOWI URZĘDU ŚLEDCZEGO Hieronimowi Kocowskiemu zaufany szpicel już dawno doniósł, iż podwładni nazywają go Darem Stolicy. Przyjął to przezwisko nader spokojnie, bo zdawał sobie sprawę, że we Lwowie człowiek z zewnątrz, i to w dodatku z Warszawy, nie może liczyć na przyjęcie z fanfarami. Lwowiacy wykazywali bowiem jakieś galicyjskie i metropolitalne samouwielbienie, które na szczęście nie było zapieke i nienawistne, lecz raczej wyrozumiałe i łagodne. Wyrażało się ono nie w niechęci czy w agresji, lecz raczej w traktowaniu z góry każdego „nielwowskiego pacana", któremu wciąż trzeba tłumaczyć: „A u nas, we Lwowi"…

O ile jednak Kocowski mógł przymknąć oko na lwowski patriotyzm, o tyle nie mógł się zgodzić, aby podważał on jego zawodową pozycję. A tak właśnie się stało, gdy po raz pierwszy zjawił się w nowym miejscu pracy. Po przekroczeniu progu dawnej siedziby austriackiej żandarmerii spotkał swego pierwszego donosiciela. Podszedł do niego wówczas pewien pracownik, pokłonił się uniżenie i wyszeptał mu na ucho, że przyszli podwładni widzieliby na tym stanowisku nie jego, lecz kogoś spośród nich samych. Wtedy naczelnik usłyszał po raz pierwszy nazwisko i natychmiast je znienawidził.

Człowieka o tym nazwisku nie było już pośród ludzi, którzy teraz gabinet zwierzchnika napełniali wonnym dymem dobrego tytoniu. Zgromadzeni wysłuchali właśnie donośnego głosu aspiranta Wilhelma Zaremby i jego relacji z miejsca zbrodni i wpatrywali się w szarą kopertę leżącą demonstracyjnie na środku biurka naczelnika. Widniał na niej napis „Wielmożny Pan Naczelnik Hieronim Kocowski".

– Dobrze, dziękujemy już panu aspirantowi Zarembie. – Adresat listu podrapał się po dłoni. – Zanim przejdziemy do sensacyjnej zawartości tej koperty – podjął nowy wątek, a wspomniany przedmiot przesunął po blacie i spojrzał znacząco na doktora Iwana Pidhirnego – poprosimy, aby pan doktór podzielić się z nami raczył swoimi ważkimi spostrzeżeniami.

– Tak, moi panowie – odparł Pidhirny, na którym dworska uprzejmość naczelnika nie zrobiła większego wrażenia – zacznijmy od identyfikacji. Zamordowana to Luba Bajdykowa, lat sześćdziesiąt, wyznania rzymskokatolickiego, zamieszkała na Lewandówce przy Szewczenki.

Znałem ją osobiście, ponieważ była moją pacjentką w czasach, gdy praktykowałem jako lekarz chorób płciowych. Otóż Luba Bajdykowa, moi panowie, trudniła się wróżbiarstwem i pamiętam, że jako sprawcę zakażenia wskazała jednego z klientów, którym wróżyła. Dobrze to pamiętam, bo nie codziennie ma się pacjentkę worożychę [12]. Tak, moi panowie, pani Bajdykowa stawiała karty, wróżyła z kuli, a co najciekawsze, obliczała również horoskopy…

Medyk przerwał, by zapalić papierosa, i zapatrzył się w dyplom naczelnika informujący o zajęciu przez tegoż pierwszego miejsca w konkursie strzeleckim dla wyższych oficerów policji, zorganizowanym w Sarnach równo rok wcześniej.

– Dlaczego pan mówi, że jej działalność astrologiczna „to najciekawsze”? – zapytał aspirant Walerian Grabski, policjant o wyglądzie i umysłowości poczciwego i nader dokładnego urzędnika. – Worożycha to worożycha, nieważne, czy wróży z gwiazd, czy z fusów… Dlaczegóż ta astrologia miałaby być czymś wyjątkowym?

– Trochę się pan myli, panie aspirancie – wtrącił się młody przodownik Herman Kacnelson, którego cięty język i wyszukana elegancja przypominały Kocowskiemu znienawidzonego przez siebie człowieka. – Wstępna praca astrologa polega na dokonywaniu skomplikowanych obliczeń. Do jej uprawiania nie wystarczy szklana kula, czarny kot na parapecie i kilka wódek dla elokwencji.

– Ma pan rację. – Pidhirny kiwnął głową. – Luba Bajdykowa sporządzała skomplikowane horoskopy…

– A może w tej kopercie jest horoskop? – Kacnelson nie wytrzymał i spojrzał na biurko.

– Cierpliwości, przodowniku. – Kocowski sprawiał wrażenie, jakby chciał uderzyć podwładnego po łapach. – Zaraz poznamy jej zawartość.

– Otóż odpowiadam na pytanie aspiranta Grabskiego – ciągnął Pidhirny. – Powiedziałem, że działalność astrologiczna zabitej była czymś najciekawszym, ponieważ kojarzymy takich ludzi, no… z jakąś elegancją, wytwornością. Przyjmują interesantów w dobrych dzielnicach, w gabinetach mają kunsztowne ozdoby, katalogi jak w bibliotece…

– Różnie z tym bywa. – Zaremba roześmiał się. – Pamiętacie panowie sprawę rzekomego profesora Mariniego? Okazał się Anglikiem z Kołomyi [13], zwykłym hebesem [14], który wróżył w szopie. Zobaczmy, może w tej kopercie są akta jakichś wróżbitów… A może samej zamordowanej…

– Do rzeczy! – ofuknął go Kocowski. – Proszę wysłuchać relacji doktora. Przypominam panom, gdyby któryś z was jeszcze nie wiedział, że nasze zebranie to odprawa śledcza, a nie pogawędka ani wspomnienia z dawnych chwalebnych lat! I proszę nie ekscytować się zawartością mojej koperty jak sztubaki w tingel -tanglu!

– Luba Bajdyk – doktór zaakcentował to nazwisko na ostatnią sylabę – nie była elegancka ani wytworna. Była brudna, zaniedbana i chora. Poza astmą i cukrzycą cierpiała na dwa groźniejsze schorzenia, co wykazała moja autopsja. Pierwsze to marskość wątroby. Ten organ był powiększony, twardy i usiany guzkami – typowa cirrhosis hepatis właściwa alkoholikom. Pozostało jej nie więcej niż dwa, trzy lata życia, gdyby nie różne zmiany narządowe posyfilityczne… Tak, drodzy panowie – medyk napawał się zdziwionymi spojrzeniami policjantów – ta wróżka miała ostatnie stadium luesu. W czasie pierwszej i jedynej wizyty u mnie, dobrych kilka lat temu, przepisałem jej salwarsan. Więcej już do mnie nie przyszła. Może jej się wydawało, że zwalczyła syfilis? A tymczasem on zżerał ją od środka… Otóż to tyle, drodzy panowie, o jej identyfikacji i schorzeniach. A teraz co do okoliczności śmierci… Została zaatakowana od tyłu. Świadczą o tym rozleglejsze obrażenia na przodzie szyi. Właśnie tam stwierdziłem głęboką bruzdę, uczynioną czymś długim, wąskim i szorstkim, może sznurem? Jednak śmierć nie nastąpiła w wyniku zadzierzgnięcia, o nie! Pętla nieubłaganie ją dławiła i wtedy prawdopodobnie utraciła na chwilę przytomność, co zapewne wykorzystał sprawca do tego. – Otworzył swoją elegancką aktówkę z tłoczonej skóry i wyjął z niej szczypcami pięciocalowy gwóźdź. – Otworzył jej usta i poprowadził ten oto gwóźdź po podniebieniu, aby go przymierzyć w odpowiednie miejsce, a następnie go mocno wbił. Ostrze weszło w mlecz, czyli w stos pacierzowy, od razu. Śmierć była natychmiastowa. To wszystko, co mam panom do powiedzenia.

– A co można wywnioskować o mordercy na podstawie analizy śladów na miejscu zbrodni? – Kocowski podszedł do okna, otworzył je i do zadymionego wnętrza wpłynęło świeże powietrze wraz z okrzykami dzieci tłoczących się pod źródełkiem bijącym z kranu przy murze kościoła.

– Może był dekarzem – wtrącił się Zaremba. – To typowy gwóźdź do dekarskich…

– Raczej lekarzem – zauważył Kacnelson. – Zwykły bandzior wbiłby jej gwóźdź po prostu w głowę. A ten musiał wiedzieć, gdzie jest mlecz. Który z panów to wie?

– Słuszny wniosek. – Pidhirny spojrzał na Kacnelsona z uznaniem. – Morderca może nie był medykiem, ale na pewno miał jakieś pojęcie o anatomii człowieka. Gwóźdź wbity w czoło uśmierci może w połowie wypadków, natomiast gwóźdź wbity w mlecz – zawsze i natychmiast. A gwoździe dekarskie – teraz spojrzał na Zarembę z pewnym politowaniem – są do kupienia w każdym sklepie żelaznym i kupujący nie musi się legitymować przynależnością do cechu dekarzy.

Medyk umilkł i zamyślił się głęboko.

– Ale jeszcze jedno, doktorze! Najważniejsze! – ponaglił Kocowski.

– Najważniejsze i przerażające – dopowiedział Pidhirny. – Zmarła miała nad czołem wycięte włosy. Ten placek gołej skóry tworzy jakby nieregularny równoległobok. Sprawca może być perwersantem, wycinać kobiece włosy i ekscytować się nimi. A oto inne moje wnioski. Prawie pewne jest to, że był znajomym ofiary. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Luba Bajdykowa nie mieszkała w miejscu zamordowania i nikt jej tam nie znał… Co by tam robiła, gdyby nie była z kimś umówiona? A umówić się mogła na obskurnym strychu tylko z kimś, kto jej słono zapłacił, albo z kimś, kogo się nie obawiała, ergo kto był jej znany. Po drugie, w jej stanie zdrowia taka wyprawa na koniec miasta i wchodzenie po schodach na poddasze były bardzo wyczerpujące. Musiała mieć zatem ważny powód, by wspinać się do tego gołębnika. Sądzę, że sprawca ją czymś zwabił, może coś jej obiecał, a na pewno wcześniej się z nią umówił. A zatem to drugi argument, że musiał ją znać. Jeśli morderca siedział na strychu za wanienką i czekał na ofiarę, co słusznie, moim zdaniem, zostało zasugerowane w raporcie pana Zaremby, możemy o nim powiedzieć, że jest cierpliwy i systematyczny, że znał ten strych i jego połączenie z gołębnikiem wcześniej, że podrobił klucz albo wykorzystał idealnie dopasowany wytrych. Może być włamywaczem albo ślusarzem… Jest pan rozczarowany, panie naczelniku – spojrzał na Kocowskiego – że wiem o nim tak mało? To wcale nie mało – odpowiedział na wyimaginowany zarzut, choć naczelnik czynił znaki, że wcale nie jest rozczarowany. – Przykro mi. Jestem tylko psychologiem i patologiem, nie czarodziejem. Nie potrafię wywnioskować narodowości przestępcy z jednego pozostawionego przez niego peta, który policjanci z komisariatu IV znaleźli za wanną.

– Na szczęście nie musimy się już martwić o jego narodowość. – Kocowski rozparł się wygodnie w swoim fotelu i siorbnął herbaty ze szklanki. – Wiemy na pewno, że nie jest Polakiem.

Zapadła cisza. Naczelnik sięgnął po tajemniczą kopertę. Szczypcami medyka wyjął z niej jakąś kartkę i położył na biurku. Widniał na niej rząd hebrajskich liter, najwyraźniej wyciętych z jakiejś żydowskiej gazety. Guma arabska wypłynęła spod kilku wyciętych kwadratów i stężała na ich brzegach.

– Otrzymałem tę zaadresowaną do mnie kopertę dziś rano. Ktoś ją wrzucił do naszej skrzynki anonimowych doniesień. Żadnych odcisków palców. Trzydzieści sześć hebrajskich liter pisanych jedna za drugą, bez żadnej przerwy, w jednej linijce. Jakby jedno trzydziestoześcioliterowe słowo. Czy może nam pan coś z tego przetłumaczyć, panie Kacnelson?

– To, że noszę dziwne nazwisko – odparł gniewnie zapytany, nawet nie patrząc na wycinankę – nie znaczy, że muszę znać hebrajski. Być może mam jakichś żydowskich przodków jak wielu Polaków! A moje nieszczęsne imię Herman jest, jak pan naczelnik doskonale wie, niemieckie, nie żydowskie!

– Ależ oczywiście – poparł go Zaremba. – Znajomość hebrajszczyzny nie jest zarezerwowana dla osób o mniej lub bardziej pewnym żydowskim pochodzeniu. Znamy wszyscy bardzo dobrze Polaka, który tu pracował do niedawna… On zna świetnie języki starożytne, w tym hebrajski biblijny…

– Niech pan mi nawet nie wspomina o Popielskim, o tym pijaku i degeneracie! – krzyknął Kocowski.

– Ponadto wciąż nie rozumiem – ciągnął uparcie Zaremba – co to długie słowo ma wspólnego z Lubą Bajdykową.

– Do tej przesyłki coś dołączono. – Kocowski z ulgą przyjął zejście rozmowy z tematu swego dawnego podwładnego.

Zapadła cisza, naczelnik się uspokoił i uśmiechał tajemniczo, najwyraźniej bawiła go rola iluzjonisty wyciągającego królika z cylindra. Znów sięgnął do koperty i wyjął z niej szczypcami kłąb tłustych włosów.

– Może nam pan zechce powiedzieć, doktorze, co to mianowicie jest. – Spojrzał na medyka i rozżarzonym końcem papierosa zakreślił krąg wokół leżącego przedmiotu.

– Nie ma żadnej wątpliwości – Pidhirny wstał i powiódł po zebranych nauczycielskim wzrokiem – że są to włosy zamordowanej Luby Bajdykowej, które jej wycięto nad czołem.

Zapadło milczenie, które przerwał Zaremba.

– Kogoś wśród nas brakuje – powiedział. – Pewnego degenerata. Zabił jeden degenerat, czyli ta sprawa jest w sam raz dla drugiego degenerata.

[12] Wróżkę.
[13] Pozerem, fałszywym elegantem.
[14] Głupkiem, tępakiem.

VI

OSTATNI RAZ EDWARD POPIELSKI STAŁ na uniwersyteckiej katedrze w roku 1907. Miał wtedy lat dwadzieścia jeden, był przepełniony naukowym zapałem, zachwycał się teorią Cantora i roił marzenia o wtargnięciu w świat matematycznej nieskończoności. Dwadzieścia trzy lata temu był w Wiedniu duszny kwietniowy dzień. Popielski dobrze go zapamiętał, bo wtedy właśnie ujrzał zwiastun strasznej choroby, dotąd uśpionej i przyczajonej. Tamtego właśnie dnia poprosił profesora Franza Mertensa, aby mu pozwolił publicznie przedstawić pewną wątpliwość co do dowodu Königa na Gaussowe prawo wzajemności. Nad dowodem tym Popielski siedział od tygodnia i wydawało mu się, że znalazł w nim pewną lukę. Już miał wskazać profesorowi i kolegom z Seminarium Matematycznego Uniwersytetu Wiedeńskiego punkt krytyczny, w którym jedna formuła w sposób pozornie oczywisty wynika z innej, kiedy poczuł ostry zawrót głowy i całkowicie zapomniał, na czym polega słabość wywodu Königa. Po kilku minutach tępego wpatrywania się w tablicę targnęły nim lekkie drgawki i z przeraźliwą pustką w głowie zszedł z katedry, odprowadzany zdziwionym wzrokiem profesora Mertensa i ironicznymi spojrzeniami kolegów. Tydzień później, w czasie szachowej rozgrywki w parku Prater doznał pierwszego od czasów dzieciństwa napadu epilepsji. Zawrót głowy w Mathematisches Seminar i atak w parku miały, jak to stwierdził nazajutrz sędziwy i znany medyk wiedeński doktór Samuel Mond, tę samą przyczynę: promienie światła rozszczepionego liśćmi i gałęziami drzew. To one powodują epilepsiam photogenicam – zdiagnozował doktór i nakazał unikania wszelkiego migotania światła, zwłaszcza dziennego. To w praktyce wiązało się z codziennym noszeniem ciemnych okularów i z przejściem na wieczorno-nocną aktywność życiową. W ten oto sposób młody Edward Popielski musiał zrezygnować ze studiów matematycznych, których poranny plan zajęć wiązał się z nieuniknionym rozświetlaniem słońcem wychodzących na wschód okien sali wykładowej, i wybrać inne studium i inne wykłady – takie, które odbywały się o zmroku. Gros takich zajęć oferowało tylko uniwersyteckie seminarium filologiczne i

nieszczęsny epileptyk w krótkim czasie musiał się przemienić z matematyka w studenta języków klasycznych. Pochodzący z Wielkopolski profesor Franz Mertens pocieszał go po polsku, podkreślając, iż od matematyki nie jest tak bardzo daleko do greckiej i łacińskiej gramatyki i metryki, po czym ofiarował mu na odchodne dysertację doktorską, którą napisał był po łacinie i opatrzył kunsztownym tytułem De functione potentiali duarum ellipsoidium homogenearum [15]. Słowa profesora Popielski wziął sobie mocno do serca i jako filolog poświęcił się wyłącznie gramatyce historycznej oraz archaicznej metryce łacińskiej i z tej ostatniej dziedziny doktoryzował się w roku 1914. Z „królowej nauk" jednak całkiem nie zrezygnował, ponieważ to korepetycje z matematyki i pobocznie z łaciny dawały mu utrzymanie w okresie przedpolicyjnym i popolicyjnym, czyli od końca wojny do roku 1921 i siedem lat później, kiedy został przez Kocowskiego z hukiem wyrzucony z Urzędu Śledczego lwowskiej policji.

Teraz, dwadzieścia trzy lata po wiedeńskim zaćmieniu, stał za pulpitem wykładowym w Zakładzie Filologii Klasycznej lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza i porządkował przed wykładem swe notatki. By nie dopuścić paraliżującej myśli o powtórce wiedeńskiego zdarzenia, starał się skupić wyłącznie na temacie wykładu. Dla ułatwienia koncentracji zamknął oczy, wdychał wiosenne aromaty dochodzące przez otwarte okno i jakby z oddali słuchał słowa wstępnego, które wygłaszał wychudły student w binoklach, przewodniczący młodzieżowego Koła Filologicznego. Po konwencjonalnych słowach podziękowania za wsparcie organizacyjne skierowanych do nieobecnego dzisiaj prezesa nauczycielskiej komisji egzaminacyjnej profesora Konstantego Chylińskiego student przeszedł do rzeczy.

– Na artykuł pana doktora Popielskiego – zacinał się mówca, odczytując swe notatki – pod tytułem Versuch einer quasi-matematischen Analyse des plautinischen Sprachverses [16] natrafiłem zupełnym przypadkiem w „Sprawozdaniach Dyrekcyi Cesarsko-Królewskiego Gimnazyum w Przemyślu" za rok 1914, w którym to właśnie roku pan doktór pracował w tymże zakładzie naukowym jako suplent. Publikację ową przeczytałem nie bez trudności, lecz z wielkim zainteresowaniem, ponieważ ma ona świetne zastosowanie praktyczne i ułatwia rozbiór wierszy Plauta, co jest dla niektórych moich kolegów piętą achillesową, bynajmniej nie dlatego, że nasi profesorowie źle tego nauczają. – Student spojrzał z niejaką obawą na

profesora Jerzego Kłapkowskiego, który siedział na skórzanym fotelu osobno, przed całym audytorium. – Ależ nie! To po prostu jest bardzo trudne dla kogoś, kto nie przerabiał Plauta i Terencjusza w gimnazjum. A dziś, niestety, nie przerabia się już tych autorów. Nie zrozumiałem jednak wszystkiego z niemieckiego tekstu pana doktora… Stąd zaproszenie ze strony naszego koła, by prelegent objaśnić nam raczył co większe zawiłości. Bardzo proszę, panie doktorze, oddaję panu głos.

Popielski wstał i spojrzał najpierw w okno, a potem na słuchaczów. Nie, nic nie przypominało mu wiedeńskiego Seminarium Matematycznego. Zbyt wiele różnic, by skutek mógł być ten sam. Za oknem nie widział podcieni dziedzińca wiedeńskiego uniwersytetu, lecz kwitnący Ogród Jezuicki. Jego lwowskie audytorium składało się teraz w połowie z kobiet, podczas gdy przed dwudziestu trzema laty na wiedeńskiej sali siedzieli wyłącznie mężczyźni. Teraz pora była wieczorna, a przed epileptycznym atakiem chroniły go i zażywane regularnie medykamenty, i ciemne okulary. Nie, teraz zupełnie inaczej się skończy jego wystąpienie!

Nie był zdenerwowany, no, może lekko poirytowany, i to zresztą za sprawą owych okularów, które uniemożliwiały mu uważną obserwację reakcyj słuchaczów, do czego zdążył się przyzwyczaić w czasie niezliczonych policyjnych przesłuchań. Okulary były optycznym filtrem, przez który mógł dobrze widzieć jedynie oblicza ludzi w dwóch pierwszych rzędach oraz uśmiech siedzącego na wprost przed nim profesora Kłapkowskiego.

Prelegent uznał uśmiech uczonego za życzliwą zachętę i rozpoczął wykład pewnym głosem. Po kilku sekundach opuściły go resztki tremy. Rozrysował na tablicy osiem rodzajów skróceń jambicznych, po czym przekonująco zredukował ich liczbę tylko do trzech. Z radością przyjął westchnienie ulgi, jakie rozeszło się po sali. Wiedział, że nic nie jest przyjmowane tak chętnie jak uproszczenie, że właśnie na prostocie zasadza się elegancja każdego wzoru – czy to matematycznego, czy lingwistycznego. Tak samo zareagowało audytorium, gdy uprościł rozmaite prawa metryczne, wykazując, że większość z nich opiera się na tej samej przyczynie akcentuacyjnej. A potem rozpoczął to, co lubił najbardziej: równym kaligraficznym pismem rozcinał wiersze łacińskie i wykrawał z nich intonacyjne cząstki. Z tej zawziętej pracy, w której się całkiem zatopił, wyrwały go szmery, pochrząkiwania i postukiwania. Odwrócił się i zauważył, że kilka miejsc audytorium już opustoszało. Spojrzał na

przewodniczącego koła zdziwionym wzrokiem. Ten spuścił głowę i nie odrywał wzroku od profesora Kłapkowskiego.

– Cóż – profesor odchrząknął i wstał. – Organizator nie ma odwagi, no to ja powiem. Szanowny prelegent przedłużył swój wykład… Może by już zechciał zmierzać łaskawie do konkluzyj…

– To prawda – Popielski spojrzał na naręczny szwajcarski zegarek marki Schaffhausen – o całe dwa kwadranse przedłużyłem… Przepraszam… Właściwie nie mam żadnej konkluzji. Mógłbym jeszcze dokonywać rozbiorów metrycznych, ale z teorii nic więcej nie dodam. Dziękuję państwu za uwagę i zapraszam do dyskusji. Panie profesorze? – Spojrzał w stronę Kłapkowskiego.

– Tak. – Uczony uśmiechnął się. – Muszę przyznać, że byłem mocno zdziwiony, gdy Koło Filologiczne zaprosiło mnie na tę prelekcję. Po jej wysłuchaniu nie jestem już zdziwiony. – Zaczerpnął głęboko tchu. – Jestem przerażony!

Na sali zapadła głucha cisza. Profesor wodził wzrokiem po studentach, którzy patrzyli w notatki. Nadal się uśmiechał. Popielski jednak teraz był pewien, że przed wykładem nieopatrznie i prostodusznie wziął jego uśmiech za oznakę życzliwości. „Znów mnie spotka – myślał – okrutne i nieprzewidziane zdarzenie. Taki to już widać mój los. Wtedy, w Wiedniu, był kwiecień i teraz jest kwiecień, a ja i tu, i tam ponoszę porażkę. Kto to powiedział, że kwiecień jest najokrutniejszym miesiącem?”

– Z uwagi na osobę prelegenta, byłego urzędnika policyjnego, wykład ten był nie tylko, by tak rzec, egzotycznym – ciągnął profesor – lecz z merytorycznego punktu widzenia przede wszystkim szkodliwym!

Popielski skrycie otarł czoło.

– Nie usłyszeliśmy w nim niczego, podkreślam: niczego – Kłapkowski omiótł wzrokiem salę – co jest od stu lat, od czasów Karola Lachmanna, koroną badań filologicznych! W tym odczycie nie było nawet śladu krytyki tekstu! Pan prelegent nie powiedział nawet tyle, z jakiego wydania korzysta!

Popielski nacisnął mocniej ciemne okulary i otarł z potu łysinę. Z okna wionął wiosenny wiatr, przynoszący zapach bzów kwitnących w Ogrodzie Jezuickim. Teraz przypomniał sobie dobrze wierszową frazę, która mu nie dawała spokoju słowami o okrucieństwie kwietnia. Był to początek Ziemi jałowej Eliota.

– A tymczasem – uczony sięgnął po leżącą przed nim książkę – przynajmniej cztery wiersze Plautowe przez pana analizowane różnią się wyraźnie od tych, które są obecnie, by tak rzec, uznane za kanoniczne. Pan prelegent nawet nie zająknął się o tym. Jest to fundamentalny zarzut metodologiczny, który dyskwalifikuje ten wykład! To tak, jakby – i tu posłużę się przykładem z uwielbianych przez pana Popielskiego nauk ścisłych – na lekcji chemii wlewać wodę do probówki, nie sprawdziwszy pierwej, czy jest tam zasada, czy kwas! Jedyne, co teraz mogą państwo zrobić po tym niepełnym wykładzie – Kłapkowski spojrzał surowo na studentów – to podrzeć swoje kartki z notatkami i wyrzucić je do kosza! O, tak jak ja to czynię!

„Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień” – przypominał sobie prelegent, widząc, jak profesor drze notatki i patrzy uważnie, kto ze studentów pójdzie w jego ślady.

Poszli wszyscy. Powoli, niechętnie darli swoje kartki, podchodzili do kosza stojącego obok katedry i wrzucali doń eleganckie wzory Popielskiego, ustalenia jego bezsennych nocy, niepotrzebne nikomu podstawienia i formuły. Potem wychodzili z sali z opuszczonymi głowami. Profesor Kłapkowski opuścił salę wykładową, ukłoniwszy się uprzejmie prelegentowi.

Ten wytarł tablicę, a potem ze złością zdmuchnął kredowy pył z rękawa marynarki. Otrzepał ręce, złożył notatki, wsunął je do eleganckiej aktówki ze strusiej skóry i ruszył ku wyjściu. Nagle przystanął. Na pulpicie ostatniej ławki leżały kartki z notatkami. Nie były podarte, lecz równo ułożone. Otaczały je szczupłe, długie palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Zmrok, który już zapadł w nie oświetlonej sali, i ciemne okulary pozwalały Popielskiemu na wydobycie z tej zaćmy tylko widoku szczupłych białych dłoni ozdobionych niewielkim pierścionkiem, pełnych czerwonych ust i bladej twarzy w obramowaniu czarnych włosów. Zdjął okulary i wstrzymał oddech.

– Panna Sperlinżanka? – zapytał jedyną osobę, która pozostała w sali i wbrew woli profesora nie podarła notatek.

Młoda kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dobry wieczór, panie profesorze – powiedziała cicho. – Ja nie znam się na łacinie, ja przyszłam tu do pana…

Popielski spojrzał na jej kartki, zapisane pięknym okrągłym pismem. Poczuł dreszcz. Lecz nie była to zapowiedź epilepsji. Był to spazm ślepej

nadziei, jaką w dojrzałym mężczyźnie budzi młoda kobieta.

„Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień – mówił Eliot w jego pamięci. – Wywodzi z nieżywej ziemi łodygi bzu, miesza pamięć i pożądanie, podnieca gnuśne korzenie”.

[15] O funkcji potencjalnej dwóch elipsoid homogenicznych.

[16] Próba quasi-matematycznej analizy Plautowego wiersza mówionego.

VII

ZE WSZYSTKICH ZALET CIAŁA RENATY SPERLING u Popielskiego najwyższą fascynację wzbudzały zawsze usta – i wtedy, gdy dziewięć lat temu przygotowywał młodziutką gimnazjalistkę do matury z matematyki, i teraz – gdy siedziała w jego gabinecie i mocno skrępowana, zaciskała palce na pasku niedrogiej skórzanej torebki. Choć wtedy jej usta były blade, a dzisiaj pociągnięte czerwoną szminką, i przed laty, i teraz tak samo drżały, układając się w literę „o”, kiedy wypowiadały cicho podziękowania „za poświęcony jej cenny czas”. Nie zmieniły się też ogromne zielone oczy, pod którymi kładły się zawsze lekkie cienie, nadające im powab łagodnego przemęczenia. I jeszcze jedno się nie zmieniło – negatywny stosunek jego kuzynki do każdej młodej kobiety, która by go odwiedziła. Te reakcje Leokadii Popielski tłumaczył sobie topornie i naiwnie. „Dąsy Lodzi – myślał ten pożal się Boże znawca kobiecej duszy – są spowodowane poczuciem zagrożenia. Kiedy na mojej orbicie zaczyna krążyć inna kobieta, kochana kuzynka rozpaczliwie się boi, że utraci swoją uprzywilejowaną pozycję w domu. Ot, to i wszystko!”

Dowiedziawszy się jeszcze w sali uniwersyteckiej, że Renata ma do niego bardzo pilną i ważną prośbę, namawiał ją, ze względu na bardzo prawdopodobne humory Leokadii, aby wyjawiła mu ją raczej w jakiejś okolicznej kawiarni. Zamysł ten odrzuciła, podobnie jak i propozycję wieczornego spaceru po Ogrodzie Jezuickim. Na żadne z tych rozwiązań nie chciała przystać, argumentując, że nie godzi się pannie pokazywać z mężczyzną o tak późnej porze, i uparła się, by o wszystkim mu powiedzieć na uniwersyteckim korytarzu. Zgodził się, choć niechętnie. Nie na wiele się jednak zdała jego zgoda, z gmachu uniwersyteckiego zdecydowanie i wręcz niegrzecznie wyprosił ich bowiem pedel, który drwił sobie z próśb, a potem pogróżek Popielskiego. Nolentes volentes [17] musieli przejść sto metrów i

udać się do mieszkania prelegenta na początku ulicy Kraszewskiego, gdzie na Renatę Sperling czekały zimne jak stal spojrzenia kuzynki Leokadii.

Te nieprzyjemności spotkały ją jednak tylko na początku wizyty. Popielski zadbał bowiem o to, aby do minimum ograniczyć kontakt panny Sperling ze swoimi paniami, i po kilku sekundach poprosił ją do gabinetu, gdzie teraz siedziała nad filiżanką herbaty zmieszana i zaniepokojona.

Popielski lubił konsternację u młodych niewiast i pogłębiał ją zawsze upartym milczeniem. Jak stary kocur delektował się bezradnymi próbami przerwania krępującej ciszy, urozmaicanej teraz jedynie nawoływaniami ulicznego handlarza za oknem. Jak bezwzględny egzaminator, który nie naprowadza na odpowiedź, tak i on nie ułatwiał rozpoczęcia rozmowy i napawał się trzepotaniem rzęs, drżeniem szczupłych dłoni, rumieńcem wstydu. Był gotów i do flirtu, i do erotycznego ataku.

– Ja nie wiem, od czego zacząć. – Dziewczyna wbiła wzrok w wypastowane buciki.

– Najlepiej od rzeczy obojętnej. – Popielski wysunął z marynarki mankiety, tak aby jego rozmówczyni dobrze widziała złote spinki. – Dlaczego pani notowała na moim wykładzie zagadnienia, o których, jak pani expressis verbis [18] powiedziała, nie ma zielonego pojęcia?

– Nie wiem – odpowiedziała, nieśmiało unosząc wzrok. – Może taki mi pozostał nawyk z czasów, kiedy pan profesor był moim korepetytorem i notowałam każde jego słowo?

– Proszę mnie już nie nazywać „panem profesorem” – powiedział z uśmiechem. – Dzisiejszy wykład był moją ostatnią przygodą nauczycielską…

Oczy panny Sperling pociemniały ze złości.

– Ależ ten uczony, który pana zaatakował, był podły! – wykrzyknęła, powstawszy gwałtownie z krzesła. – Wcale nie miał racji. Ja się nie znam na tym, ale tak szeptali studenci, którzy koło mnie siedzieli… On pana świadomie zmieszał i upokorzył…

– Jest pani urocza w tym czystym, krystalicznym gniewie – ujął filiżankę tak, by wyeksponować sygnet z motywem labiryntu wygrawerowanym na czarnym onyksowym oczku – ale dotąd się taki nie narodził, który by mnie upokorzył! A ponadto, droga panno Sperlinżanka, ta drobna nieprzyjemność, której dziś doznałem od profesora Kłapkowskiego, została już wytłumiona dzięki pani obecności i naszemu

spotkaniu. Choćbym po wykładzie dostał nie milknące brawa, to i tak widok pani byłby najprzyjemniejszym punktem dnia…

Dziewczyna lekko się uśmiechnęła.

– Bardzo pana proszę, panie profesorze – spojrzała mu wprost w oczy – o nieużywanie panieńskiej formy mojego nazwiska. Nie lubię jej i źle się ją wymawia. Lepiej po prostu „Renato”…

– Trafna uwaga językowa – Popielski przybrał łagodny i protekcjonalny nieco ton. – Dwie głoski szumiące blisko siebie w „Szperlinżanka” to w rzeczy samej trochę za dużo. Ale zgodzę się na formę „Renato” tylko wtedy, gdy pani, zwracając się do mnie, pominie nie przysługujący mi tytuł profesora…

Zapadło pełne zakłopotania milczenie, którym Popielski znów się delektował.

– Przyszłam do pana – panna Sperling się zarumieniła – jako do jedynego człowieka, który może mi pomóc. Zapłacę za tę pomoc. Mam pieniądze odłożone na czarną godzinę… Chcę, aby pan poprowadził dla mnie pewne dochodzenie…

Popielski zapalił papierosa, wstał i podszedł do okna. Zamknął je głośno. „Oto następuje metamorfoza – pomyślał – panna Sperlinżanka z zagubionego dziewczątka staje się pewną siebie damą, która ma czelność wynajmować mnie jak pierwszego lepszego fiakra! Jak bagażowego na dworcu!” A on tak się przed nią puszył! Jest śmieszny! Ma łysinę, obwisłe podgardle, lat czterdzieści i cztery i wiele za sobą: straszną śmierć rodziców, liczne ataki padaczki, Wielką Wojnę i śmierć żony przy porodzie. Sumienie swe obciążył nadmiernie cysternami alkoholu, rozpustą i dwukrotnym tryprem. A teraz, u szczytu męskiej akme, stał się po prostu człowiekiem do wynajęcia! Jak woźnica lub tragarz! Jakże nisko upadł: doktór Edward Popielski wyrzucany zewsząd – z policji przez głupiego przełożonego i z uniwersyteckiego korytarza przez zwykłego pedla! Doktór Edward Popielski gotów tańczyć dla jakiejś ślicznotki za pierniczki jej kokieterii i kilka moniaków niewiadomego pochodzenia! Doctor philosophiae [19] – człowiek do usług!

– …jako prywatny detektyw – usłyszał jej głos przez filtr irytacji. – Chcę, aby pan poprowadził dla mnie śledztwo w sprawie zaginięcia mojej chlebodawczyni, pewnej starszej damy…

– Nie jestem prywatnym detektywem. – Popielski odwrócił się gwałtownie od okna. – Nie jestem nikim, za kogo mnie pani uważa. Nie

jestem już nauczycielem, policjantem, a od dzisiaj nie jestem też reformatorem łacińskiej wersyfikacji. Nie jestem człowiekiem do wynajęcia. Jestem nikim. Mówi pani do powietrza. Stojącego, zastarzałego i dusznego powietrza. Żegnam panią!

Renata Sperling podeszła do Popielskiego i chwyciła go prosząco za dłoń.

– Nie wiem, czym uraziłam pana profesora – szepnęła – ale błagam, niech pan mnie wysłucha! Tylko pan może mi pomóc! Grozi mi wielkie nieszczęście! Pohańbienie!

Popielski wyrwał gwałtownie swoją rękę, wszedł z powrotem za biurko i wskazał jej krzesło. Czuł żar na twarzy i na łysinie. Włączył mały wentylator. Po gładkiej skórze spłynął mu za kołnierz słony strumyk.

– Proszę – powiedział sucho. – Niechże pani w końcu powie, co ją do mnie sprowadza. Tylko możliwie krótko, bo kolacja na mnie czeka.

Usiadła skromnie na samym brzegu krzesła.

– Mieszkam w majątku ziemskim w Stratynie w powiecie rohatyńskim – mówiła szybko. – Prowadzę całą buchalterię majątku hrabiostwa Bekierskich. Właścicielką majątku jest starsza pani, hrabina Hanna Bekierska, a plenipotentem jej syn, hrabia i inżynier Józef Bekierski. Dwa tygodnie temu starsza pani zniknęła, a pan hrabia oznajmił, że wyjechała za granicę, do wód. To nieprawda, pan hrabia kłamie! Wiem o tym z całą pewnością! Ze starszą panią jestem w bliskiej konfidencji i na pewno coś bym wiedziała o jej planach. A nic mi przecież nie mówiła… Poza tym pan hrabia reaguje gniewem, a właściwie to bardzo ordynarnymi wyzwiskami, na wszelkie zapytania o jego matkę… Posiekał dotkliwie szpicrutą starego służącego Stanisława, gdy ten wyraził wątpliwość co do wyjazdu starszej pani… Chciał go nawet zwolnić, ale wstawiła się za nim jego żona… To znaczy żona Stanisława, pani Salomea, bo pan hrabia jest kawalerem… Tak, pani Salomea… Była piastunką pana hrabiego i wyprosiła łaskę dla swojego męża…

– I pani chce, bym odnalazł rzekomo zaginioną hrabinę Hannę Bekierską, która wyjechała do jakiegoś zagranicznego kurortu, co pani z kolei uważa za kłamstwo. – Nabrał tchu, jak niedawno to uczynił profesor Kłapkowski przed ostatecznym atakiem na niego samego, na nieudanego prelegenta, kiepskiego wykładowcę, który ośmielił się wstąpić na zakazany teren nauki. – Panno Renato, przed sformułowaniem tego osobliwego zlecenia – tak! nader osobliwego, bo mam szukać matki wyraźnie wbrew

woli jej syna – a zatem przed opisaniem mi swojej prośby robi pani prawdziwe theatrum, łapie mnie pani za rękę, nieomal płacze, mówi o pohańbieniu… Dlaczego chce pani tak szybkiego odnalezienia hrabiny i jest za nie gotowa płacić? O jakie pohańbienie tu w ogóle chodzi?

– O zwykłe, o poniżenie mnie tak, jak kobietę może poniżyć mężczyzna – odpowiedziała Renata z drżeniem w głosie. – Teraz bardzo ciężko o pracę dla niezamężnej buchalterki, której nie ma kto pomóc. Hrabia Bekierski o tym wie i wciąż ponawia wobec mnie nieprzystojne propozycje, grożąc, że mi wymówi posadę. Czyni tak od dawna, szpetnie mi ubliża od „Żydowic", od „starych panien", publicznie omawia wyimaginowane powody, dla których jeszcze nie wyszłam za mąż. Dotąd broniła mnie pani hrabina. Teraz, kiedy jej zabrakło, jestem bezbronna… To jest sprawa bardzo pilna, to sprawa mojej godności! Dlatego przychodzę do pana profesora… Przyjechałam wczoraj, wzięłam urlop, na który hrabia nie chciał się zgodzić… Krzyczał, że jadę do Lwowa, aby oddawać się… To człowiek chory, wymyśla takie rzeczy, że nie mogą mi przejść przez gardło… Nie mogłam pana profesora odnaleźć, już pan nie mieszka tam, gdzie mieliśmy korepetycje przed laty, a stróż stamtąd nic nie wie gdzie… Chciałam odjechać zrozpaczona, zniechęcona… A tu los przyszedł mi z pomocą! Przechodzę koło uniwersytetu i co widzę? Afisz o pańskim wykładzie! A teraz los ze mnie drwi, bo pan nie chce mi pomóc! Błagam pana, panie profesorze! Mam mało pieniędzy jak dla takiego eleganckiego dżentelmena, ale zbiorę więcej…

Kobieta się rozpłakała. Popielski patrzył na jej kruche drżące ramiona i walczył ze swoim żalem i ze współczuciem. Wentylator na biurku obracał się szybko. Edward czuł jego śmigło w swojej piersi.

– Edwardzie. – Kuzynka Leokadia stała w drzwiach gabinetu. – Pukałam, ale chyba nie słyszałeś – powiedziała po niemiecku, jak zawsze to czyniła, gdy chciała coś zataić przed Ritą. – No… nic dziwnego. – Spojrzała na Renatę, a potem znów na swego kuzyna. – Czekamy na ciebie z kolacją. Długo jeszcze będzie u ciebie bawić ta twoja przyjaciółka?

Popielski wstał, obciągnął marynarkę, poprawił krawat i przez chwilę myślał nad odpowiedzią.

– Nie będę już państwa niepokoić moją osobą – powiedziała Renata Sperling po niemiecku. – Właśnie wychodzę. Do widzenia! I smacznego!

Wyszła szybko. Jej pantofle zastukały w przedpokoju, a potem na schodach. Popielski wszedł do jadalni, minął zastawiony stół z talerzem

leguminy i wybiegł na balkon.

Dziewięć lat temu też tak stał na balkonie w dawnym mieszkaniu przy ulicy Działyńskich i patrzył na swoją uczennicę. Wtedy miała lat osiemnaście, teraz dwadzieścia siedem, wtedy na balkonowej posadzce leżał bukiecik stokrotek, które skrycie mu podrzuciła Renia Sperling, maturzystka z niemieckojęzycznego gimnazjum Józefy Goldblatt-Kamerling.

Wrócił z balkonu i usiadł przy stole. Służąca Hanna podeszła do niego z wazą ryżu. Poprosił jedynie o niewielką kupkę leguminy i spojrzał z uśmiechem na swe panie. Podjął decyzję.

– Kochana Lodziu, kiedy będę miał jeden wolny dzień w korepetycjach?

– Dopiero za tydzień, w najbliższy piątek, 18 kwietnia. – Kuzynka miała w głowie jego terminarz. – Przypominam ci, że to będzie Wielki Piątek.

– Sprawdź zatem, proszę, połączenie kolejowe do Rohatyna, a potem każ Hannie kupić mi bilet na Wielki Piątek i powrotny na Wielką Sobotę.

– Nie sądzisz, że Triduum powinieneś spędzić z rodziną? – zapytała po niemiecku Leokadia. – Święta są chyba ważniejsze od wizyty, którą masz zamiar złożyć jakiejś kokietce!

Popielski nie słuchał słów kuzynki, lecz stukania kobiecych pantofli na chodniku.

[17] Chcąc nie chcąc (tu zwrot użyty w liczbie mnogiej).

[18] Wyraźnie, bez ogródek.

[19] Doktor filozofii.

## VIII

AUDYTORIUM NA NIEDAWNYM WYKŁADZIE Popielskiego nie składało się wyłącznie z filologów. Oprócz pięknej buchalterki Renaty Sperling prelekcji Edwarda przysłuchiwał się jego przyjaciel aspirant Wilhelm Zaremba. Znalazł się on tam – podobnie jak owa młoda dama – zupełnym przypadkiem. Późnym popołudniem szedł korytarzem uniwersyteckim i nagle zobaczył ogłoszenie, które zwróciło jego uwagę znanym mu nazwiskiem. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że anonsowany wykład Popielskiego już się był rozpoczął przed kilku minutami, a do spotkania, które go sprowadziło w mury lwowskiej Alma Mater, pozostał

mu jeszcze kwadrans. Dla zabicia czasu wszedł cicho do sali i przycupnął w ostatniej ławce, nie zwracając niczyjej uwagi. W ostatnich czasach widywał Popielskiego wcale często, lecz nigdy w roli wykładowcy.

Prelegent dokonywał na tablicy jakichś – na pierwszy rzut oka – przekształceń wzorów. Po chwili się okazało, że to tylko symbolika jest pseudomatematyczna, istota zaś sprawy – humanistyczna i dotyczy wersów jakiegoś rzymskiego poety imieniem Plaut, o którym Zaremba nie miał zielonego pojęcia. W gimnazjum, owszem, rozbierano wprawdzie greckie i łacińskie heksametry, a nawet miary liryczne Horacego, ale te zadania na ogół wykonywał jego przyjaciel ze szkolnej ławy, który teraz stał na katedrze i donośnym głosem wywodził jakieś formuły i uproszczenia.

Po wejściu na salę wyłączył się zatem z powodu nieznajomości rzeczy i nie słuchał Popielskiego, co nie oznaczało, że o nim nie myślał. Mimo prawie dwóch lat, jakie upłynęły od dymisji, wciąż zastanawiał się, jak złagodzić najsurowszą dyscyplinarną karę, która została nałożona na przyjaciela. Dotkliwie odczuwał nie tylko zawodowy, lecz przede wszystkim koleżeński i towarzyski skutek zwolnienia kolegi z policji. Martwił się ponadto o Edzia i przewidywał złowrogie konsekwencje pozbawienia go obowiązków zawodowych – popadnięcie w pijaństwo lub w erotomanię, wieczne zgorzknienie i abnegację. Teraz jednak doszedł do wniosku, że jego przewidywania były niesłuszne: zamiast abnegata widział na katedrze mężczyznę przesadnie eleganckiego, zamiast zgorzkniałego cynika – kipiącego energią wykładowcę. Ucieszył się, że Edward jakoś się odnalazł po utracie pracy, i z westchnieniem ulgi opuścił salę wykładową.

Udał się do północnej części gmachu uniwersyteckiego, gdzie w gabinecie oczekiwał go lingwista światowego formatu profesor Jerzy Kuryłowicz.

Zaremba zapukał donośnie i usłyszał równie donośne „proszę”. Profesor wstał na powitanie, zapisał nazwisko gościa na jakimś świstku papieru, kiwnął głową i wskazał fotel dla interesantów obok stołu zawalonego kartonowymi teczkami wiązanymi na tasiemki. Owe teczki zajmowały zresztą prawie wszystkie półki – leżały na książkach i wetknięte były w każdą wolną dziurę. Pokryte były kurzem i oznaczone dziwnymi znakami, które Zarembie niczego nie przypominały. Ten brak skojarzeń najbardziej aspiranta denerwował, ponieważ uświadamiał mu boleśnie, że nie posiada najmniejszych kompetencyj, aby składać wizytę profesorowi Kuryłowiczowi i wysłuchiwać jego ekspertyz. Jedyny właściwy człowiek

do wykonania tego zadania został zwolniony z policji, a teraz znajduje się w innym skrzydle tego gmachu i odkrywa swe nowe powołanie.

– Przetłumaczyłem ten zapis – odezwał się profesor Kuryłowicz po chwili milczenia. – Jest to tekst zapisany w hebrajszczyźnie biblijnej. Ponieważ, jak pan pewnie wie, panie aspirancie, tekst hebrajski biegnie od prawej do lewej, mój przekład zapisałem w pionie. Niech pan spojrzy tutaj. – Zerwał ceratową zasłonę wiszącą na tablicy. – Tu jest wszystko napisane!

Zaremba patrzył na dwa słupki wyrazów, mrugając oczami i kaszląc od kredowego pyłu. Sięgnął po notes, aby przepisać to, co widział. Klął w duchu i ślinił ołówek. Nie znał hebrajskiego pisma i nie wiedział, od czego zacząć pisanie pierwszej litery – od dziwnego daszka czy od wygiętej nóżki? Ktoś inny znał, ale ten ktoś niedaleko stąd równym i donośnym głosem charakteryzował jamby i anapesty.

Profesor Kuryłowicz patrzył w okno z taką koncentracją, jakby chciał na zawsze utrwalić w swoim mózgu widok przepięknej kamienicy Rohatyna. To nie było zachowanie niecodzienne. Zawsze patrzył w okno przed dłuższym wywodem, jakby znany widok pomagał mu układać kunsztowne frazy.

– Niech pan się nie fatyguje – powiedział językoznawca na widok nieudolnego szkicu w notesie Zaremby. – Wszystko to ręcznie przepisał mój asystent doktór Słuszkiewicz. Trochę się namęczył i nie ujął punktacji samogłoskowej i diakrytów spółgłoskowych, bo jest przede wszystkim sanskrytologiem, nie hebraistą. Mam nadzieję, że władze docenią jego trud! A oto ta pisemna ekspertyza! Niech pan się nią teraz nie zajmuje, na Boga! Na niej jest to samo co tam – prawie krzyknął, wskazując na tablicę. – Proszę tam patrzeć, bo nie będę dwa razy objaśniać.

Zaremba odetchnął z ulgą. Ogromnie ucieszyła go myśl, że nie musi niczego przepisywać. W swej radości nie uznał za impertynencję nawet gniewnego tonu naukowca. Zbyt obszerna marynarka, przykrótkie spodnie innego koloru, łysa, mała głowa, binokle na wąsko osadzonych oczach i długi nos Pinokia – wszystko to budziło w Zarembie życzliwe rozbawienie. Spojrzał na tablicę. Widniało na niej:

ăíăřáďňéŕĺéáŕôńîĺúěáďůçřěŕëĺéäĺěŕçěé

– Jest to język hebrajski – profesor jak bocian unosił wysoko stopy, krążąc wokół tablicy w ciasnym pokoiku – z grupy języków semickich. W tymże języku przed wiekami napisano Stary Testament. Nie podaję dokładniejszej daty, bo różne księgi Biblii powstawały w różnym czasie, na

przykład tak zwane księgi historyczne… No dobrze. – Bystro spojrzał na Zarembę. – Nie dajmy się ponieść dydaktycznej pasji i mówmy na temat! Otóż język hebrajski jako język żywy był do niedawna używany wyłącznie w liturgii judaistycznej i pobrzmiewał w synagogach, natomiast od jakichś trzydziestu lat obserwujemy jego odrodzenie w ruchu syjonistycznym. Ma on być językiem przyszłego państwa żydowskiego! Ale znów zamęczam pana opowieściami, które nie mają nic wspólnego z ekspertyzą… Otóż tekst pański jest zapisany w stylu biblijnym, ale nie ma go w tej postaci w Starym Testamencie. Pojedyncze frazy, wyraz – tak, ale całości, w takiej jak wyżej postaci, nie ma. Sprawdziłem to dzięki konkordancji. Czy pan wie, co to mianowicie jest?

– Nie wiem – mruknął coraz bardziej zniecierpliwiony Zaremba. – Ale i nie muszę wiedzieć. Wystarczy mi, że ten tekst nie pochodzi z Biblii. Niewiele to zresztą wnosi do śledztwa…

– Wniosłoby więcej, gdyby zdradził mi pan szczegóły dochodzenia, które panowie policja prowadzą. A swoją drogą – profesor zapalił papierosa, nie poczęstowawszy Zaremby – wie pan, że teraz nieświadomie użyłem dziwnej apozycyjnej kolokacji „panowie policja”?

– No cóż… – Zaremba przypomniał sobie kategoryczny zakaz ujawniania szczegółów śledztwa. – My tylko prosimy o tłumaczenie, a sami je wykorzystamy w dochodzeniu…

– Musimy jeszcze dodać, że zapis ten może pochodzić z innych źródeł. Mówimy w skrócie „język hebrajski”, mając na myśli przede wszystkim Stary Testament. Nie zapominajmy jednak, że w tym języku w starożytności powstała bogata literatura rabiniczna, na przykład midrasze. Czy tekst pański jest cytatem z tej literatury? Nie wiem. Zlokalizowanie go przekracza moje kompetencje.

– A kto mógłby mi tutaj pomóc?

– Rabin Pinchas Schatzker, mój panie. To znakomity znawca literatury pobiblijnej. I wszelkie konkordancje ma w głowie, ale, ale… Pan wszak nie wie, co to znaczy…

– A zatem – Zaremba pominął ten wątek i spojrzał do swoich notatek – ten zapis nie pochodzi z Biblii… Może pochodzić z późnego piśmiennictwa żydowskiego, co sprawdzę u pana Schatzkera… Jeśli jego odpowiedź będzie negatywna, to wtedy okaże się, że zapis ten nie jest żadnym cytatem biblijnym, a ponieważ został stworzony w języku biblijnym, używanym

tylko w Starym Testamencie lub przez syjonistów, to pozostaje jedno jedyne rozwiązanie: napisał to syjonista. Czy tak, panie profesorze?

– Nie sądzę, syjoniści używają hebrajszczyzny jako języka komunikacji, a tutaj mamy tekst wyraźnie literacki. – Kuryłowicz wziął z biurka długą linijkę i wskazał nią dwa z hebrajskich wyrazów. – Widzi pan to, panie aspirancie? Tę frazę datywną „dla syna jutrzenki”?

– Tak.

– Otóż „syn jutrzenki” to peryfraza pewnej biblijnej, mitycznej postaci. Ten, kto napisał „syn jutrzenki”, musiał mieć na myśli tę postać. Sięgał więc najpewniej do biblijnego słownictwa, choć, jak powiedziałem, tekst ten nie jest biblijny. Ktoś po prostu naśladował język Starego Testamentu.

– A co to za mityczna postać?

– Bardzo złowroga. – Profesor zgasił papierosa i patrzył poważnie na rozmówcę. – „Syn jutrzenki” został oddany przez greckie heosphoros jako „niosący jutrzenkę”. Zaraz pan zrozumie, kiedy powiem, jak to określenie jest przełożone na łacinę. Lucifer, mój panie, właśnie tak, normalne łacińskie Nominalkompositum z charakterystycznym intermorfem -i-. A co to jest „Lucyfer”, to pan z całą pewnością wie. Niech pan teraz podstawi pod „syn jutrzenki” to, co pan otrzymał.

– „Krew, ostrze, ruina, wróg, koniec, śmierć – Zaremba zaczerpnął tchu – dla diabła nie są piętnem i nie są złem”.

Aspirant po wyjściu od profesora usiadł na schodach niedaleko Zakładu Filologii Klasycznej i dopisywał gorączkowo uwagi w notesie. Czuł w głowie mętlik, wzmożony specjalistycznymi wtrętami uczonego. Wiedział, kto mógłby ten mętlik rozwiać. Ale ten ktoś znalazł nowe powołanie i właśnie za drzwiami rozwiązywał skomplikowane lingwistyczne zadania.

## IX

W WIELKI PIĄTEK EDWARD POPIELSKI JECHAŁ POCIĄGIEM relacji Lwów – Stanisławów. Siedział w trzeciej klasie naprzeciwko niechlujnego studenta, który zaczytywał się jakąś powieścią sensacyjną. Obok zatopionego w lekturze młodzieńca siedziała dorodna, rumiana chłopka z wiklinowym koszykiem na kolanach. Oczy Popielskiego wędrowały od jednego do drugiego współpasażera. Gorączkowo usiłował gonitwą skojarzeń wyciszyć głos w głowie, od samego rana krytykujący jego poczynania. Skupił się na zaczytanym młodzieńcu i na jego książce. „Ciekaw jestem, czy ten Marczyński – myślał, odczytując nazwisko jej

autora i ledwo widoczny fragment podtytułu… na tle wojny w Marokko – to ten sam, którego poznałem na Persenkówce w czasie obrony Lwowa”.

Ta kwestia nie wytłumiła jednak wspomnianego głosu wewnętrznego, który mówił teraz: Ty stary idioto, bałwanie jeden, ty nawet dobrze nie wiesz, dokąd jedziesz, nie mówiąc już o tym, że to zlecenie pięknej Reni może być chwilowym kaprysem, już zgoła nieaktualnym! Odwrócił wzrok od książki Marczyńskiego i spojrzał na chłopskie smakołyki widoczne w wiklinowym koszu spod haftowanej chusty – na wareniki [20], wędzony boczek i kiszkę.

Poczuł głód, lecz nie na tyle silny, by uciszyć gniewny głos wewnętrzny, który go ciągle ganił: Dlaczego jej nie powiadomiłeś, że przyjąłeś to zlecenie? A może ona wyjechała?! Tak dużo masz pieniędzy, by tracić je na wiosenne eskapady po ziemi lwowskiej?!

Do przedziału wszedł konduktor i skasował bilety. Chłopka odezwała się po ukraińsku, pytając, jak daleko do Chodorowa. Popielski ucieszył się, usłyszawszy, że za kwadrans tam będą, ponieważ właśnie to miasteczko było jego celem pośrednim – tu miał przesiadkę do Pukowa. Patrząc na Rusinkę z koszem pełnym wielkanocnych specjałów, zajął myśli problematem: czyżby w tym roku rzymskokatolicka Wielkanoc wypadała tego samego dnia co greckokatolicki Wełykdeń? Otworzył notes i usiłował przypomnieć sobie pewien algorytm, którym można by obliczyć datę Wielkanocy w kalendarzu juliańskim.

Ale nawet i to nie uspokoiło jego niewidzialnego krytyka. „Zadurzyłeś się w pięknej Żydóweczce? – szydził ów głos. – Czym chcesz ją zdobyć? Czym chcesz jej zaimponować? Kuflem piwa, który jej zafundujesz, zastawiwszy w lombardzie swe spinki? Spójrz, jak ty wyglądasz, wyliniały satyrze! Spójrz na popękaną skórę twoich butów, na wygryzione mankiety, na wytarte rękawy marynarki!”

Pociąg minął wieś Ottyniowice, jeziorko leżące za wsią i wjechał wolno do Chodorowa. Popielski pożegnał się uprzejmie ze studentem, puścił przodem rusińską chłopkę i przyglądał się przez ciemne okulary sennemu miasteczku. Znał dobrze ten typowy kresowy obraz: małe, pochylone domki, remiza straży ogniowej, barokowy kościółek i kopuła cerkiewki, tumany kurzu, Żydzi w chałatach i w jarmułkach, psy wałęsające się pod ścianami domostw i podnoszące tylne łapy nad niziutkimi parapetami.

Ten swojski pejzaż nie uspokoił krytykanta w jego głowie: „No i co teraz będziesz robił przez dwie godziny do odjazdu pociągu do Pukowa?

Będziesz się snuł w brudnym pyle uliczek, a może pójdziesz do knajpy i wysupłasz parę groszy na herbatę i suchą bułkę?!”

Pociąg się zatrzymał, Popielski wyskoczył wraz z kilkoma innymi pasaerami i stanął na peronie wyłożonym pokrzywionymi płytami. Zapalił papierosa.

„No i co teraz będziesz robił?” – szyderca nie przestawał.

– Wiem, co będę robił, ty kanalio! – odpowiedział cicho swemu wewnętrznemu rozmówcy i uśmiechnął się radośnie.

Pod tablicą informacyjną na środku peronu stała smukła, zgrabna kobieta o kruczoczarnych włosach.

To właśnie jej Popielski zamierzał złożyć dziś wizytę. „No i czego teraz oczekujesz, ty kocurze? – pytał uprzykrzony wróg. – Że padnie ci w ramiona?! Ona cię pogoni! »Won mi stąd« – powie!”

Renata Sperling również dostrzegła Popielskiego i zmartwiała. Opuściła sakwojaż na brudny peron.

– Niechże pan wraca do Lwowa! Nie potrzebuję już pana! – krzyknęła.

Głos wewnętrzny zachichotał z satysfakcji, a Popielski go zignorował.

Nigdy nie wykazywał zbyt wielkiej determinacji w zdobywaniu kobiet. Nudziły go flirty, podchody, niedomówienia, całowanie rączek, liściki i bukiety. Jego ścisły umysł nie znosił roztrząsań, czy jakiś gest, słowo, uśmiech jest jeszcze konwencją, czy już obietnicą upojnej nocy. Nie rozumiał niektórych swych kolegów, nałogowych podrywaczy porównujących się do łowców, którzy chcą zdobycz zaciągnąć do łóżka wśród przypływu adrenaliny. Preferował zatem albo szybkie podboje, albo płatną miłość. To pierwsze – wraz z upływem lat – stawało się coraz mniej skuteczne, a to drugie – wskutek ciągłego ostatnio odchudzania portfela – coraz mniej estetyczne. Brak zainteresowania ze strony kobiet natychmiast go zniechęcał. Nie był typem upartego zdobywcy niewieścich serc.

Chyba że zdobyczą miała być Renata Sperling.

Natychmiast zapomniał o nieprzyjaznym powitaniu i o zrzędliwym głosie wewnętrznym – zamiast tego sypał dowcipami i przełamywał powoli jej niechęć, na tyle skutecznie, że w końcu zgodziła się napić wraz z nim herbaty w pobliskiej knajpie.

Byli jedynymi gośćmi w czystym, skromnym lokalu, gdzie obsłużono ich cienką herbatą i gludenem, czyli plackiem migdałowym z owocami.

– Niechże mi pani powie, panno Renato – Popielski stracił w końcu chęć do dowcipkowania i przeszedł do rzeczy – dlaczego już pani nie chce,

abym się zajmował jej sprawą.

– Przepraszam za moje zachowanie na dworcu. – Uniosła szklankę do ust, nie patrząc na niego. – Miałam czelność nakrzyczeć na pana! Jest mi bardzo przykro…

– Nic nie szkodzi. – Popielski uśmiechnął się. – Na takiego draba jak ja trzeba czasami nakrzyczeć. Inaczej by się jeszcze zbisurmanił…

– Oddam panu pieniądze za tę podróż. – Nie odwzajemniła uśmiechu. – Proszę, niech pan wraca do Lwowa…

– Wrócę, jeśli się dowiem, dlaczego pani chce zrezygnować z moich usług…

Przerwał i patrzył na nią, dopóki nie oderwała wzroku od popielniczki i nie spojrzała na niego.

– Rozbudziła we mnie pani różne nadzieje – powtórzył tym razem z uwodzicielskim uśmiechem. – I myśli pani, że ja teraz powiem: trudno, do widzenia? Nie, ja tak łatwo się nie poddaję!

– Sprawa jest już nieaktualna, bo rzuciłam pracę w Stratynie – powiedziała cicho, patrząc z obawą na kelnerkę i zapewne jednocześnie właścicielkę lokalu, która najwyraźniej się im przysłuchiwała.

– To dokąd pani teraz jedzie? Nie do Stratyna?

– Byłam we Lwowie załatwić sobie współlokatorski pokój. Nie było to łatwe. Prawie nikogo tam już nie znam, moje koleżanki z gimnazjum dawno powychodziły za mąż i odwiedzanie ich byłoby afrontem… Teraz wracam do Stratyna po mój skromny dobytek.

– Tym bardziej nie zostawię teraz tej sprawy – Popielski porzucił maskę lowelasa i zacisnął mocno pięści. – To moja wina! Odmówiłem pomocy, a hrabia pewnie znów był natarczywy, i to do tego stopnia, że musiała pani zrezygnować z pracy i porzucić Stratyn! No, nie ma co! Kapitalnie się pani przysłużyłem! Nie chcę żadnych pieniędzy! – podniósł głos. – Żadnych! O nie, droga Renato, ja tak łatwo się nie poddaję! Znajdę hrabinę, a ona panią znowu przyjmie do pracy!

– Błagam, niech pan mówi ciszej – szepnęła Renata i dotknęła nieśmiało jego dłoni. – Ja wiem, że pan wszystkiemu podoła! Pan jest silnym mężczyzną! Ale nec Hercules contra plures [21]! Hrabia Bekierski – szeptała tak cicho, że Popielski nie bez przyjemności przechylił się nieco przez stół i przybliżył ucho do jej pełnych warg – hrabia Bekierski to sadysta i degenerat, otoczony gromadą zbirów, Rosjan spod ciemnej gwiazdy, którzy na jego rozkaz zrobią największą podłość! Błagam pana,

niech pan wraca do Lwowa i zapomni o wszystkim! Oddam panu pieniądze za podróż!

– Myśli pani, że wystraszę się jakichś bolszewików? – Popielski oparł ramiona na oparciu krzesła i uśmiechał się drwiąco.

Wiedział, że jego szeroka i wypięta do przodu klatka piersiowa zawsze podobała się kobietom. Niejedna z nich się do niej tuliła, a jedna w nią kiedyś zaciekle bębniła przy rozstaniu, chcąc, by zabolało go tam, gdzie ona najbardziej lubiła zasypiać.

– Droga panno Reniu – dotknął jej dłoni – była pani drobną dzieciną, kiedy walczyłem z Rosjanami na wojnie bolszewickiej. Jeszcze pani nosiła rąbek koszuliny w ślicznej buzi, kiedy waliłem po tych kacapskich kwadratowych gębach! Wie pani, co znaczy po rosyjsku morda kirpicza prosit? Otóż tak nazywa się oblicze tak wstrętne, że aż się prosi o cegłę, czyli – żeby je cegłą zdefasonować… Wiesz, ile razy użyłem cegły? – Podniósł do ust jej dłoń. – No chodź, dziecinko, bo nam pociąg do Pukowa ucieknie…

Kiedy przepuszczał ją przodem przez drzwi knajpy i lubieżnie obserwował jej łydki, uda i biodra, usłyszał drwiący głos swego wewnętrznego wroga: „Szkoda, że jej nie powiedziałeś, co ci takiego zrobili bolszewicy na plebanii w Mozyrzu!”

[20] Rodzaj pierogów.

[21] Nawet Herkules nie podoła wielu [napastnikom].

## X

NA STACJI W PUKOWIE CZEKAŁ NA RENATĘ SPERLING KRZEPKI, wysoki starzec z dwiema świeżymi bliznami na twarzy. Owe znamiona oraz mundur lokaja ozdobiony podkową z wpisanym w nią maltańskim krzyżem od razu uświadomiły Popielskiemu, że ma do czynienia z oszpeconym przez hrabiego Bekierskiego kamerdynerem Stanisławem, o którym jako o człowieku godnym zaufania mówiła mu Renata we Lwowie. Kiwnął głową słudze, a ten się przedstawił i Popielski oprócz znanego mu już imienia usłyszał również nazwisko.

– Wiącek.

Uroczystym gestem kamerdyner wskazał im bryczkę stojącą w pyle drogi. Renata wskoczyła lekko, Popielski ciężko runął na kanapę pojazdu. Ruszyli. Kiedy jechali wzdłuż zielonych pól, Renata krótko

charakteryzowała Wiąckowi misję Popielskiego. Przy wjeździe do samej wsi Puków, oddalonej od stacji o jakieś półtora kilometra, kamerdyner zatrzymał pojazd i zaordynował taki oto porządek działań.

– Upraszam wielmożnego pana – mimo pokornej frazy jego głos był pełen godności – aby wysiąść teraz raczył i do pałacu przyjechał dopiero za kilka godzin. Najlepiej o piątej. Najwygodniej będzie zrobić tak: wielmożny pan raczy wynająć rower od właściciela sklepu, do którego się właśnie zbliżamy, i przyjedzie na rowerze do pałacu. Jeśli nie będzie sklepikarza, wypożyczą panu rower w młynie Czaplińskiego lub u kowala Swerydy. To kilka kroków stąd, o tam. – Wskazał na zabudowania oddalone o kilkadziesiąt metrów od drogi. – Ale proszę ten rower wypożyczyć jak najszybciej, bo dziś chłopi wcześnie wychodzą z domostw, by puszczać skorupy na Rachmańskyj Wełykdeń [22]. Potem idą do cerkwi. Wielmożny pan pożyczy zatem teraz rower, poczeka z pojazdem do piątej, pojedzie do pałacu, załatwi swoją sprawę u hrabiego, po czym wróci rowerem do Pukowa pod ten oto sklep. A ja tu już będę czekał z panienką Renatką i pojedziemy wszyscy razem na stację.

Zatrzymali się pod drewnianym domem opatrzonym szyldem pisanym cyrylicą. „Zhoda” – przeczytał Popielski. Wysiadł, pocałował Renatę w dłoń, ścisnął mocno kościstą rękę sługi, co tego ostatniego bardzo przyjemnie zaskoczyło, zapalił papierosa i poczekał, aż obydwoje odjadą. Wtedy z niepokojem przeszukał wszystkie kieszenie. Znalazł w nich jedynie bilet powrotny na pociąg relacji Puków – Chodorów – Lwów, wizytówkę fikcyjnej kancelarii adwokackiej, której miał być rzekomo pracownikiem, oraz pięć groszy. Poczuł wściekłość na siebie samego. Nie chciał się kompromitować w oczach Renaty brakiem pieniędzy i nie odważył się poprosić, by kamerdyner podwiózł go jak najbliżej majątku Bekierskich!

– Tak – powiedział sam do siebie. – Wszystko wydałeś na herbatę i makagigi w knajpie w Chodorowie, no to teraz per pedes! Za pięć groszy nikt ci tutaj nie wynajmie roweru, stary ośle!

Nie próbował nawet sprawdzać, czy jego przewidywania co do wynajmu bicykla są słuszne, i szedł przez wieś noga za nogą, zmierzając w tę stronę, gdzie już zniknęli w chmurze pyłu kamerdyner Stanisław Wiącek i Renata.

Z nieba lał się prawie letni żar. Pył pokrywał buty Popielskiego, jego płuca wciągały kurz, a koszula i wewnętrzna taśma kapelusza zaciemniły

się od potu. Pod ciemnymi okularami gromadziły się kropelki wody. Poluzował krawat, zarzucił na ramię marynarkę i szedł dalej, ignorując rzucane zza płotów domostw ciekawskie spojrzenia kobiet i tępy wzrok dzieci stojących przed obejściami w długich koszulinach. Odpowiadał po ukraińsku „wzajemno!” na pozdrowienia „Wesełoj Paschy!” [23] i „do Stratyna” na pytanie „Kudy idete, pane?” [24] rzucane przez mężczyzn, którzy szli w przeciwną stronę wystrojeni w haftowane koszule. Odganiał się od wyjątkowo dokuczliwych much i przyglądał przeważnie dużym i kudłatym psom, które szczekały donośnie i miotały się pod budami na długich postronkach.

Kiedy już znalazł się za ostatnimi chatami Pukowa, usłyszał przeraźliwe skrzypienie furmanki. Osłonił oczy przed słońcem i stał, ufając, że woźnica jedzie gdzieś dalej, a nie tylko na okoliczne pola.

Nie pomylił się. Furę zajmowała liczna rodzina. Furman, przedstawiwszy się „Sonik Wincenty”, chętnie przygarnął wędrowca i zaczął go wypytywać o to samo, co chcieli wiedzieć chłopi z Pukowa. Prywatny detektyw postanowił wykorzystać okazję, opowiedział im o poszukiwaniu hrabiny i wypytał, czy coś wiedzą o jej zaginięciu. Kręcili przecząco głowami.

Dojechali do wsi Dobryniów, leżącej między Pukowem a Stratynem, gdzie Sonikowie mieli spędzić święta u krewnych. Popielski zamierzał się z nimi pożegnać, ale nie było to takie proste. Dobryniowscy, krewni furmana, chcieli ugościć pana ze Lwowa, aby się wywiedzieć, co go sprowadza na taki kraj świata. Zadowolili się połowicznym rozwiązaniem: Popielski wyjawił cel przybycia, lecz nie uzyskawszy od nich żadnej wskazówki co do zaginięcia hrabiny, podziękował grzecznie za gościnę i udał się w dalszą podróż na piechotę.

Po drodze dogonili go w furmance Wincenty Sonik i kilku jego krewnych. Uznali, że nie godzi mu się iść, i odwieźli do samego Stratyna. Tam Sonik pożegnał swego pasażera serdecznie, obdarowawszy go ciastem wielkanocnym, zwanym marcinkiem. Detektyw chciał mu się zrewanżować dwoma ostatnimi papierosami. Sonik odmówił.

– Te miejski cygarety pu gardłu mni drapaju. – Chłop uśmiechnął się, trzasnął batem i pomachał Popielskiemu ręką.

Ten rozejrzał się wokół. Szukał wzrokiem jakiejś publicznej studni, gdzie mógłby zaspokoić pragnienie i doprowadzić zakurzoną garderobę do względnego porządku. Studni nie dostrzegł, lecz zauważył za to ciemny

potok o łagodnych brzegach obrośniętych trawą i drzewami, który wyraźnie dzielił osadę na dwie części. Nad tym potokiem w kilku miejscach stały małe grupki ludzi. „Odpocznę tam – pomyślał – i zapytam, jak dojść do majątku hrabiego”.

Podszedł do nich, pozdrowił ich wielkanocnie, dowiedział się, jak dojść do pałacu, a potem opadł w świeżą i miękką trawę, zdjąwszy pierwej spodnie i marynarkę, by nie pobrudzić ich od murawy. Do piątej pozostawały dwie godziny.

Siedząc w samym kalesonach i koszuli, jadł smakowite ciasto i zastanawiał się nad sposobem rozmowy z porywczym hrabią. Rozważając wszelki możliwy rozwój wypadków, nie po raz pierwszy dzisiaj doszedł do wniosku, że zbyt pochopnie podjął się tej misji.

Aby doprowadzić ją do pożądanego końca, powinien przyjechać ze stosowną sumą pieniędzy, zamieszkać choć przez kilka dni gdzieś w okolicy, skrycie przesłuchać różnych ludzi, którzy mogli mieć kontakt z zaginioną hrabiną, tego i owego postraszyć, tego i owego przekupić. Zamiast tego on udaje urzędnika kancelarii adwokackiej, bez grosza przy duszy idzie wprost do jaskini lwa, do jakiegoś degenerata i sadysty, gdzie może skończyć w gnojówce, wychłostany uprzednio przez psiarczyków. A to wszystko tylko dlatego, że chce pokazać pięknej pannie, jakim jest Herkulesem, który może skutecznie walczyć contra plures!

Snuł te niewesołe myśli z zamkniętymi oczami i słuchał nawoływań chłopów, którzy rzucali na wodę potoku skorupy jaj – wedle ludowych wierzeń czterdziestego dnia po Wielkanocy mają one dopłynąć do kraju rachmańskiego, gdzie w dniu zwanym „Rachmańskyj Wełykdeń” na powrót staną się jajkami i nakarmią mieszkańców tej mitycznej krainy. Język ukraiński wbrew wiedzy językoznawczej, którą posiadł, nagle skojarzył mu się z rosyjskim. I w tej właśnie chwili zasnął i przeniósł się znad potoku Studenego pod Stratynem na brzeg Prypeci w Mozyrzu. Zamiast twardych męskich sylab ukraińskich usłyszał miękkie i rozlazłe sylaby „języka bez kości”, jak nazywał ruszczyznę Tomasz Mann. I zobaczył siebie sprzed jedenastu lat, w czasie wojny. Przebrany w sutannę i czapkę proboszcza, stoi wśród pijanych bolszewików. On – porucznik 9. Dywizji Piechoty – całuje ich po rękach, a oni ściągają buty i każą się całować po nogach. Wzdraga się przed tym poniżeniem. Wtedy jeden z Sowietów tłucze pieczątką po łysej głowie Popielskiego. Na zaczerwienionej skórze odbija się raz po raz napis „Parafia rzymskokatolicka w Mozyrzu”. Na ziemi leży

zarżnięty ksiądz, którego strój na rozkaz dowódcy bolszewików ma teraz na sobie Popielski. Pijany watażka, starszyna nazwiskiem Szczukow, trzyma za włosy małą, głuchoniemą dziewczynkę służącą u księdza. Podkasuje jej nocną koszulę i łapie się za krocze. „Dawaj Paljak! – wrzeszczy. – Ty tiepier’ rimskij swiaszczennik! Całuj po rukach i nogach ruskich tawariszczej, a niet, to ja budu jebał etu krasawicu” [25].

Popielski obudził się i otworzył oczy. Ktoś nad nim stał. Odleciały wspomnienia z Mozyrza, ale język rosyjski pozostał. Usłyszał wyraźnie „Eta nasz maładiec!” [26]. I wtedy na jego głowę spadł pierwszy cios.

Popielski zasłonił łysinę i instynktownie przeturlał się po murawie. Nie na wiele się to zdało. Zatrzymał się bowiem na jakimś drzewie. Wcisnął palce w miękką ziemię, aby się podnieść. Nie zdążył. Drzewo okazało się nogą w wysokim wojskowym bucie. Jego czub trafił go w czoło. Stracił równowagę i opadł ciężko na pośladki. Już teraz mógłby dobrze widzieć napastników, gdyby nie krew, która lała mu się na oczy. Widział tylko właściciela wojskowego buta. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, ubrany w bryczesy i w sportowy garnitur przepasany paskiem. Gęste, sztywne czarne włosy zwisały mu nad czołem, spod którego patrzyły oczy tak małe, że wydawały się niemal wciśnięte w głowę. Człowiek ten uniósł dłoń i powstrzymał pozostałych napastników, których Popielski nie widział, lecz dobrze wyczuwał za swoimi plecami.

– Tu wszystko jest moje – napastnik zatoczył ręką koło i obrócił się wokół własnej osi – i każdy tutejszy człowiek jest moim niewolnikiem. Własnością Józefa hrabiego Bekierskiego herbu Jastrzębiec. I każdy mi donosi. O tym, co się dzieje, kto tu nowy przybywa i po co. To jest mój kraj. A ty do niego wtargnąłeś bez zaproszenia. Leżysz tu nad wodą jak letnik w samych inekspymablach i gorszysz pobożnych chłopów.

– Nikogo nie gorszę. – Popielski kącikami oczu dostrzegł trzech napastników stojących za nim. – Wczoraj odebrałem bieliznę od praczki.

– W samych obsranych gaciach. – Hrabia poprawił falę włosów jeżącą mu się nad czołem. – Będę cię teraz ćwiczył nahajem tak długo, aż się zesrasz. Będziesz strzykał gównem z bólu.

Spojrzał ponad jego głową. To był znak. Popielski nagle znalazł się w pozycji leżącej. Bicepsy, które niedawno prężył przed Renatą, wciskały mu w ziemię twarde kolana przeciwników. Przywarłszy policzkiem do podłoża, dostrzegł, że na jego rękach klęczą dwaj ludzie w kozackich czapach.

Trzeci, ubrany identycznie jak koledzy, wpakował głowę Popielskiego pomiędzy swoje kolana, ścisnął mu nimi uszy jak imadłem, oparł obie ręce na jego potylicy i wcisnął ją w miękką trawę. Popielski już nic nie widział, nie mógł się ruszać, a w ustach żuł kleiste grudy czarnoziemu.

I wtedy nadszedł drugi cios.

Hrabia Bekierski uderzył nahajem tak mocno, że koszula Popielskiego pękła na plecach. Następne ciosy były bardzo precyzyjnie wymierzone – trafiały wciąż w to samo miejsce. Hrabia uśmiechał się pod wąsikiem, widząc, jak pręga, na początku tylko lekko zaczerwieniona, pod kolejnymi ciosami puchnie w oczach, a wzdłuż niej rozchodzą się dwie warstwy mięsa, rozdzielone smugą gęstej krwi. Po chwili cała koszula była popękana, a plecy bitego pokryte rozoranymi bruzdami.

Bekierski odłożył bicz, otarł czoło białą chusteczką z koronkowym obramowaniem, w kieszenie spodni wsunął dłonie i wyjął je, ściskając coś w garściach. Potem roześmiał się głośno i otworzył zaciśnięte pięści. Sól pokryła rozprute mięso białym nalotem.

Popielski wył w ziemię. Nagle zelżał ucisk kolan na jego uszach.

– Nie pytaj nigdy nikogo o moją matkę! – usłyszał ciche słowa Bekierskiego. – Nie przyjeżdżaj już nigdy do mojego państwa! Nu, Saszeńka, dawaj ty kaljuczyj prawod!

Uszy Popielskiego znów zostały zmiażdżone imadłem kolan. Nie znał frazy „kaljuczyj prawod”, ale zaraz ją zrozumiał każdym rozbolałym zmysłem. Była dla niego idiomem i znaczyła „męka, która nie ma końca”.

Biekierski rzucił na fioletewoczerwoną opuchliznę pleców Popielskiego gęstą siatkę z drutu kolczastego.

Rosjanie kontynuowali krwawe dzieło. Skakali po bezwładnym ciele, wciskali siatkę w rozjątrzone rany i sypali wokół chmury soli. Słońce paliło, przerażeni chłopi zbijali się w coraz ciaśniejszą kupę na brzegu potoku Studenego, a oprawcy potykali się o leżącego.

Hrabia Bekierski nie skakał, stał obok i patrzył na maltretowanego człowieka. Czubem buta rozsunął jego nogi.

– Chwatit – przerwał taniec. – Pasmatrim, rebiata, zesrałsja on ili niet… Niet… Szto nam nada tepier’ diełat’? [27]

Stanął w rozkroku nad Popielskim i rozpiął rozporek.

– Widzisz, jaki mam zdrowy pęcherz? – spytał hrabia, kierując nurt bijącego strumienia na jego głowę.

Popielski ocknął się i szarpnął w tył. Wygiął się w kabłąk i zaczerpnął powietrza. Było mu potrzebne nie do tego, by przeżyć, lecz by wyć. Musiał wyć. Bez wycia by umarł. Bekierski wcisnął jego twarz w ziemię.

– Ciągle jakaś kanalia przyjeżdża ze Lwowa i pyta o moją matkę! – mówił cicho. – A ja tak traktuję każdego jak teraz ciebie. Wracaj do Lwowa do swojego kolegi! Słyszysz, żuczku?

Zapiął rozporek. Jeden z Rosjan włożył stopę pod twarz Popielskiego. Ciało detektywa drgało lekko.

– Smatri, graf – powiedział Rosjanin do Bekierskiego. – Eta morda kirpicza prosit! [28]

Wziął potężny zamach i trafił czubem w nos Popielskiego.

[22] Rachmańska Wielkanoc.

[23] Wesołej Paschy.

[24] Dokąd pan idzie?

[25] No, Polaku! Jesteś teraz rzymskim księdzem! Całuj po rękach i nogach rosyjskich towarzyszy, a jeśli nie, to ja będę jebał tę ślicznotkę.

[26] To nasz zuch!

[27] Wystarczy. No, zobaczmy, chłopcy, zesrał się czy nie… Nie… No to co teraz mamy robić?

[28] Patrz, hrabio, ta morda prosi się o cegłę!

## XI

RÓG ULICY PILNIKARSKIEJ I STAREGO RYNKU był wymarzonym miejscem zamieszkania dla rabina Pinchasa Schatzkera, ponieważ jakimś niezwykłym zrządzeniem losu świetnie współgrał z osobowością i zainteresowaniami naukowymi tego uczonego męża. Z narożnego balkonu mieszkania żydowski kapłan widział miejsce swej posługi duchowej – pobliską synagogę – oraz kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, której to postaci, jako prorokowi żydowskiemu, rabin poświęcił kilka artykułów w niemieckich periodykach orientalistycznych. Pięć minut drogi dzieliło go od pałacu arcybiskupiego, gdzie odwiedzał swego przyjaciela, sekretarza arcybiskupa Twardowskiego, księdza doktora Tadeusza Mazura. Przyjaźń ta oficjalnie scementowana była wspólnotą zainteresowań badawczych, a mniej oficjalnie wspólnym zamiłowaniem do księżowskich nalewek. Obaj panowie nader chętnie się nimi raczyli, dyskutując przy tym o onomastyce palestyńskiej lub o możliwościach

asymilacji mniejszości żydowskiej w Polsce, którego to zjawiska rabin Schatzker był zdecydowanym orędownikiem.

Pogląd ten dzielił z nim bez najmniejszych zastrzeżeń aspirant Herman Kacnelson, który siedział teraz w jego gabinecie i obserwował, jak nieco zamglone oczy rabina uważnie śledzą przez lupę hebrajski tekst, którym morderca Luby Bajdykowej skomentował swe krwawe dzieło.

– „Krew, ostrze, ruina, wróg, koniec, śmierć dla syna jutrzenki nie są piętnem i nie są złem”. Przekład profesora Kuryłowicza jest poprawny – Schatzker odłożył kartkę – i nie mam tu nic do dodania. Tak na moje rozeznanie jest wielce prawdopodobnym, że ten zapis nie pochodzi z żadnego znanego mi dzieła żydowskiego, które powstało po Torze.

– Jeśli to nie jest cytat ani parafraza cytatu – Kacnelson popisywał się naukowym słownictwem – może poszukiwany przez nas człowiek to po prostu wymyślił. Jaką znajomością języka musiałby się wykazać, by tego dokonać? Czy na podstawie tego zapisu można by stwierdzić, że autor jest po jakiejś szkole żydowskiej?

– To bardzo proste zdanie, panie aspirancie. – Rabin uśmiechnął się lekko. – I mógł je napisać każdy, kto liznął trochę hebrajskiego. Musiałby oczywiście umieć odczytać alfabet i korzystać ze słownika. Moim zdaniem, przeciętnie uzdolniony człowiek napisałby to po dwóch miesiącach nauki. Klasycznej hebrajszczyzny uczymy oczywiście w chederach i w jesziwach, ale i poza nimi, na różnych kursach. We Lwowie odbywają się co najmniej dwa kursy biblijnego hebrajskiego, prowadzone przez syjonistów z B’nai B’rith Leopolis. W Niemczech, proszę sobie wyobrazić, naucza się go nawet w gimnazjach, a uczą się najchętniej przyszli pastorzy. Ale to w kraju cywilizowanym, a nie w Polsce… Tutaj wciąż panują uprzedzenia… Sam znam pewnego księdza…

– Najbardziej interesującym tu określeniem – Kacnelson nie chciał słuchać wywodów politycznych i nie tracił nadziei na jakąś przełomową wskazówkę – jest „syn jutrzenki”. Ten zapis, muszę tu dodać, pochodzi od kogoś, kto uczynił coś złego. Ten złoczyńca może sam siebie nazywać synem jutrzenki, czyli szatanem. Czy mógłby to pan jakoś skomentować?

– Jeśli przyjmiemy, że chodzi o szatana – Schatzker podniósł się zza biurka i na stojąco wertował stare, okute i oprawione w skórę wydanie Biblii hebrajskiej leżące na masywnej podstawce – przenosimy się najwyraźniej do tradycji chrześcijańskiej. To ona bowiem utożsamiła jakiegoś króla asyryjskiego lub nowobabilońskiego, o którym Izajasz pisał

drwiąco w rozdziale czternastym ben szachar, to znaczy „syn jutrzenki” lub „gwiazda zaranna”, z szatanem. Nasz prorok wyszydzał tego króla, mówiąc: „O, jakże spadłeś z nieba, ty, gwiazdo jasna, synu jutrzenki! Powalony jesteś na ziemię, pogromco narodów!”. Tegoż to króla chrześcijańscy interpretatorzy Tertulian i Orygenes uznali za szatana strąconego z nieba do szeolu, czyli piekła, a łacińscy tłumacze nazwali go „Lucyfer”, czyli „niosący światło”. A zatem jeśli w pańskim zapisie rzeczywiście chodzi o Lucyfera, zaryzykowałbym stwierdzenie, że zapis ten wyszedł spod pióra chrześcijanina.

– Dziękuję. – Kacnelson podniósł się z krzesła. – Znajdziemy tego Lucyfera albo sektę jego czcicieli…

***

– Sektę czcicieli diabła? We Lwowie? – Komisarz Franciszek Pirożek parsknął śmiechem.

Były policjant, który pracował w Urzędzie Wojewódzkim zwanym wciąż przez lwowian „namiestnikostwem”, w sekretnym Oddziale Politycznym Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, śmiał się i z upodobaniem stukał cygarniczką o marmurowy blat.

– Co cię tak wzięło, Wiluś, na satanistów, i to zaraz po świętach? Masonów to ja bym ci, bracie, wskazał u nas bez liku, ale satanistów?

Zaremba rozkroił widelczykiem torcik szwarcwaldzki i wsunął sobie do ust smakowite ciasto. Nie osłodziło mu gorzkich myśli. Mocna kawa i kminkówka, spécialité de la maison [29] kawiarni „Teatralnej”, też ich nie poprawiły.

– Może dotrzemy do satanistów przez masonów? – Zaremba sam nie wierzył w to, co mówi.

– Oj, żarty się ciebie trzymają, Wiluś. – Pirożek automatycznie przeglądał fotosy z filmu Uroda życia dołączone do menu. – Jesteś bardzo podatny na kościelną propagandę: masoni są sługami szatana. Tymczasem to grupa poważnych ludzi interesu i arystokratów, którzy mają trochę kuku na muniu, jeszcze nie wyrośli z krótkich majtek i bawią się w tajną bandę…

– Ale słyszałem, że ich rytuały są podobne satanistyczny…

– Ich rytuały wzbudzają śmiech u nich samych, zapewniam cię. Wiesz, co oni robią podczas tych swoich obrzędów na rozpoczęcie zebrania loży? Przeważnie śpią. Pewien nasz człowiek w loży, znany chirurg, mówił mi, że

najbardziej lubi te rytuały, bo może się zdrzemnąć po operacjach w szpitalu…

Zaremba dopił kawę i wstał, pozostawiwszy wbrew swojemu łakomstwu nie dojedzony kawałek tortu. Czuł przykry ucisk na żołądku. Podał rękę Pirożkowi i włożył melonik.

– Dziękuję ci, Franiu – powiedział, przełykając ślinę – że zgodziłeś się ze mną nieoficjalnie porozmawiać i że obeszło się bez drogi służbowej. Im mniej ludzi wie o tej sprawie, tym lepiej…

– Posłuchaj, Wiluś – Pirożek spoważniał – powiem ci coś na odchodne. Nie twierdzę, że nie ma u nas lucyferian. Ale jeśli nawet są, to siedzą w tak głębokiej konspiracji, że nasi szpicle nie mają szans zbliżyć się do ich przedpokoju, a co dopiero wejść na ich obrzędy. Powiem ci, czego się dowiedziałem w Warszawie na szkoleniu w Referacie Specjalnym. Przed dwoma laty pewna młoda prostytutka, dziecko prawie, doznała pomieszania zmysłów. W chwilach przytomności twierdziła, że zmuszano ją do różnych okropieństw, na przykład do zjadania ugotowanych niemowląt… Wskazywała dom pewnego pułkownika, gdzie rzekomo to wszystko miało się odbywać. Były pewne podejrzenia, służba potwierdzała, że żona tego oficera miała w sypialni odwrócony krzyż, że nocami dochodziły z salonu łacińskie śpiewy… Jak możesz mniemać, śledztwo szybko zatuszowano ze względu na osobę rzeczonego pułkownika. Jego samego wkrótce przerzucono na jakąś placówkę dyplomatyczną. To jedyna sprawa lucyferian w Polsce, o której wiem…

– Nie wiesz, kto prowadził tamto śledztwo w Warszawie?

– Wiem, ale ci nie powiem. – Uśmiechnął się przepraszająco Pirożek. – Do emerytury trochę mi brakuje… Przykro mi, bracie, ale pozostaje ci teraz już wyłącznie droga służbowa…

– Nazwałbym ją ślepą uliczką – powiedział Zaremba.

Po wyjściu z lokalu aspirant stał przez chwilę na ulicy Skarbkowskiej i w zamyśleniu przyglądał się ludziom z długiej kolejki do kasy kina „Lew”, które mieściło się w tym samym budynku co kawiarnia „Teatralna”.

Nie rozumiał, czemu się przejmuje tą sprawą tak bardzo, że poświęca się jej po pracy. Powinien być teraz w domu i zajadać na kolację ulubione zrazy nelsońskie, a nie włóczyć się po kawiarniach, zamulać sobie brzuch ciastkami i chłeptać kawę, o której największe autorytety medyczne mówią, że jest szkodliwa. „Już brzuch mnie rozbolał – myślał – i całkiem tracę apetyt na rodzinną kolację. Dlaczego nie mogę zrozumieć, że ta sprawa jest jak każda inna, że należy nad nią pracować nie więcej niż osiem godzin dziennie, a jeśli skończy się fiaskiem, to i tak nie ja za to oberwę, a najwyżej Kocowski dostanie od Grabowskiego paternoster?! A mimo wszystko tak się tym wszystkim trapię. Po co, do cholery?!”

Uznał, że odpowiedź na to pytanie łatwiej znajdzie przy stopce zmrożonej wódki. Ruszył w stronę Teatru Wielkiego, przekonując sam siebie, iż napój ten podostrzy mu apetyt i będzie dobrym remedium na mdłości, które go ogarniały. Poza tym reprymenda ze strony małżonki i tak jest niechybna, bo już teraz jego spóźnienie na rodzinną kolację wynosiło ze dwa kwadranse.

Przy placu Gołuchowskich wszedł do knajpy Gutmana. Była równie podła jak niedaleka knajpa Bombacha opiewana przez lwowskich batiarów. Oparł się o bar i zamówił setkę czystej, kromkę czarnego chleba ze skwarkami i kiszony ogórek. Otrzymawszy te specjały, odwrócił się do sali i obserwował gości zapełniających lokal. Przy chybotliwych stolikach siedzieli biedni studenci, domokrążcy, dorożkarze i drobni przestępcy. Ci pierwsi politykowali nad szklankami słabej herbaty, pozostali pili piwo lub załatwiali pokątne geszefty. Jeden człowiek, stojący na końcu sali, zupełnie nie pasował do otoczenia. Nie należał do żadnej z tych grup: z nikim bowiem nie rozmawiał, nie pił niczego i zamiast siedzieć, stał, ignorując zaloty ostro umalowanej dziwki. Wlepiał tępy wzrok w blaszaną reklamę informującą, że „piwa okocimskie marcowe są niezrównane w smaku dla odzyskania siły zdrowotnej”. Wszyscy go omijali łukiem, nawet kelnerzy, zwykle natrętni, nie indagowali go wcale, ponieważ straszne sprawiał wrażenie spuchniętym nosem i sińcami na twarzy, które nadaremno starał się zakryć pod czarnymi binoklami o pękniętych szkiełkach.

Zaremba w odróżnieniu od innych nie tylko go nie ominął, ale ruszył ku niemu z zasępioną miną, dzierżąc w dłoniach dwie pięćdziesiątki wódki i

talerzyk ze skromną zakąską. W miarę jak się do niego zbliżał, coś coraz mocniej go powstrzymywało. Człowiek ten, niegdyś niezwykle elegancki, teraz wyglądał jak ostatni kiryło [30]: podrapane policzki, brudne, popękane paznokcie, jakby rękami mieszał paszę dla bydła, i głupawy uśmiech przypominający Zarembie znanego lwowskiego wariata, który podczas koncertów na świeżym powietrzu zawsze stawał obok kapelmistrza i dyrygował orkiestrą. Z ust tego człowieka dwa tygodnie temu wylatywały skomplikowane naukowe terminy, teraz zaś – ordynarne przekleństwa. Wtedy mówił do studentów, teraz obsztorcowywał tanią dziwkę.

Zaremba wrócił do baru, wypił dwie wódki i w błysku jednej chwili znalazł odpowiedź na zadawane sobie pytanie. Brzmiała ona: wszystkie moje siły poświęcam sprawie Bajdykowej, bo chcę być taki jak Edzio Popielski, który temu śledztwu oddałby się do szczętu. Chcę być jak Popielski.

Patrząc na wrak człowieka, jakim był jego przyjaciel, wiedział, że ta odpowiedź przestała być prawdziwa.

Włożył melonik i z ciężkim jak kamień brzuchem wygramolił się z lokalu, potrącając po drodze ładną czarnowłosą kobietę.

W domu czekały na niego wymówki żony i zimne zrazy nelsońskie. Zjadł je szybko wśród żołądkowej czkawki, a potem gwałtownie zwymiotował. W przerwach między torsjami widział poranioną twarz Popielskiego i siebie samego – Judasza, który nawet nie podszedł do pobitego i załamanego nerwowo przyjaciela. Rzygał na gęsto, ale nie udało mu się wypluć wyrzutów sumienia.

[29] Specjalność zakładu.
[30] Cham.

## XII

KIEDY RENATA SPERLING WCHODZIŁA DO KNAJPY, potrącił ją zażywny jegomość w meloniku. Chciała go ofuknąć, ale ów ordynus popędził tak szybko w stronę Teatru Wielkiego, że i tak by nie usłyszał jej reprymendy. Dziewczyna spojrzała na szyld lokalu, upewniła się, że jego właścicielem jest I. Gutman, i weszła do środka.

Pojawienie się samotnej kobiety wzbudziło u bywalców różne reakcje. Jakiś student podkręcił wąsa i poprawił krawat, inny przyczesał poślinioną dłonią przetłuszczone włosy, bomby piwa drobnych handlowców zawisły w

drodze do ich ust, a dziwki, węsząc konkurencję, piorunowały ją wzrokiem. W knajpie zaczął się właśnie wieczorek taneczny i akordeonista zagrał skoczną piosenkę:

Za rogatki, by zabawić si, wybrałym raz,
By tam mili i burzliwi swój przypendzić czas.
Ja najsamprzód przy bufeci wypił wódki trzy,
A tu panny już koło mni jak nad wodu mgły.

Niejeden z bywalców ruszył ku Renacie z zamiarem zaproszenia jej do tańca, ale ona omijała dansingowych amatorów i slalomem zmierzała ku człowiekowi, który najwyraźniej nie tylko nie chciał z nią tańczyć, lecz wręcz usiłował się przed nią schować za kotarą zasłaniającą drzwi do ustępu.

Rozumiała doskonale jego zachowanie. Nie chciał widzieć jej – świadka i przyczyny swego poniżenia. Być upokorzonym w oczach kobiety, niegdyś bezradnej uczennicy, teraz adresatki umizgów, przed którą kilka godzin wcześniej demonstrowało się siłę i nieugiętość – to dla prawdziwego mężczyzny otchłań wstydu, czarna noc.

To wszystko dostrzegła w jego oczach ponad tydzień temu, gdy znalazła go nad potokiem Studenym. Jechała bryczką powożoną przez lokaja Stanisława Wiącka, gdy usłyszała wycie i ujrzała grupę ludzi otaczającą jakiś wielki tłumok w zakrwawionym prześcieradle. Miało ono posłużyć chłopom za nosidło dla rannego Edwarda Popielskiego. Kiedy przerażona stanęła nad nim, przestał wyć, szybko zacisnął zęby i powieki. Nie były one jednak całkiem szczelne, bo wytrysnęły spod nich łzy. Zaczął się lekko trząść i stracił przytomność.

Chłopi zanieśli go do bryczki i oddali Renacie tobołek z garniturem, który znaleźli na drzewie obok rannego mężczyzny. Stanisław Wiącek zmusił konie do tak szybkiego biegu, że godzinę później, gdy stały przed rohatyńskim Szpitalem Sióstr Miłosierdzia, piana spływała ze zmęczonych zwierząt. Ordynator doktór Bazyli Hilarewicz, opatrzywszy osobiście chorego, zatelefonował do Lwowa do mieszkania Popielskiego i poinformował roztrzęsioną Leokadię o poważnym pobiciu, jakiego doznał jej kuzyn. Złamanie nosa i ogólne obrażenia nie były jednak groźne dla życia. Liczne rany na plecach oczyszczono i zdezynfekowano. Po wstrzyknięciu surowicy zażegnano niebezpieczeństwo tężca.

Osiem godzin później, prawie nad ranem, zjawiła się w Rohatynie Leokadia Tchorznicka, naurągała Renacie i chciała wyrzucić ją z sali, każąc „wynosić się precz do Palestyny”, po czym zajęła miejsce przy łóżku Edwarda zwolnione przez Renatę. Ta cicho stanęła u wezgłowia.

Wtedy Popielski odzyskał przytomność, przyjął od siostry zastrzyk morfiny i – leżąc na brzuchu – spojrzał na Renatę z dołu. W jego przekrwionym oku dostrzegła wstyd. Nawet nie zareagował, kiedy z płaczem go pożegnała.

Poza nieudaną próbą schowania się za kotarę nie zareagował i teraz, kiedy zbliżyła się do niego, przepchnąwszy się przez rozochoconych biesiadników. Stał jak słup i wpatrywał się w blaszaną reklamę piwa okocimskiego. Podeszła do niego bardzo blisko.

– Jakże się pan czuje, panie profesorze? Czy już lepiej?

– Dobrze. – Wciąż na nią nie patrzył.

– Porozmawiajmy z dala od tego hałasu. – Rozejrzała się wokół i zatrzymała kelnera, który omijał gości z tacą pełną piwa. – Panie starszy, czy macie wy tutaj gabinety dla towarzystwa?

– Mamy – burknął kelner. – Ali to grand [31] kosztuji!

– No to pokaż pan gdzie!

– Ta chwileczki, paniuńciu złota, tylku tym kindrom [32] z Kliparowa browaru [33] nadam!

Kelner rozstawił kufle pomiędzy batiarami w apaszkach i poprowadził do gabinetu, w którym, jak wiedział Popielski, co zamożniejsi klienci urządzali imieniny lub gościli z panienkami.

Zainkasowawszy od Renaty złotówkę za godzinne wynajęcie dość obskurnego pomieszczenia z dwiema dziurawymi kanapami i oleodrukami na ścianach, ukłonił się w pas i niespecjalnie zdziwiony, że niczego nie zamawiają, uśmiechnął się do Popielskiego znacząco, cmoknął w powietrze i obiecał przyjść tylko wtedy, gdy państwo go wezwą specjalnym dzwonkiem.

– Jak pani mnie tu znalazła? – skrzywił się Popielski, któremu każdy ruch mięśni twarzy przypominał o złamanym nosie.

– No przecież nie dzięki pańskiej kuzynce. – Oczy Renaty zabłysły złowrogo. – Ona wzbrania się przed rozmową ze mną. Obarcza mnie winą za wszystko. I słusznie – teraz dostrzegł w nich łzy – ale nie gniewam się na nią… Wszystko mi powiedział stróż z pańskiego domu. Że nie może pan wytrzymać w mieszkaniu, gdzie wszyscy się nad panem użalają… Że

chodzi pan tylko do tych restauracyj, gdzie mają telefon, bo może być potrzebny w razie czego…. Że w knajpach tych znają numer do pana do domu… Że kiedyś pan chodził do Bombacha, ale ostatnio to tylko do Gutmana przy placu Gołuchowskich. Tyle mi powiedział…

Popielski przeklął w myślach głupi nawyk informowania stróża kamienicy o wyjściach do knajp. Czynił to na wyraźne życzenie Leokadii, która chciała go zawsze mieć w telefonicznym zasięgu, gdyby uległ napadowi epilepsji. Teraz nie chciał być w żadnym zasięgu. Milczał, ale nie unikał już wzroku Renaty.

– Niechże pan usiądzie, panie profesorze – powiedziała jego była uczennica. – Nie musi pan się opierać plecami o oparcie kanapy, wiem, że to bolesne… Może pan usiąść na brzeżku krzesła tak jak ja…

Popielski zrobił, co mu polecono. Spojrzał na jej krągłe uda, na których opinała się sukienka. „Teraz wszystko jest odwrócone – myślał – kobieta za mnie płaci, kobieta wydaje mi polecenia, gdzie siadać, co robić… Teraz wszystko jest na odwrót. Co powinienem zrobić, aby się dostosować do tej odwróconej konwencji?”

– Jest pan wciąż pod działaniem morfiny? – zapytała Renata, a kiedy twierdząco kiwnął głową, żachnęła się lekko. – Szkoda. Mogłabym zamówić wódkę, trochę by się pan odprężył. A tak, to chyba nie można…

Popielski nadal milczał. W myślach prowadził nieprawdopodobne analizy i stawiał osobliwe hipotezy. „Ta kobieta chce mnie upoić, a potem dosiąść. Ostro ugniatać. Ona dyktuje warunki, jest pewna siebie i świadoma swoich potrzeb. Widziała moje upokorzenie, wie, że jestem słaby jak dziecko. Może mnie obracać swoimi nogami jak marionetkę, jak bałwana. Kobiety wybierają i zdobywają mężczyzn. Wszystko jest teraz na odwrót”.

– Jest mi bardzo przykro, że poniósł pan takie straty zdrowotne i moralne… – Patrzyła mu prosto w oczy.

Kynopis, psiooka, przypomniało mu się greckie określenie bezwstydnej kokietki. Patrzy w oczy jak suka. Ona zdobywa mężczyznę, a nie mężczyzna ją. No to niech tak będzie! Na odwrót. Ŕ rebours!

Popielski zsunął się z krzesła i uklęknął przed Renatą. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła powstać. Obie ręce wsunął jej pod sukienkę. Pod dłońmi poczuł mięśnie szczupłych łydek. Paznokcie przesunęły się ze szmerem po napiętych pończochach, opuszki palców pogłaskały nagie ciało nad podwiązką.

Wtedy jego twarz zapłonęła od siarczystego policzka, a on sam, pchnięty energicznie, oparł się plecami o stół i jęknął z bólu.

– Ja pan śmie! – krzyknęła Renata. – Jest pan wstrętny! Ohyda!

– Co, jestem gorszy od Bekierskiego?! – wrzasnął wściekle.

Renata gwałtownie wybiegła z séparé.

W knajpie umilkły rozmowy, ucichła muzyka. Popielski stał w drzwiach gabinetu i widział, jak zdenerwowana Renata Sperling rozmawia z jakimś fiakrem w cylindrze.

– Jedziemy na Zadwórzańską! Wie pan, gdzie to jest?

– Na Zadwórzańskij tu ja niejednegu w kłapacz zamalował, paniuńciu – odpowiedział fiakier. – Ja cały Lembryk [34] mam w łepetyni!

Jej pantofle zastukały na schodach. Wszyscy bywalcy wpatrywali się teraz w Popielskiego. A wraz z nimi pan Ignacy Gutman, właściciel.

– Grandzisz, Łyssy! Wyjdziesz sam – zapytał i wskazał na potężnego barmana i jego brudnego pomocnika – czy ci ludzie mają cię wyrzucić na zbity pysk?

Popielski niegdyś rozkwasiłby mordę bezczelnemu knajpiarzowi, a jego ludzi spuścił ze schodów do piwnicy.

Ale teraz wszystko było na odwrót.

Uniósł ręce w obronnym geście i wyszedł szybko z lokalu.

[31] Dużo.

[32] Chłopakom.

[33] Piwa.

[34] Lwów.

## XIII

MORFINA TWORZY Z ALKOHOLEM ZŁOWROGĄ, a nawet śmiertelną kombinację. Popielski o tym wiedział doskonale, ale po wyjściu z knajpy Gutmana zlekceważył wszelkie zalecenia i ostrzeżenia lekarskie odnoszące się do tego środka przeciwbólowego, który mu regularnie aplikowano. Zdawał sobie sprawę, że alkohol wzmaga działanie narkotyku i że po wypiciu kilku stopek pogrąży się w narkotycznych stanach, w prądzie dziwacznych zdarzeń. Ale nie dbał o to, a może wręcz przeciwnie – chciał zagłuszyć w sobie wszelkie uczucia, które go ogarnęły tego wieczoru, a zwłaszcza zniszczyć nienawiść do siebie samego.

Wstydząc się pytających spojrzeń przechodniów rojnie spacerujących ulicą Legionów, przemknął się bocznymi uliczkami, nieczynnym o tej porze pasażem Fellerów i pasażem Hausmana i po kwadransie dotarł do restauracji „Reklama” przy ulicy Szajnochy. Czuł dziką, sztubacką radość, kiedy schodził po krętych schodach do głównej sali. „Nikt nie wie, że tu jestem – zacierał ręce z uciechy – nikt nie posyła mi współczujących spojrzeń, mogę się tu nawet zapić albo znarkotyzować na śmierć”.

Morfina bardzo szybko weszła w reakcję z alkoholem. Po wypiciu jednej setki Popielski kiwał się na prawo i na lewo, usiłował trafić łokciami w blat, który nagle dostał jakiejś świetlistej otoczki. Pragnął oprzeć swój wzrok na czymkolwiek, co dałoby mu poczucie równowagi, ale każdy przedmiot chwiał się i wyginał. Zamknął oczy, zwalił się z hukiem pod stół i ściągnął na siebie całą serwetę wraz ze śledziem, którego mu podano do ćwiartki wódki.

Oprzytomnienie nadeszło dwa razy. Raz – na bardzo krótko – kiedy został przez kelnerów wyrzucony na podwórko knajpy i runął plecami do skrzyni, w której piętrzył się stos kuchennych odpadków, i po raz drugi, kiedy walił pięściami w drzwi Komendy Wojewódzkiej, domagając się wpuszczenia do pracy oraz dostarczenia sobie materiałów do jakiejś ważnej sprawy, którą miał rzekomo prowadzić. Między jednym a drugim błyskiem świadomości ziała czarna dziura, podobnie jak między drugim a trzecim.

To trzecie oprzytomnienie było jednocześnie trwałym przebudzeniem. Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Był poranek. Przesunął wzrok ku górze i na brudnej ścianie dostrzegł rysunek pornograficzny przedstawiający coś, co starożytni Hindusi nazywali połykaniem owocu mango. Poniżej napis wyryty w tynku „To pozwalam robić tylko pięknym paniom”. Oprócz tego rysunku na ścianach piętrzyły się serca przebite strzałą, przekleństwa, groźby, wyznania miłosne, a nawet jedna modlitwa.

Popielski oddychał ustami i czuł, jak kurz osiada mu na gardle i podniebieniu. Rany na plecach pulsowały nieznośnym bólem i chory poczuł się tak, jakby ktoś przyklejał mu na łopatkach koszulę Dejaniry, a w nos wpychał gorącą watę. Ryknął z bólu i przewrócił się na brzuch. W nozdrza uderzył go smród szmaty zwisającej na kabłąku wiadra, w oczy zaś napis: „Łyssy, ty skurwysynu, nie masz życia, jak wyjde z furdygarni [35], to cie zajebe. Tonio”.

Już wiedział, gdzie jest. To napisał kilka lat temu w areszcie komisariatu VI niejaki Antoni Piątkiewicz, zwany Tonio, którego Popielski

wsadził za napad z nożem w ręku. Był to groźny bandyta, kastetowiec i nożownik, a przy tym charakterny batiar, który nie bał się grozić w oczy komisarzowi policji.

Ta naścienna twórczość zamazywała się teraz w załzawionych oczach Popielskiego. Płakał bezwiednie, i za sprawą obnażonych nerwów rozerwanych tkanek na plecach, i złamanego nosa, który przypadkiem zetknął się z pryczą.

Kiedy usłyszał zgrzyt judasza w drzwiach celi, zacisnął palce na brzegach łóżka i wgryzł się mocno zębami w drewno posłania.

– Z nim cóś byłu nie ten tegu, pani aspiranci – usłyszał znany sobie głos. – Ta nakirany [36] nie był, ali na nogach nie ustał. Ta ja gu wziął z Miśkiem łachy pud pachy i tu zaniós. A pan kumisarz rychał [37] trochu i do putni [38] narzygał… A potym kimał jak dzicina…

– I umył pan to wiadro, panie Koczur? – usłyszał głos Wilhelma Zaremby.

– Ta pewni. – W głosie strażnika Walentego Koczura brzmiała lekka uraza. – Ta żeby mu nic w nocy ni śmirdziału…

Zastukały buty na klepisku celi. Popielski wcisnął twarz w twardą deskę pryczy. Plecy pulsowały, łzy płynęły strumieniem, a zęby miażdżyły drewno.

– Dziękuję panu, panie Koczur, teraz ja z nim porozmawiam, a pan niech idzie do domu. Służba pańska skończyła się godzinę temu.

– Du widzenia, pani aspiranci.

– Do widzenia, panie posterunkowy.

Zapadła cisza. Prycza zaskrzypiała pod ciężarem Zaremby.

– Serwus, Edziu – powiedział aspirant. – Wiem, że już nie śpisz. Dawaj łapę i nie patrz. Dostaniesz zastrzyk morfiny. Nie martw się, dobrze to robię. Zaraz będzie po bólu.

Zaremba oderwał rękę przyjaciela od pryczy i wbił sprawnie igłę w żyłę, która wyraźnie pulsowała pod skórą przedramienia. Po minucie Popielski zapomniał o bólu pleców i nosa.

– Wiesz, wczoraj dobijałeś się do drzwi komendy i kazałeś posterunkowemu przynieść akta jakiejś ważnej sprawy, którą niby prowadzisz…

– Rzeczywiście coś pamiętam – mruknął niewyraźnie Popielski.

– Chciałeś prowadzić sprawę? No to masz ją, bracie! – Zaremba rzucił na pryczę kartonową teczkę. – Sprawa bardzo ważna. Zabójstwo wróżki

Luby Bajdykowej.

Popielski zerwał się z pryczy, a potem usiadł na niej z teczką w dłoniach. Skupiony i poważny, sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą przerwał jakieś czynności służbowe, a nie obudził się w celi aresztanckiej – niedawno skatowany, a teraz zbolały i nieomal śmiertelnie zatruty.

– Kto cię tak urządził, Edziu? – Zaremba wyjął z teczki termos i nalał kawy do nakrętki. – Masz, pij! No komu masz powiedzieć, jak nie mnie?

– Znasz odpowiedź… Mówiłem ci już, kiedy u mnie byłeś… – Popielski nie przerywał czytania.

– Mogłeś kłamać nie tyle z bólu, ile dlatego, że kuzynka nie odchodziła od twojego łoża. Wpadłeś po pijanemu pod dorożkę w Rohatynie? Tak mówiłeś… Ale ja w to nie wierzę. Masz, wypij trochę, a potem mi powiedz całą prawdę. Chcę to wiedzieć nie jako policjant, lecz jako twój przyjaciel…

– Hrabia Józef Bekierski i trzech Moskali. – Chory siorbnął kawy i odłożył akta. – Stało się to w Stratynie… I pamiętaj, Wilek, ja sam ich pociągnę do odpowiedzialności… Ja sam, rozumiesz? Mogę zaufać przyjacielowi?

– Nie sam, ale ze mną. – Zaremba odpalił dwa papierosy i jeden z nich wetknął w usta Popielskiego. – Niedługo będziemy wiedzieć o tym hrabim wszystko, co tylko możliwe. A teraz ad rem [39], Edziu. Od dzisiaj jesteś zatrudniony jako rzeczoznawca pracujący dla policji w sprawie zabójstwa Luby Bajdykowej. Jest już umowa na twoje usługi, a na niej podpis Kocowskiego.

– Żartujesz? – Popielski wypluł we wzburzeniu papierosa, choć ledwo się nim zdążył zaciągnąć. – Co ty śmichy sobie ze mnie robisz?

– Zobacz to! – Zaremba podał mu inną teczkę.

Była to teczka personalna Edwarda Popielskiego.

– Jak to możliwe, że Kocowski się zgodził? – Świeżo mianowany rzeczoznawca patrzył na umowę podpisaną przez naczelnika Urzędu Śledczego i oczom własnym nie wierzył. – Przecież ten gad utopiłby mnie w łyżce wody!

– Musiał – powiedział poważnie Zaremba. – Dzisiaj nad ranem znów coś się stało… Coś podobnego, w sam raz i dla lingwisty, i dla policjanta. Zamordowana młoda kobieta. I podobny zapis hebrajski w skrzynce na anonimowe doniesienia. Znasz kogoś takiego, oprócz siebie, kto mógłby się

tym zająć? Komendant Grabowski też nikogo takiego nie zna i dlatego, za moją skromną sugestią, wydał odpowiedni rozkaz Kocowskiemu.

– Gdzie znaleziono ciało?

– Na Zadwórzańskiej.

[35] Z więzienia.
[36] Pijany.
[37] Kaszlał.
[38] Do wiadra.
[39] Do rzeczy.

LICZBA NIERZĄDNICY

Nie ulega wątpliwości, że główne postępy
w matematyce dokonywały się tylko wtedy,
gdy utalentowany matematycznie umysł
koncentrował się intensywnie i trwale
nad znalezieniem istotnego kształtu
w bezładzie informacji dostarczanych
przez szczegółowe przykłady.
Lynn Arthur Steen, Matematyka dzisiaj

I

PRZECIĘTNY PIECHUR IDĄCY SZEROKIM CHODNIKIEM reprezentacyjnej ulicy Leona Sapiehy musiałby zużyć najwyżej kwadrans, aby się dostać z komendy na Łąckiego na ulicę Zadwórzańską. Popielski przebył tę drogę w osiem minut. Na szczęście dla światłoczułego epileptyka, który wczoraj gdzieś zgubił ciemne okulary, słońce dzisiaj nie świeciło; co więcej, nawet gdyby groźnie promieniowało, i tak by się tym nie przejął, bo nie przejmował się teraz niczym.

Ubrany był w spodnie z odbitkami podeszew i zgniłych pomidorów ze śmietnika oraz w stary trencz Zaremby, litościwie skrywający wygniecioną koszulę i marynarkę o naderwanym rękawie. Ale stan garderoby również nie zaprzątał jego uwagi. Podobnie jak ból nosa i pleców, promieniujący w czasie biegu mimo morfiny. Jego umysł nie troszczył się teraz o nic, co nie było związane z osobą Renaty Sperling, która wczoraj w knajpie Gutmana wynajęła u fiakra kurs na ulicę Zadwórzańską.

– Posłuchaj, Edziu – sapał Zaremba, kiedy jeszcze mógł za nim nadążyć – wiem, że ta umowa z Kocowskim jest dla ciebie niekorzystna, bo honorarium otrzymasz dopiero po zakończeniu sprawy. Wiem, ale mogę ci pożyczyć trochę forsy… Najlepiej będzie, jak pójdziesz do syna Luby Bajdykowej, on nie wierzy policji i wynajmie cię jako prywatnego detektywa. To bogaty facet, dobrze zapłaci! No czekaj, do jasnej cholery! Co za wariat!

Te ostatnie słowa Zaremba wypowiedział z wyraźną irytacją i zatrzymał się prawie w połowie drogi, pod znanym zakładem fryzjerskim Kostynowicza. Tam wysapał się do woli, zapalił papierosa i poszedł za Popielskim, który niknął gdzieś pośród studentów politechniki zmierzających do swojej Alma Mater.

Popielski skręcał właśnie w Zadwórzańską. Minął z lewej strony jedną przecznicę i kiedy już dochodził do drugiej, do ulicy Grunwaldzkiej, ujrzał spory tłum. Ludzie stali w prześwicie pomiędzy kamienicą numer 17 i 19, prowadzącym na podwórko zastawione pojemnikami na śmieci. Tam jednak wstępu nie mieli, ponieważ przy śmietniku stało trzech umundurowanych policjantów. Od strony Grunwaldzkiej wejście na podwórko uniemożliwiał natomiast duży mur z żelazną bramką, w której stał tylko jeden stróż prawa. Popielski usiłował wbiec na podwórko wprost z Zadwórzańskiej. Policjant w mundurze, którego kołnierz obszyty był dwoma srebrnymi galonikami i arabską szóstką, zatrzymał biegnącego.

– Dokąd to?! – wrzasnął posterunkowy. – Tu nie wolno! A won mi stąd!

– Ja do zidentyfikowania zwłok. – Popielski oparł dłonie na kolanach i wydawał z siebie rzężenie przepalonych nikotyną płuc.

– A już stąd! – Policjant tracił cierpliwość.

– Posterunkowy Henryk Kowalski z komisariatu VI! – Popielski w końcu się wycharczał. – Znam was i wy mnie znacie! Spójrzcie na mnie! Na moją łysinę!

Posterunkowy Kowalski otworzył usta i łykał powietrze. Bez słowa wskazał Popielskiemu bramę, z której właśnie wychodził doktór Pidhirny.

– Za śmietnikiem na podwórku – powiedział do niego medyk sądowy z bezgranicznym zdziwieniem w oczach.

Popielski kiwnął mu głową i wpadł na podwórze. Za śmietnikiem stał furgon z Zakładu Medycyny Sądowej. Popielski rozepchnął krępe plecy dwóch sanitariuszy i uklęknął u stóp zwłok wciśniętych w szparę pomiędzy śmietnikiem a ścianą domu numer 19. Zdarł prześcieradło i patrzył. Widział

szczupłą stopę z pomalowanymi paznokciami, udo obleczone w pończochę i jędrną pierś młodej kobiety. Oparł się o ścianę i zamknął oczy. Ale to nie pomogło. Wciąż widział dziwne więzy łączące stopy, szyję i ręce, język zagryziony przez zęby, siną pręgę widoczną zza grubego włochatego sznura, niezliczone piegi pokrywające całe ciało i kręcone rude włosy rozsypane i zaścielające wejście do śmietnika.

## II

ZANIM POPIELSKI PRZYSTĄPIŁ DO OBOWIĄZKÓW policyjnego rzeczoznawcy, minęło kilka dni, potrzebnych mu na wprowadzenie zmian w dotychczasowym życiu.

Najpierw musiał dojść do względnego ładu ze zdrowiem – przede wszystkim zaleczyć rany na plecach na tyle, by móc żyć bez morfiny i w miarę bezboleśnie chodzić. To, ku radosnemu zdziwieniu doktora Buraczyńskiego, który codziennie zmieniał opatrunki, następowało bardzo szybko. Po trzynastu dniach od bestialskiego pobicia doktór zamienił bandaże oplatające dotąd cały tułów chorego na płócienne kwadraty, przylepiane co drugi dzień plastrami do ramion i pośladków. Chociaż złamany nos, z którego medyk wyjął już tampony, bolał przenikliwie przy przypadkowym dotknięciu, Popielski czuł, że wraca do zdrowia.

Aby ten powrót był możliwie pełny, a zmiany korzystne, musiał szybko zarobić sporą sumę pieniędzy na pokrycie dziury w budżecie domowym spowodowanej leczeniem, pijatykami, podróżą do Stratyna, a nade wszystko – rezygnacją z korepetycyj. Nadzieje na odrodzenie finansowe wiązał ze wskazówką Zaremby, by zaoferować swe usługi detektywistyczne synowi Luby Bajdykowej. Było to zresztą jedyne możliwe teraz zajęcie, ponieważ śledztwo w sprawie zamordowanej rudowłosej kobiety utknęło w miejscu z dwóch powodów – po pierwsze, w ostatnich dniach nie zgłoszono żadnego zaginięcia i nikt nie mógł zidentyfikować zmarłej, a po drugie – i profesor Kuryłowicz, i rabin Schatzker zwlekali przez kilka dni, każdy z innych powodów, z przetłumaczeniem nowego hebrajskiego zapisu, który w dniu morderstwa dotarł do Kocowskiego.

A zatem nic innego Popielskiemu nie pozostawało, jak udać się na ostry zakręt ulicy Sobińskiego, gdzie stała nowoczesna willa inżyniera naftowo-maszynowego Mikołaja Bajdyka. Prywatny detektyw in spe umówił się telefonicznie na wizytę i zjawił się tam w pierwszą niedzielę maja, punktualnie o godzinie dziesiątej rano.

Inżynier Bajdyk spędził ostatnie piętnaście lat na polach naftowych Teksasu i przez te wszystkie lata wchodził w kontakt z tak zadziwiającymi personami – łowcami skarbów, poszukiwaczami złota, płatnymi mordercami, Indianami w pióropuszach i Murzynami grającymi na wszelkich instrumentach – że twarz Popielskiego, schowana pod dużym kapeluszem i ozdobiona wielkimi czarnymi okularami, żółto-niebieskimi sińcami oraz złamanym nosem, nie zrobiła na nim większego wrażenia. Inżynier, przepracowawszy wiele lat w brudzie ropociągów, ubierał się niedbale i pojęcie elegancji było mu najzupełniej obce, toteż nawet nie dostrzegł, iż ubiór jego gościa wygląda, jakby dopiero co wyszedł spod igły krawca.

Popielski, siedząc teraz w jego gabinecie, przypominał sobie passusy raportu medycznego na temat Luby Bajdykowej i doszedł do wniosku, iż niechlujne odzienie i w ogóle brudne otoczenie jest chyba charakterystyczną cechą tej rodziny, mimo że matkę i syna dzieliła finansowa przepaść. Nowiutki citroen stojący na podjeździe domu pokryty był tu i ówdzie stwardniałymi ptasimi odchodami. Willa, malowniczo położona wśród starych drzew i kwitnących krzewów, przepełniona była ciężkim zaduchem i zastarzałym brudem. Najwyraźniej nie zatrudniano tu służby, bo wszędzie leżały stosy starych butów, ubrań i talerzy. Niedalekie od prawdy było przypuszczenie Popielskiego, że dom ten, zamieszkiwany przez samotnego wdowca, ożywa dopiero nocą, kiedy to słychać piski szczurów, a zamiast dywanów podłogi pokrywają roje karakonów. Gospodarz ubrany był w poplamiony fartuch, spodnie o poszarpanych nogawkach, z których wystawały nitki, i w buty, które od dawna nadaremnie domagały się pasty. Na biurku piętrzyły się rysowane na kalce wykresy i matematyczne obliczenia.

Popielski z powodu złamania nosa oddychał ustami, co w jego mniemaniu nie było takie najgorsze, gdyż odcinało go od smrodu nie wietrzonego od dawna domu. Zakończył właśnie reklamowanie własnej, świeżo zarejestrowanej kancelarii detektywistycznej zapewnieniem, że zachował w policji dawne przyjaźnie, które mogą być mu nader pożyteczne przy dostępie do różnych informacyj, i położył na biurku świeżo wydrukowany bilet wizytowy z nadrukiem „E. Popielski, prywatne dochodzenia”. Inżynier w zamyśleniu zaczął się bawić grubą liną, która leżała na brzegu biurka. Patrzył w milczeniu na swego gościa i zawiązywał skomplikowane węzły marynarskie.

– Zna pan zatem raporty i jest w całej sprawie dobrze zorientowany… Muszę być jednak z panem szczery, panie Popielski – mruknął w końcu inżynier Bajdyk, a jego palec ku zgrozie rozmówcy wylądował na chwilę w zarośniętym włosami nozdrzu. – Nie wzbudza pan zaufania swoim wyglądem. Dostał pan ostatnio po makówie [40], co?

– W mojej pracy czasem tak się dzieje – odrzekł świeżo kreowany detektyw bez mrugnięcia okiem. – Jest pan ciekaw, jak wyglądają makówy tych, co mnie napadli?

– Zatrudnię pana. – Bajdyk uśmiechnął się lekko. – A wie pan czemu? Wcale nie dlatego, że wierzę, żeś pan tak nokautował, jak Kupka.

– Chętnie się dowiem. – Popielski zauważył, jak Bajdyk pod biurkiem jedną stopą zsuwa but z drugiej, a następnie przez dziurę w skarpetce rusza powoli paluchem.

– Bo Ameryka nauczyła mnie jednego… Że ktoś, kto się usamodzielnia, może być sto razy lepszy niż firma, w której dotąd pracował, bo musi stworzyć dla niej konkurencję… Czyli pan jako prywatny detektyw może być lepszy niż policja. – Przesunął po blacie pięć banknotów stuzłotowych, a potem postukał po nich palcem.

– Tak – Popielski z obrzydzeniem schował zwitek do kieszeni, przypomniawszy sobie, gdzie przed chwilą był palec inżyniera – ale najpierw muszę to i owo wiedzieć. Muszę pana zapytać nawet o sprawy osobiste. Wszystko może być ważne dla śledztwa.

– To ja chciałem coś panu powiedzieć. – Bajdyk zapalił cygaro. – Ale powoli… Pytaj pan najpierw! Ale tylko o to, czego pan nie wyczytałeś w aktach, bo nie mam czasu. Zaraz będzie w radio koncert życzeń, a ja lubię ładne melodie…

– Jak często widywał się pan z matką?

– Cztery razy w roku. Płaciłem jej co kwartał tysiąc złotych, żeby nie musiała odprawiać tych swoich guseł, a i tak to robiła.

– Przychodziła do pana po pieniądze?

– Broń Boże, jeszcze by mi całkiem dom zasmrodziła! Ja sam jeździłem do niej na Cerkiewną i osobiście wręczałem jej pieniądze. Poza tym ona się z domu wcale nie ruszała. Była za gruba i chora.

Popielski rozglądał się po gabinecie i ledwie się powstrzymał od skomentowania wzmianki o matczynym brudzie. Inżynier Bajdyk chyba się zniecierpliwił, bo zzuł pod biurkiem drugi but i zaczął nerwowo uderzać stopami o podłogę, wzbijając niewielkie obłoki kurzu.

– Panie – rozpoczął zaczepnie – bo jeszcze pożałuję, że pana wynająłem. Pyta pan o to samo co gliniarze. Może pan zapyta, gdzie trzymała pieniądze, a może, czy miała wrogów! Panie, o to już pytali, a ja nie mam czasu na takie rozmówki! Nie zmuszaj mnie pan, abym żałował moich pieniędzy, panie!

Popielski miał dość tej arogancji nuworysza. Wstał, oparł pięści na biurku i spojrzał Bajdykowi prosto w oczy. Zobaczył przekrwione białka, źle ogolone policzki i włosy wyłażące z małżowin siwymi kłakami. Popielski miał naprawdę dość.

– Włóż meszty, spuchlaku – wysyczał – bo giry ci cuchną! Jestem oryginalny? To samo ci mówili policjanci?

Wyjął pieniądze z kieszeni i rzucił je na biurko. Potem odwrócił się i poszedł w stronę drzwi wyjściowych. Nacisnął klamkę.

– Moje nogi mogą śmierdzieć – usłyszał i cofnął dłoń z klejącej się klamki. – Ale pieniądz nie śmierdzi. Chcesz zarobić więcej? To posłuchaj, czego nie powiedziałem policji! Nie? To won!

Detektyw ujrzał w wyobraźni rozradowaną twarz Leokadii, gdy wręcza jej bukiet róż i pieniądze na pokrycie długów i na życie. Zobaczył Ritę, jak łakomie pochłania marcepany u Zalewskiego, oraz Wilhelma Zarembę, jak ze zdziwieniem otrzymuje zwrot pożyczki – sto złotych, które Popielski wydał na nowe ubranie. Dla kontrastu ujrzał też siebie samego, jak przelicza moniaki w knajpie przed zamówieniem herbaty, jak pokornie przeprasza uczniów za chwilową przerwę w korepetycjach i jak wlewa im dalej do tępych głów matematykę i łacinę.

– Ja tu rozdaję karty. – Bajdyk oparł łokcie na biurku, a jego wzrok Popielski czuł na swej twarzy jak nieznośny ucisk. – Wynająłem pana, ale to ja jestem szefem, ja kieruję tą całą historią. Jestem naczelnikiem prywatnego urzędu śledczego. Pan robi wszystko, co ja mówię, potem wszystko wyrzuca ze swego zakutego łba, a forsa, którą pan pogardliwie odrzucił, zostaje panu zwrócona razy dziesięć. Pięć tysięcy, Popielski! Tyle, ile kosztuje nowiutki citroen, tyle, ile zarabia miesięcznie Rydz-Śmigły. Chcesz być choć przez jeden miesiąc generałem, Popielski?

– Mam podobną fryzurę i to samo imię – powiedział detektyw, nie ruszając się spod drzwi.

– Jest jeden jedyny człowiek, dla którego moja matka wgramoliłaby się na ten cholerny strych. – Bajdyk dokładnie zgasił cygaro w popielnicy, wysypując na blat biurka kilka niedopałków i stosik popiołu. – Dla którego

wlazłaby pod ziemię albo przepłynęła Pełtew. To jakiś ubogi matematyk. Mówiła o nim „mój bidołacha” [41]. Przyszła kiedyś do niego, by zlecić mu sporządzenie wzoru, który by jej ułatwił znalezienie parametrów horoskopu, a on – zamiast zapłaty – wyciągał od niej informacje o jej klientach. Matka mówiła mu o nich wszystko. Na podstawie ich horoskopów, które mu dawała, matematycznie opisywał ich życie. O tym człowieku wiem jeszcze tylko to, że mieszka na Zadwórzańskiej.

Popielski skamieniał i zapalił papierosa drżącymi rękami. Zadwórzańska. Ulica zbrodni, ulica zdrady. Ulica zamordowanej rudowłosej i ulica wiarołomnej Renaty. Ulica kochanka lubiącego monstra takie jak Luba Bajdykowa. Automatycznie wypuścił dym przez połamany nos i cicho jęknął z bólu.

– Dlaczego pańska matka zrobiłaby dla niego wszystko? – zapytał.

– Bo był jej dupcyngierem [42], rozumiesz pan?

– Kim? – Popielski nie wierzył własnym uszom.

– Utrzymankiem – sapnął Bajdyk. – Kimś, kto się regularnie ślizgał na jej gównie. Wiem to nie od niej, ale od jej sąsiadów. Stara na pewno by mi o tym nie powiedziała albo by okłamała. Ona kłamała jak z nut…

– I dlatego nie powiedział pan o tym policji? – Popielski aż się wzdrygnął, słysząc te szpetne słowa. – Bo się pan wstydzi? Dlatego pan wynajął prywatnego detektywa, którego milczenie może pan kupić? Dobrze rozumuję?

– Nie. – Bajdyk wstał zza biurka. – To nie dlatego. Policja poszłaby za moją wskazówką, złapała tego człowieka i wsadziła go do Brygidek. Tak by było. A ty przyprowadzisz go do mnie. Ciemną nocą przywieziesz do mojego ogrodu. Ja z nim porozmawiam, a potem ci go oddam z powrotem. Żywego, ale trochę zmęczonego. Nie bój się, nie zabiję go. Tylko z nim porozmawiam. Zapytam, co takiego złego zrobiła mu moja stara, że ją ukatrupił. To dlatego nic nie powiedziałem policji. Co ty na to?

Popielski zbliżył się do biurka. Wśród kartek zapisanych matematycznymi obliczeniami leżał zwitek pięciuset złotych. Detektyw sięgnął po niego.

– Od kiedy to jest pan, inżynierze, na ty z generałem Wojska Polskiego?

[40] Po głowie.

[41] Biedak (z politowaniem).

[42] Kochankiem.

III

POPIELSKI WYSZEDŁ Z WILLI BAJDYKA i przez moment rozglądał się po ulicy. Dawno nie był w tych okolicach i minęła chwila, zanim w końcu przypomniał sobie pewne przejście pomiędzy parkanami domostw. Po kilku minutach szybkiego marszu na skróty dotarł do żeńskiej szkoły na rogu Jabłonowskich i Wołoskiej, skąd już miał dwa kroki do przystanku tramwajowego. Od razu ujrzał tramwaj linii 11 nadjeżdżający od strony parku Stryjskiego i nieopatrznie zapomniawszy o wciąż bolącym nosie, lekko przyspieszył kroku. Wpadł do wagonu, ciężko dysząc.

Nie przejmował się jednak bólem nosa ani potem, który przykleił opatrunek do jego pleców. Nie zwracał uwagi na okrzyki dzieci w mundurkach pobliskiego zakładu wychowawczego, które tłumnie wypełniały wagon i jechały wraz z dwoma nauczycielami pewnie na dworzec, a stamtąd na niedzielną majówkę. Myślał tylko o matematyku mieszkającym na ulicy Zadwórzańskiej. Ulica ta należała do najdłuższych w mieście i liczyła – tak na wyczucie Popielskiego – ponad sto numerów domów z jednej i drugiej strony. Przypuszczenie, iż mógłby mieszkać blisko miejsca znalezienia zwłok rudowłosej, było mało prawdopodobne z uwagi na inteligencję, jaką okazał morderca, komentując swe zbrodnie hebrajskimi zapisami. Ponadto mogła pojawić się nieusuwalna przeszkoda natury proceduralnej. Człowiek określony przez zamordowaną mianem „bidołachy” mógł być u kogoś lokatorem, a ów wynajmujący mu pokój w obawie przed sankcjami podatkowymi mógł go wcale nie zameldować. Ponadto wiadomo, że księgi meldunkowe operują pojęciem zawodu, nie zaś wykształcenia, a kochanek Luby Bajdykowej wcale nie musiał pracować jako matematyk. Mógł być przecież domokrążcą, który dla hecy odświeża sobie równania trygonometryczne. Można by go ostatecznie poszukać poprzez któregoś ze szpicli Zaremby, ale to wiązałoby się z koniecznością wyjawienia przyjacielowi nowego tropu w śledztwie. Tego zaś Popielski musiał uniknąć, ponieważ przekazanie tej informacji równałoby się przejęciu przez policję śledztwa i pozbawieniu siebie samego „generalskiego” honorarium. Poproszenie zaś Zaremby o dyskrecję było zbyt niebezpieczne dla przyjaciela i mogło oznaczać koniec jego policyjnej kariery, gdyby któryś z jego szpicli był nielojalny i doniósł Kocowskiemu. Przeczuwał ponadto, że Bajdyk, płacąc tak ogromną sumę za znalezienie kochanka matki i za późniejsze milczenie detektywa, ma wobec tego

pierwszego jakieś niecne zamiary – może chce się na nim zemścić, może zabić i zakopać w ogrodzie? Wówczas misja Popielskiego stałaby się niebezpieczna dla niego samego i oznaczałaby po prostu współudział w morderstwie. Wszystko to wyglądało nie najlepiej. Gorączkowo potrzebował współpracowników!

Westchnął ciężko i postanowił rozwiązać tę patową sytuację nazajutrz. Dzisiaj chciał się cieszyć godziwym zarobkiem. Wysiadł przy elektrowni i udał się w stronę mieszkania. Po drodze popatrzył z nostalgią w okna swojego dawnego gabinetu w gmachu Komendy Wojewódzkiej na rogu Leona Sapiehy i zbiegł szybko wzdłuż parku okalającego cytadelę w stronę poczty. W kwiaciarni „Flora” kupił bukiet czerwonych róż dla Leokadii, w pobliskiej cukierni na Sykstuskiej – czekoladę z orzechami dla Rity i paczkę dropsów dla służącej Hanny.

Pięć minut później obdarował swoje panie prezentami. Dystyngowana Leokadia przyjęła kwiaty i kopertę z pieniędzmi z łagodnym uśmiechem i olimpijskim spokojem, Rita zaś na widok czekolady skakała i wydawała okrzyki jak mały dzikus. Popielski wymienił marynarkę na wiśniową bonżurkę, usiadł wygodnie w zaciemnionym salonie w fotelu pod stojącym zegarem, zapalił papierosa i patrzył, jak kuzynka rozkłada równomiernie kwiaty w kryształowym wazonie, dosłownie przed chwilą skreślonym przez nią z listy przedmiotów do zastawienia. Podbiegła do niego córka i nadstawiła mu do pocałowania umazaną czekoladą buzię. „Suum cuique – pomyślał – daję każdemu swoje, czyli to, co mu się słusznie należy: Leokadii – szacunek i przywiązanie, Ricie – miłość ojcowską”.

Był senny, syty i zadowolony. Przymknął oczy. Z balkonu, spod grubej kotary dochodził lekki powiew. Słyszał szelest kart, którymi Leokadia układała pasjansa, i szmer kredki po brystolowej kartce, na której Rita wyrysowywała domy, pałace, góry i rzeki. Wszyscy siedzieli w jednym pokoju. Wszystkim było dobrze. Wszyscy mieli to, czego pragnęli.

Z drzemki wyrwał go telefon. Spojrzał pytająco na służącą Hannę, która stała w drzwiach do salonu ze słuchawką w dłoni.

– Ja si katulam du Herszosa pu cielęciny na sznycli – powiedziała, odłożyła słuchawkę na stolik telefoniczny i wyszła z mieszkania.

Popielski doskoczył do aparatu, zirytowany nieco na służącą, która nie dość, że nigdy nie informuje, kto dzwoni, to jeszcze naraża go na śmieszność, zdradzając przed obcymi codzienne sprawy domowe.

– A tu cię mam, Edziu – usłyszał rozweselony głos Zaremby. – A ładnie to tak w niedzielę chodzić do żydowskiego rzeźnika? A nie znasz to, bracie, powiedzenia „swój do swego”?

– A dajże spokój, Wilek. – Popielski uśmiechnął się. – „Swój do swego” to będzie dzisiaj wieczorem. Chcę ci oddać stówę, którą mi pożyczyłeś. Może tak dzisiaj w „Luwrze”? Dawno tam nie byłem.

– Aaa widzisz – głos Zaremby spoważniał. – Ja właśnie w tej sprawie… To znaczy nie w sprawie stówy, ale w sprawie spotkania. Dzwonię do ciebie z polecenia Kocowskiego. Mam przekład nowego zapisu hebrajskiego. Jest jakiś dziwny i mowa jest w nim wprost o zabijaniu…

– O dziewiątej w „Luwrze”?

– Się wie!

Popielski wrócił do pokoju i zasiadł znów w fotelu. Wyczuł, że w czasie jego nieobecności zmienił się nastrój w salonie. Wprawdzie Leokadia dalej układała pasjansa, ale czyniła to jakby głośniej, a Rita zapamiętale kolorowała brystol. „Czyżby się pokłóciły?” – pomyślał nieco podminowany.

– Ależ popędziłeś do tego aparatu! – odezwała się po niemiecku Leokadia. – A tu rozczarowanie, smutne rozczarowanie, nieprawdaż, Edwardzie?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– No bo to przecież nie była ona. – Kuzynka nie podniosła nawet wzroku znad kart. – To pan Zaremba, a nie twoja słodka Żydóweczka…

Rita już raz kiedyś słyszała z ust ciotki to ostatnie niemieckie określenie, a zatem wiedziała, o kim mowa. Zacisnęła usta i patrzyła na ojca nieruchomym spojrzeniem. Obie kobiety jego życia nie znosiły tej, która nawet nie zdążyła się w nim pojawić. Już być może chciała się tam rozejrzeć, kto wie – marzył – czy nie szukała tam miejsca dla siebie! A wtedy on rzucił się na nią jak na tanią dziwkę! Z natarczywością pchał łapy pod jej sukienkę! Dotknąwszy kawałka nagiego ciała nad pończochą, drżał rozpalony pożądaniem! Chciał odpłacić jej za to, że widziała poniżenie go przez Bekierskiego. Brać ją gwałtem, rwać za włosy, gdyby klęczała u jego stóp! Tak o tym roił. A potem przyszedł palący policzek i palący wstyd. On dostał, co mu się należało – sprawiedliwą lekcję pogardy – ale ona nie dostała nawet słowa przeprosin. „Suum cuique” – myślał teraz stary, poobijany satyr.

Nie podjąwszy dyskusji z Leokadią, zdusił niedopałek i wyszedł do przedpokoju. Starannie zamknął drzwi do salonu i usiadł przy konsolce z aparatem. Sięgnął po książkę telefoniczną, znalazł w niej, czego szukał, i wykręcił numer. Był spięty, choć wiedział, że głosu Renaty i tak nie usłyszy w słuchawce.

– Tu mówi Stratyn, rezydencja Józefa hrabiego Bekierskiego – usłyszał nieco teatralny ton.

– Dzień dobry – powiedział z lekkim drżeniem głosu. – Czy rozmawiam może z majordomusem, panem Stanisławem Wiąckiem?

– Tak, przy aparacie.

– Mówi Edward Popielski. To mnie pan zawiózł…

– Wiem, czym mogę służyć?

– Chciałbym rozmawiać z panną Sperling.

– Już tu nie pracuje.

W słuchawce zapadła cisza. Popielski usłyszał stuknięcie, a potem jakieś szmery, rozmowy, a nawet muzykę. Nie było sygnału przerwania połączenia. Czekał. Czuł, że wszystko go swędzi, że jakieś owady oblepiają jego ciało i włażą mu do wszystkich otworów w głowie. Znał dobrze to uczucie. Wściekła, swędząca niecierpliwość.

– Panna Sperling jest we Lwowie – po minucie usłyszał trzask w słuchawce i ściszony głos Wiącka. – Mieszka u panny Marianny Stoleckiej, adres…

– Zadwórzańska ile? – przerwał mu niecierpliwie Popielski.

– Nie żadna Zadwórzańska. Lindego 3. – Stary kamerdyner rozłączył się, dodawszy jeszcze: – Życzę powrotu do zdrowia.

Popielski odłożył słuchawkę. Żyły mu pulsowały na szyi. Mieszka gdzie indziej, na Lindego, a jeszcze gdzie indziej wtedy jechała! Na Zadwórzańską! Do gacha, do kochanka, aby mu się oddać, aby mu się, jak suka, nadstawić! Oparł się plecami o krzesło. Nie czuł bólu pleców, lecz spojrzenie Leokadii, nie widział Hanny, która z wesołym podśpiewywaniem wracała z cielęciną na sznycle, lecz smukłą postać kuzynki.

„Co za rozczarowanie – mówiły wielkie czarne oczy Leokadii. – Co za smutne rozczarowanie!”

Przycisnął mocniej plecy do krzesła. Teraz już poczuł. Ból omal go nie zamroczył. „Meum mihi, to mi się należy” – pomyślał. Każdemu to, co mu się należy.

IV

RESTAURACJA „LOUVRE” MIEŚCIŁA SIĘ NA ROGU Kościuszki i Trzeciego Maja, w przepięknej kamienicy Rohatyna. Leżała blisko i domu Popielskiego, i ulicy Chorążczyzny, gdzie mieszkał Wilhelm Zaremba. To właśnie z powodu położenia przyjaciele najchętniej się tam spotykali – w dawnych czasach, kiedy Popielski nie musiał się jeszcze tak oszczędnie obchodzić z pieniędzmi. Teraz dawne czasy miały powrócić.

Siedzieli przy bocznym stoliku, który zawczasu telefonicznie zamówił Popielski, i spożywali faszerowane jaja na ciepło, pokryte chrupiącą panierką. Popijali je wódką czystą Pierre’a Smirnoffa. Wokół panował nastrojowy półmrok, który umożliwił Popielskiemu zdjęcie okularów. Obaj mieli sobie wiele do powiedzenia – Zaremba chciał przedstawić prostą relację z dotychczasowego dochodzenia, Popielski zaś poprosić przyjaciela o bardzo trudną i subtelną przysługę, o której dziś dokładnie i intensywnie myślał podczas popołudniowego spaceru z Ritą na Wysokim Zamku.

– Wiesz co, Edziu? – Zaremba strzyknął sobie do szklanki wody gazowej. – Ja zacznę, bo ty, jak powiadasz, masz do mnie dłuższą sprawę.

– Tak będzie najlepiej. – Popielski rozsmarował sobie językiem na podniebieniu farsz – wyczuwał w nim pietruszkę, koperek, grzyby, a nawet smalec, na którym przyrumieniano jajka.

– Wczoraj wieczorem Wiktor Żelazny zgłosił nam zaginięcie jednej ze swoich dziuniek [43]. – Zaremba nabił na widelec ostatnie jajko. – Rozpoznał ją. Lija Kochówna, lat dwadzieścia trzy, wyznania mojżeszowego, łowiła frajerów zawsze na korso…

– Luksusowa dziunia. Znaleziono ją prawie w miejscu pracy…

– Tak, rzeczywiście niedaleko od Sapiehy. Oto wyniki autopsji. – Zaremba wyciągnął z teczki akta sprawy. – Uprzedzę twoje pytanie. Nie była chora wenerycznie. Morderca nie jest zatem higienistą zabijającym syfilityczne kobiety…

– Nazwijmy go raczej Hebraistą – Popielski rozlał ostatki wódki z małej karafki i uniósł ją tak, by dostrzegł to kelner – bo tylko to łączy te morderstwa poza płcią ofiar. Co więcej wiemy o Lii Kochównie?

– Urodziła się na Wagowej w biednej wielodzietnej rodzinie drobnego handlarza kwasem węglowym. Piętnaście lat później pojawiła się po raz pierwszy w naszej kronice. – Zaremba wystukał na kartonowej teczce z

aktami jakiś rytm. – 2 marca 1922 roku aresztowano ją w tajnym komunistycznym lokalu, gdzie oddawała się działalności wywrotowej…

– Jakiej? – Popielski się zdumiał. – Dziwka od Żelaznego była komunistką?

– Wywrotowej, wywrotowej, dobrze usłyszałeś. – Zaremba zaśmiał się. – Wywróciła się na plecy i przyjmowała za kotarką towarzyszy. Wyobraź sobie: jeden drukuje ulotki, a drugi pipczy [44]. W czasie przesłuchania powiedziała, cytuję – sięgnął po akta – „Umiliłam tak czas pięciu bolszewikom”.

– Wyszukany język jak na małą dziwkę.

– Wydano jej wtedy książeczkę zdrowia, powiadomiono rodziców i Izraelski Dom Wychowawczy, gdzie zresztą krótko mieszkała. Wystawiono jej tam nie najlepszą opinię: była pyskata, nieposłuszna i ubliżała innym wychowankom. Lija Kochówna zniknęła z obszaru naszych zainteresowań na cztery lata. Pojawiła się tam znów w związku ze sprawą obyczajową. Niejaka Stefania Korczyńska, zamieszkała przy stacji Podzamcze, wniosła skargę na sąsiada, stolarza Antoniego Frylicha. Z jego okna niosły się po nocach jęki rozkoszy i zakłócały sen mieszkańców. Posterunkowy z Balonowej udał się tam i zastał w mieszkaniu Frylicha dziewiętnastoletnią Liję Kochównę. Upomniał ją surowo, a na Frylicha nałożył mandat i tak się ta cała jęcząca sprawa zakończyła.

– Jęki rozkoszy? – powtórzył Popielski w zamyśleniu.

Przy stoliku zjawił się kelner z nową dwustugramową karafką wódki oraz wazą zupy rakowej i pasztecikami w zaparzanym cieście. Rozstawił talerze przed mężczyznami i wręczył im nakrochmalone serwety. Kiedy je zawiązywali pod szyjami, nalał im z wazy solidne chochle zupy, po czym zaczerpnął łyżką śmietany i rozjaśnił nią różową toń.

– Zjedzmy najpierw – zaproponował Popielski – bo jeszcze poplamię zupą ekspertyzę.

– Smacznego! – powiedział kelner i oddalił się tanecznym krokiem.

Popielski rozgryzł gorące ciasto i jego usta napełnił miękki móżdżek cielęcy. Odrobina zupy nadała tej kombinacji delikatny słonawy posmak. Zamknął oczy. Od dwóch lat nie jadł niczego, co by dorównywało temu specjałowi.

Zaremba nalał po kieliszku.

– Twoje zdrowie, Edziu! Szybkiego gojenia ran!

– Dziękuję, bracie!

Popielski po wódce pochłonął ostatni pasztecik, a Zaremba wypił trochę wody gazowej.

– Czytaj tę ekspertyzę, a ja muszę do pana Edzia. – Wilhelm wstał i poszedł w stronę baru.

Tylko temu jedynemu człowiekowi Popielski wybaczał zwrot, który we Lwowie oznaczał udanie się do ubikacji. Wyjął ekspertyzę profesora Kuryłowicza i rabina Schatzkera. Obaj identycznie przetłumaczyli zapis hebrajski znaleziony przy zwłokach Lii Kochówny.

ůîůçáŕůéçŕăáŕřëäřĺâĺéäéçâěçęăéäĺěĺéúď

Tłumaczenie brzmiało:

Obaj uczeni zwrócili uwagę na ostatnie słowo w tym zapisie: wyraz ěĺéúď , lwjtn, a po włączeniu weń samogłosek liwjatan, „wąż”, uległ późniejszej deformacji i zaczął w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej oznaczać jakiegoś potwora, skąd już tylko mały krok do znaczenia „szatan”. Toteż w obu zapisach hebrajskich, znalezionych przy zwłokach jednej i drugiej kobiety – konkludowali naukowcy – występują jakieś określenia diabła. Na tym kończyły się ustalenia rabina Schatzkera, natomiast profesor Jerzy Kuryłowicz dodawał, iż do napisania drugiego komunikatu potrzebna jest lepsza znajomość hebrajskiego niż w pierwszym wypadku, który jest „słownikową wyliczanką”.

Ku ich stolikowi walcował kelner z tacą, poprzedzany przez Zarembę. Przed Edwardem pojawił się talerz z ozorami na szaro i z papką z groszku zielonego i kartofli, przed Wilhelmem – klops z kaszą hreczaną obłożony buraczkami. Kelner nalał panom po kieliszku i z pytającym wzrokiem uniósł drugą już opróżnioną karafkę. Obaj kiwnęli głowami, uprzedziwszy jego pytanie. Kelner odszedł w stronę baru, a oni stuknęli się kieliszkami i wypili.

Zmrożona wódka łagodnie spłynęła po przełyku Popielskiego, a jej ostry smak natychmiast się rozpłynął wśród aromatów, którymi był nasączony peklowany ozór. Poczuł w nosie lekką woń korzeni i cytryny. Od dwóch lat nie jadł takiej kolacji. Musiał się nią nacieszyć, bo mogły znowu wrócić chude dni. Dzisiaj po południu w czasie spaceru z Ritą, kiedy stał z dzieckiem na kopcu Unii Lubelskiej i patrzył na ukochane miasto, podjął ważną i trudną decyzję, która może przerwać jego dobrą passę finansową.

– Posłuchaj, Wilek – zaczął – mam do ciebie bardzo poważną sprawę.

– Pewnie ci chodzi o sekty satanistyczne. – Zaremba spojrzał na niego znad talerza z klopsem. – Nie ma takich we Lwowie…

– Nie, nie o to…

– O dywagacje tych profesorów?

– Nie, tym się zajmę dziś w nocy. – Popielski nabił na widelec ostatni kawałek ozora i ułożył na nim pryzmę groszkowo-kartoflanego piure. – Posiedzę nad tym w nocy, bo mam pewną myśl… Ale nie o tym chciałem…

– No to powiedz, bracie, co to za pilna sprawa.

– Powiem, tylko mi nie przerywaj, chłopie, bo oszaleję tu z tobą. – Uśmiechnął się, lecz nagle spoważniał i nalał do kieliszków. – Proszę cię, żebyś powiedział coś Grabowskiemu. Z pominięciem Kocowskiego. Jeśli odmówisz, nie będę miał do ciebie żalu.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, czego ode mnie żądasz? – Zaremba przełknął ostatni kęs i zapalił papierosa. – Żebym rozmawiał z komendantem wojewódzkim, nie wspominając o tym mojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi!

– Muszę być wobec ciebie całkiem szczery. – Popielski stuknął swym kieliszkiem kieliszek Zaremby i łyknął, odchyliwszy gwałtownie głowę do tyłu. – Jako prywatny detektyw dostałem od syna zamordowanej wróżki inżyniera Bajdyka bardzo intratne zlecenie. Gruba forsa, a do tego pewny trop, którego inżynier nie zdradził policji, nie chcąc kalać pamięci matki. Bajdyk dał mi tę wskazówkę śledczą, pod warunkiem że oddam mordercę w jego ręce. Ale ja tak nie uczynię. Złamię umowę i oddam mordercę policji. Wyrzeknę się ogromnego honorarium. Uczynię to jednak tylko wtedy, gdy Grabowski przyjmie mnie z powrotem do pracy. Chcę, żebyś powiedział mu coś takiego: Panie komendancie, prywatny detektyw Popielski ma trop, po którym na pewno dojdzie do Hebraisty. Może zrobić to sam, a może we współpracy z policją. W pierwszym wypadku zaprowadzi skutego kajdankami Hebraistę do redakcji „Wieku Nowego” i ogłosi, że samodzielnie złapał seryjnego mordercę. W drugim wypadku odda go po cichu policji i zostanie z powrotem zatrudniony. Tylko tyle i aż tyle chcę od ciebie. Masz prawo odmówić, a ja nie będę się gniewał. Dopóki jednak nie będę miał zgody starego, będę musiał działać sam i moje śledztwo będzie bardzo powolne…

– I będą kolejne ofiary. Wiesz, jaką bierzesz na siebie odpowiedzialność?

– Wiem.

– A wiesz, jaką mnie przy okazji obarczasz odpowiedzialnością?! – warknął zirytowany Zaremba.

– Naprawdę, nie pogniewam się na ciebie, Wilek – Popielski rozlał do końca trzecią dwustugramową karafkę – jeśli o wszystkim powiesz Kocowskiemu i jego nią obarczysz. Tyle że ta kanalia z nienawiści do mnie nie powie nic staremu. A Hebraista będzie nadal zabijać i wysyłać kolejne obłąkane liściki.

– Jutro stary obchodzi imieniny. – Zaremba się uspokoił. – W auli komendy będzie poczęstunek. Kieliszek wódki, kawałek studzininy [45], andruty i herbatka na deser, jak zwykle. Wtedy będzie łatwo dostępny i przystępny na różne prośby.

– Jak to jutro? Przecież Czesława jest w czerwcu!

– On celebruje wyłącznie swoje drugie imię. A Paulina wypada dzisiaj, w niedzielę, toteż urzędowe świętowanie odbędzie się jutro.

– A rzeczywiście, przecież to imieniny mojego ojca. – Popielski uniósł kieliszek. – Dziękuję ci, Wiluś! No to wypijmy i zamówmy ostatnią karafkę, bo ten ober pomyśli, żeśmy jakieś frunie [46], a nie charakterniaki ze Stanisławowa!

Dwa kwadranse później wyszli z restauracji. Obaj mieli w sobie po cztery setki wódki. Ta ilość znacznie większe wrażenie zrobiła na Zarembie niż na Popielskim. Toteż ten uparł się, że odprowadzi nieco pijanego Wilhelma do domu, i to koniecznie przez ulicę Lindego.

Kiedy już tam dotarli, Popielski przystanął pod bramą numer 3. Okna nowoczesnej kamienicy z małymi balkonami były pouchylane. Nie musiał długo nasłuchiwać. Z otwartego okna na pierwszym piętrze dobiegały kobiece jęki i okrzyki.

– Ależ tam fest szpicuje [47] jakiś gościuniu! – Zaremba roześmiał się.

Jego przyjacielowi wcale nie było do śmiechu.

[43] Dziewczynek.

[44] Chędoży.

[45] Galaretki z nóżek.

[46] Osoby zadzierające nosa, udające przynależność do wyższych sfer.

[47] Chędoży.

## V

POPIELSKI NIE ANALIZOWAŁ TEJ NOCY HEBRAJSKICH ZAPISÓW, jak to zapowiedział Zarembie. Po powrocie do domu zasnął mocnym, poalkoholowym snem, niwecząc tym samym nie tylko swe plany dochodzeniowe, ale również wyznaczony przez epilepsia photogenica codzienny rytm, zgodnie z którym w sen zapadał o świcie, a działał popołudniami i nocami.

Oczy otworzył o szóstej rano i natychmiast ciepło pomyślał o kuzynce i o służącej. Powodem tego przypływu wdzięczności był kryształowy dzban napełniony gazową wodą, w której pływały plastry cytryny i liście mięty. To na pewno Hanna postawiła go koło łóżka na polecenie troskliwej Leokadii.

Przytknął naczynie do ust i wypił prawie połowę. Potarł palcami czoło. Kac objawiał się jedynie lekkim uciskiem pod czaszką, nikotynowym posmakiem w ustach oraz piaskiem niewyspania w oczach.

Wstał, na piżamę włożył bonżurkę i udał się do łazienki, pozdrawiając Hannę, która właśnie wróciła z porannych zakupów i przy śpiewie godzinek przygotowywała w kuchni śniadanie. Po ostrożnym goleniu i ablucjach wklepał lekko wodę kolońską i krem w policzki, wrócił do swojego pokoju, a tam służąca przykleiła mu plastrami do pleców nowy opatrunek. Włożył świeżo wyprasowaną białą koszulę i nowy, jasnoszary garnitur w cienkie i szeroko od siebie oddalone czarne paski. Jednolity krawat w kolorze wina harmonizował dobrze z resztą garderoby.

Wszedł do pokoju Rity i spojrzał na śpiącą córkę. Leżała zarumieniona w skrętach czarnych loków, obejmując lalkę w huculskim ubranku. Ogarnęła go wielka czułość i pocałował dziecko w kark za uchem. Poczuł ciepło śpiącego ciała i zapach krochmalu unoszący się z czystej pościeli. Rita otworzyła oczy i uśmiechnęła się do ojca.

– Wstawaj, śpiochu – szepnął. – Dzisiaj tatuś odprowadzi cię do szkoły.

Wyszedł z pokoju Rity, wpuszczając tam służącą, która już wypowiadała swoją nieśmiertelną pobudkową kwestię: „A ja leniuszka za uszko, wstawaj leniuszku, śmierdziuszku”. Usiadł w salonie ze „Słowem Polskim” i z wysoką szklanką cytrynowo-miętowej wody gazowej. Papierosa nie zapalił, by nie drażnić Leokadii, która gniewała się bardzo za nikotynizowanie pustego żołądka. Zdążył przeczytać już artykuł o aresztowaniu Mahatmy Gandhiego oraz – co go szczególnie zainteresowało – o pierwszym meczu bejsbolowym, który w Ameryce rozegrano nocą przy sztucznym świetle, kiedy Rita, ubrana w granatowy mundurek z

marynarskim kołnierzem, usiadła w jadalni i zawołała go do stołu. Zjedli śniadanie tylko we dwoje, ponieważ Leokadia jeszcze spała.

Na stole pojawiły się talerze uwielbianej przez Ritę kaszki krakowskiej, czyli zapiekanej kaszki z rodzynkami i migdałami w syropie malinowym. Na środku Hanna ustawiła koszyk z bułkami i przykrywaną salaterkę z serdelkami. Ojciec i córka zjedli to wszystko z wielkim apetytem, a kolejność potraw była uświęcona rodzinną tradycją: najpierw słodkości, potem potrawy pożywne.

Po chwili pięli się w górę ulicą Kraszewskiego, wzdłuż Ogrodu Jezuickiego. Rita trzymała mocno ojca za rękę i jak zwykle dopytywała się o znaczenie dziwnego symbolu na sygnecie. On niósł jej tornister i jak zawsze żartował, mówiąc, że ten magiczny znak jest ostrzeżeniem dla niegrzecznych dziewczynek. Popielski był tego poranka tak szczęśliwy, że nawet do głowy mu nie przyszło, że bardzo ryzykuje, wystawiając się już drugi dzień na działanie promieni słonecznych. Chodzenie po słońcu w ciemnych okularach, jak twierdzili medycy, miało być doraźnym zabezpieczeniem, nie zaś codziennym zwyczajem. Nawet o tym nie pomyślał, podobnie jak o śledztwie, o tajnej misji Zaremby, a nawet o Renacie Sperling.

Te wszystkie zgryzoty jednak powróciły, gdy odprowadził córkę do żeńskiej szkoły powszechnej św. Marii Magdaleny. Ucałował dziecko, oddając mu tornister wraz z torebką z piernikami juraszkami, które rano kupiła Hanna.

W drodze powrotnej przechodził w nieodpowiednim miejscu przez ulicę Sapiehy i omal nie potrąciła go limuzyna, na której tylnym siedzeniu rozpierał się komendant wojewódzki inspektor Czesław Paulin Grabowski. W jednej dłoni trzymał papierosa, w drugiej duży bukiet czerwonych goździków. Odprowadził Popielskiego srogim wzrokiem, a nawet coś na jego temat powiedział szoferowi.

Popielski, unikając połajanek, szybko przebiegł na drugą stronę ulicy i stanął przed kościołem pod wezwaniem identycznym jak szkoła Rity. Wypadek, który omal go nie dotknął i który sam na siebie byłby sprowadził, zburzył mu miły nastrój poranka. Miał on jednak bardzo ważne znaczenie – zaktywizował go do działania. Limuzyna naczelnika przypomniała mu bowiem o śledztwie i o zaniedbaniu analizy hebrajskich zapisów. Imieninowe kwiaty w dłoni inspektora mówiły mu natomiast, że teraz jest coś ważniejszego od śledztwa.

Przeprosić Renatę! „Chociaż ją w nocy na Lindego stukał jakiś młody żigolo – myślał z goryczą – to i tak należą się jej przeprosiny za moje haniebne zachowanie u Gutmana”.

U pani Bodnarowej na początku ulicy Sapiehy kupił bukiet czerwonych róż i zbiegał z nim z góry ulicą Kopernika, szybko, lecz ostrożnie, pilnie zważając, aby jasnobrązowym cieniowanym trzewikiem nie zawadzić o jakąś nierówność chodnika. Po chwili stał przed bramą, znad której dochodziły wczoraj w nocy jęki rozkoszy.

– A panna Marianna Stolecka to pod jakim numerem u pana mieszka? – zapytał stróża.

Kamieniczny funkcjonariusz przestał zamiatać chodnik i patrzył nieufnie na pokiereszowanego przybysza.

– Długu już ni pomieszka, jak si bendzi tak pruwadzić – odpowiedział stróż. – Ali na razi to mieszka pud trójku.

Popielskiego olśniło. Uwagi stróża o nieskromnych obyczajach lokatorki spod trójki podsunęły mu myśl, że okrzyków rozkoszy, które słyszał wczorajszej nocy, wcale nie musiała wydawać Renata Sperling, lecz jej koleżanka, właśnie panna Stolecka! A zatem niesłusznie posądzał swoją dawną uczennicę! Uśmiechnął się, dwudziestoma groszami natychmiast poprawił humor naburmuszonego stróża i przychylnie go do siebie nastawił, po czym wbiegł po schodach, wesoło pogwizdując.

Ale zmienność nastrojów nie opuszczała go tego poranka. Na półpiętrze poczuł, że nie może oddychać. Jego płuca zamarły, jakby nagle skute lodem. „Jeśli jej koleżanka wczoraj się puszczała – myślał – to gdzie ona w tym czasie była? Gdzieś indziej. U jakiegoś gacha! Albo tutaj wraz z przyjaciółką uprawiała ménage ŕ trois [48]!”

Z trudem odetchnął i stanął pod drzwiami mieszkania numer 3. Zastukał w zieloną szybkę obramowaną z trzech boków metalowymi secesyjnymi kłosami.

– Zakochałeś się czy co, do cholery? – powiedział do siebie, ciężko sapiąc. – A co jest złego w ménage ŕ trois? Chyba tylko to, że ciebie wczoraj tam nie było!

Ostatnie pytania i osobliwą odpowiedź usłyszała Renata Sperling, która stała w drzwiach mieszkania wyraźnie zmieszana i zaniepokojona.

– Dzień dobry, panno Renato – odezwał się, wyciągając w jej stronę bukiet róż. – Przepraszam panią za moje zachowanie u Gutmana. Byłem

pijany, miałem gorączkę, a ponadto… nic mnie usprawiedliwia… Chyba tylko chwilowy obłęd, w jaki popadłem…

Renata stała w drzwiach, a ręce opuściła wzdłuż wąskich bioder. Miała na sobie jasną sukienkę. Jej przód ozdabiały czarne romby, a szyję i talię dziewczyny duże szare kokardy. Nie odzywała się i nie patrzyła na swego gościa. Nie zamknęła mu jednak drzwi przed nosem. Najwyraźniej dawała mu jakiś cień nadziei.

– Proszę, niechże pani tylko przyjmie te kwiaty, a ja wtedy odejdę spokojny. – Starał się tę szansę wykorzystać i od razu uderzył w melodramatyczny ton. – Smutny, tak, zrozpaczony, tak, ale spokojny. Ogarnie mnie martwy, beznadziejny spokój. To lepsze od gorączki, która mnie przy pani ogarnia…

– Wszystku w purządku u panny? – zapytał stróż, który stał na półpiętrze i przysłuchiwał się każdemu słowu.

– Tak, panie Dudek, w jak najlepszym. – Zza ramienia Renaty wychyliła się szczupła i wysoka blondynka. – No, niechże pan wejdzie! – rzuciła do Popielskiego zniecierpliwiona. – Bo drzwi otwarte i muchy lecą.

Edward nie wiedział, komu ma być bardziej wdzięczny – ciekawskiemu stróżowi czy bezpośredniej pannie, która, jak się domyślił, była Marianną Stolecką. Tej nie zdążył jednak podziękować, ponieważ, stukając pantoflami, wyszła na balkon.

– Proszę do naszego pokoju – powiedziała Renata i odwróciła się na pięcie.

Znalazł się w małym pokoiku, którego okna wychodziły na ulicę, a więc tam gdzie wczoraj słyszał odgłosy erotycznej ekstazy. W pomieszczeniu stały dwa łóżka żelazne, dwa parawany i miska na mosiężnym rzeźbionym stojaku. Za parawanami wisiały na ścianie uchwyty obwieszone sukienkami, bluzkami i spódnicami. „Brak tylko pończoch i biustonoszy, a byłoby jak w burdelu – pomyślał Popielski. – Za tymi parawanami pewnie się podmywają. A potem złączają łóżka i robią ménage ŕ trois”.

Oparł się plecami o ścianę. Dotkliwy ból, który sam sobie zadał, pomógł mu odrzucić tę podłą, ale i fascynującą jednocześnie myśl. Obydwoje stali, ponieważ jedynym miejscem, gdzie mogliby usiąść, było łóżko. Popielskiemu aż się gorąco zrobiło na myśl o takiej poufałości.

– Przyjmie pani kwiaty ode mnie?

– Tak. – Wzięła bukiet i położyła go na stoliku stojącym pomiędzy łóżkami. – Nie jestem pamiętliwa. Ale proszę mnie już więcej nie

nachodzić! Właścicielka mieszkania pani Zimorowiczowa nie pozwala nam przyjmować wizyt mężczyzn…

„Wczoraj nie było zatem właścicielki – pomyślał – a może była? A w takim razie to… Czyżby wczoraj one obie, same ze sobą?! Ménage ŕ deux [49]?”

– Muszę się jeszcze z panią widzieć – powiedział zachrypniętym głosem. – To bardzo, bardzo ważne…

– Jest pan zuchwały! – Uśmiechnęła się kokieteryjnie panna Sperling. – Najpierw pan prosi o jedną przysługę, o wybaczenie, a zaraz o drugą…

– Niechże mi pani nie odbiera nadziei! – poprosił wystudiowanym, łagodnym basem.

– Nadziei na co? – Renata spoważniała. – Czy pan sobie zbyt dużo nie wyobraża, drogi panie?

– Nadziei na to, by stać się lepszym. – Był przygotowany na to pytanie. – Dzięki pani. Po ostatnim spotkaniu z panią czułem się jak podlec. Jak człowiek ciężko chory moralnie. Dzisiaj mnie pani częściowo uleczyła, a ja pragnę być zdrów całkowicie! Najskuteczniejsze medicamentum jest w pani pięknych dłoniach!

– A jakiż to niby cudowny lek?

– Zgodzi się pani przyjąć moje zaproszenie do „Luwru”? To pierwszorzędna restauracja, niedaleko od pani domu, wszystkiego pięć minut drogi – mówił szybko. – Zjemy kolację, porozmawiamy, a potem odprowadzę panią do domu. O zbyt wiele proszę?

– Sama nie wiem… – zawahała się.

– Czy to znaczy „tak”? Czy moją prośbę pani spełni?

– Niech pan zgadnie!

– Przyjdę po panią!

– Nie, pani Zimorowiczowa nie może pana widzieć!

– Dziś o ósmej w „Luwrze”?

– Już panu powiedziałam – niechże pan zgadnie! A teraz proszę już iść!

– Lubię zgadywanki i dobrze rozwiązuję łamigłówki. – Popielski uniósł do ust smukłą dłoń, która najpierw stawiała opór, a potem stała się rozkosznie bezwładna. – Jestem pewien, że dobrze zgadłem! „Louvre”. Do zobaczenia w Paryżu dziś wieczorem, panno Renato!

Zbiegł po schodach lekko jak młodzieniec. W otwartej bramie siedział stróż i drzemał w majowym słońcu. Kiedy Popielski przy nim stanął, ocknął się.

– Zapali pan? – Popielski wyciągnął w stronę stróża papierośnicę z ulubionymi egipskimi.

Ten wyjął dwa papierosy, jednego włożył do ust, drugiego za ucho.

– Co, to dla brata w wojsku, panie Dudek? – zapytał Popielski, zaciągnąwszy się z upodobaniem.

– Tak, cóś si ostatniu chłopaczyna fest ruzpalił!

– Niech pan mi coś powie, drogi panie Dudek. – Edward wyjął kolejne dwadzieścia groszy z pugilaresu. – Wczoraj o jedenastej wieczór to pani Zimorowiczowa była w domu czy nie?

– Nie było jej. – Stróż sięgnął po pieniądze. – Wyjechała do domku letniegu do Brzuchowic, a wraca dzisiaj!

– A obie panny były? – Popielski miał szybszy refleks i nie dał monety stróżowi.

– Cóś pan taki szwytki [50]! – Dudek patrzył łakomie na monetę. – To więcyj kosztuji!

– To wszystko i tak za dużo mnie kosztuje. – Popielski poprawił ciemne okulary, schował monetę do kieszeni i ruszył w stronę zalanej słońcem ulicy.

– Czekaj pan! Ali szwytki gościuniu! – Stróż podbiegł do wychodzącego i szepnął mu do ucha: – Czarnej bini [51] nie byłu, a u panny Stoleckij ta był cału noc pan inżynier.

– Co to za inżynier? – W Popielskim obudził się policjant. – Zna go pan?

– Ta nazwiska to ja ganc zapomniał!

– A to panu przypomni? – W wypielęgnowanych palcach Popielskiego zabłysła znów moneta dwudziestogroszowa.

– Ten cwancygier [52] całkim mi wszystku przypomniał. – Dudek schował monetę. – Inżynier hrabia Bekierski! Ma wielki majątyk, ali gdzie, ta nie wim.

Popielskiego zalała nienawiść tak gwałtowna, że nagle ujrzał właściciela majątku Stratyn leżącego we krwi i w rzygowinach na posadzce tej kamienicy. Podał rękę stróżowi. Musiał go mieć po swojej stronie, kiedy Bekierskiemu – prędzej czy później – stanie się coś złego w tej bramie na Lindego. A potem już o tym nie myślał. Całą jego uwagę zaprzątało pojęcie ménage ŕ deux – ze sobą i z Renatą w rolach głównych.

Kiedy wszedł do mieszkania, jego nastrój zmienił się po raz kolejny tego poranka. Leokadia oznajmiła, iż był telefon od sekretarza samego

komendanta wojewódzkiego. Inspektor Czesław Paulin Grabowski życzył sobie widzieć Popielskiego dzisiaj o szóstej w swoim gabinecie.

[48] Seks we troje.
[49] Seks we dwoje.
[50] Szybki.
[51] Dziewczyny.
[52] Dwadzieścia groszy.

VI

DO GODZINY AUDIENCJI WYZNACZONEJ POPIELSKIEMU przez komendanta pozostawało jeszcze bardzo dużo czasu. Prawie cały dzień. Dwie godziny snu wystarczyłyby, aby przespać najostrzejsze światło południa i zregenerować siły naruszone przez wczorajszy alkohol. Było mu akurat tylko tyle potrzebne, by wypocząć po zdarzeniach poranka, które targały jego uczuciami w sposób zmienny i nieprzewidywalny.

Popielski zasunął zasłony w gabinecie, na głowę włożył haftowaną szlafmycę i wszedł pod kołdrę. Zamknął oczy i czekał na ten moment, kiedy myśli przestają brzęczeć po głowie i przekształcają się w szereg obrazów – łagodnych, obojętnych i sennych. Gdy takie obrazy się nie pojawiały, zwykle sam je wywoływał: przed jego oczami rozlewały się szerokie stepy Ukrainy i wielkie szumiące rzeki. Te wizje były ostatnią rozpaczliwą próbą wezwania Morfeusza. Po nich nadchodził albo sen, albo sucha, zgrzytająca różnorodnością dźwięków, znienawidzona bezsenność.

Teraz myśli odmawiały mu posłuszeństwa i nie był w stanie roić o wodach i trawach zielonej Ukrainy. Zamiast tego pobudzona pamięć podsyłała mu na zmianę – już to łagodny owal oblicza Renaty Sperling rozjaśnionego wielkimi zielonymi oczami, już to zacięte usta i grubo ciosane szczęki inspektora Czesława Paulina Grabowskiego. I jedna, i druga wizja powodowała silne podniecenie – choć całkiem różnego rodzaju. I jedna, i druga wywoływała wyrzuty sumienia – Renata ostrzegała: „Festina lente!” [53], komendant krzyczał: „Ja mam pana przyjąć na powrót do pracy, a pan mi tu przychodzi i nie wie nic o tych zapisach Hebraisty!”.

Popielski odrzucił gwałtownie kołdrę, wstał i usiadł ciężko za biurkiem. Zapalił lampę, sprawdził, czy zasłony szczelnie zakrywają okno, a potem przystąpił do pracy. Rozłożył na zielonej skórze blatu kartki z hebrajskimi

zapisami i długo na nie patrzył. Potem otwarł słownik hebrajski i wynotował wszystkie miejsca w Starym Testamencie, w których występują użyte w zapisach wyrazy. Ze swojej wielkiej czterodrzwiowej biblioteki, ozdobionej z obu stron postaciami żniwiarzy, wyjął teraz cztery egzemplarze Biblii, w czterech wersjach językowych – polskiej, hebrajskiej, greckiej i łacińskiej.

Wydawało mu się, że zapisy mordercy są przypadkowe, byle jakie, płaskie i po prostu głupie. Czuł, że imitują one tylko jakąś głęboką okultystyczną treść. Dlatego postanowił im się przyjrzeć w innych kontekstach, zrozumieć je dogłębnie i etymologicznie. Wiecznym piórem Waterman przepisywał w czterech językach miejsca biblijne na małe kartoniki, tam podkreślał wyrazy występujące w komunikatach mordercy i usiłował się dogrzebać do ich pierwotnych znaczeń. Potem porównywał te znaczenia w czterech wersjach językowych i czuł coraz większe podniecenie twórcze. Wciągały go nie tyle jakieś mgliste wyobrażenia celu pracy, ile sama praca. Ekscytowało go własne równe pismo, cieszyły podkreślenia czerwonym atramentem różnic znaczeniowych, zgrzyt stalówki na papierze, a nawet zapach otwartej biblioteki. Nie zauważył, kiedy minęło południe, ledwo zarejestrował przyjście Rity ze szkoły i jej pocałunek wyciśnięty na ojcowskim policzku, prawie że nie poczuł smaku obiadu, który mu przyniesiono do gabinetu. Dopiero koło trzeciej opadł z sił. Oparł się bezwładnie o obrotowy fotel, nogi wyciągnął prosto przed siebie i patrzył na swoje notatki ze wzrastającą irytacją. „No tak – myślał – tym właśnie obdarzę dzisiaj inspektora Grabowskiego. Rozważaniami naukowymi. Powiem mu, że hebrajski wyraz »jutrzenka« jest spokrewniony z wyrazem »zaczarować«! Ależ się stary ucieszy! Ależ mnie uhonoruje! On tylko spojrzy na mnie i powie słodko: »Co to za uczony wykład, panie! Pan powinieneś być profesorem na uniwersytecie, ale tam, jak słyszałem, nie bardzo pana chcą«. Spojrzy na listę swych pracowników i doda: »A my, o ile się nie mylę, nie mamy etatu dla żadnego profesora«”.

Popielski wstał od biurka, zapalił papierosa i zrzucił szlafmycę. Musiał zająć się przez chwilę czymś innym, aby rozwiać obraz rozsierdzonego komendanta Grabowskiego.

Na najniższej półce biblioteki stały oprawione roczniki „Deutsche Schachzeitung”, którą kiedyś abonował. Wyjął pierwszy lepszy rocznik i zaczął przerzucać kartki. W dziale „Ciekawostki” natrafił na zabawną opowiastkę o szyfrowaniu wiadomości ruchem konika szachowego. Otóż

pewna bardzo zamożna i nieszczęśliwie zakochana panna przesyłała swemu ubogiemu adoratorowi listy z pozornie głupimi i bezsensownymi zdaniami. Adresat, pozbawiony przez rodziców ukochanej nadziei na ożenek, wiedział, że punktem wyjścia jest litera znajdująca się w prawym górnym rogu listu. Wyszedłszy od tej litery ruchem konika szachowego, odczytywał tajne przesłania i wyznania. Ojciec panny, zapalony szachista, odkrył któregoś dnia te szyfry i doszedł do wniosku, że jego córka, odznaczając się tak wielką mądrością, nie mogła się pomylić w wyborze przyszłego męża. Zgodził się zatem na ożenek, a cała historia zakończyła się happy endem.

Popielski w trakcie lektury tego opowiadania zesztywniał w nagłym skupieniu. Bezsens idiotycznych zdań zapisywanych przez szachistkę był tylko pozorny, a ich właściwa treść ukrywała się pod kodem znanym tylko zakochanym. A może pod bełkotem zapisów Hebraisty coś się skrywa? Może należy czytać te zdania, skacząc po składających się na nie literach? Może coś znaczy na przykład co trzecia hebrajska litera? A może co czwarta? Tylko ile liter powinien wynosić ten skok? Bez tej informacji mogę tak sobie skakać do końca życia – pomyślał – zwłaszcza jeśli długość skoku nie jest żadną stałą! Może najpierw należy przeskoczyć dwie litery, a potem pięć? A co jeśli liczby skoku tworzą jakiś ciąg?

Wstał i zaczął krążyć po pokoju z papierosem w ustach. Jeśli jeden i drugi zapis są zaszyfrowane na tej samej zasadzie, to musi znaleźć w nich coś wspólnego. Usiadł nad kartkami i czytał jeszcze raz polski przekład obu fragmentów.

Krew, ostrze, ruina, wróg, koniec, śmierć dla syna jutrzenki (Lucyfera) nie są piętnem i nie są złem.

Słońce się ukryło, [był] lament człowieka, bóg zamordowany i stało się święto dla podniebienia sępa i lewiatana.

Oczywiście, że wspólny dla obu zapisów był motyw diabła – nazwanego raz synem jutrzenki, czyli Lucyferem, a raz lewiatanem. To może być właściwy trop liczbowy! Przecież w całej tradycji chrześcijańskiej liczbą szatana jest 666! Może zatem należy odliczać co szóstą literę każdego zapisu? A może skakać sześćdziesiąt sześć razy, a nawet sześćset sześćdziesiąt sześć?

Popielski zaczął sprawdzać najprostszą hipotezę. Z pierwszego zapisu hebrajskiego pokolorował i wypisał co szóstą literę:

To samo uczynił z drugim tekstem:

Otrzymał dwa sześcioliterowe wyrazy: i . Rzucił się gorączkowo na słownik hebrajsko-niemiecki Geseniusa i na gramatykę tegoż autora. Nie znalazł tam żadnego wyrazu ani nie utworzył żadnej formy, która by odpowiadała hipotetycznym wyrazom złożonym z oznaczonych liter.

Podparł głowę rękami i zaczął masować skronie. Uwagę jego przyciągnęła pewna regularność. Gdyby po każdej oznaczonej literze postawić kreskę, oddzieliłoby się po sześć sensownych wyrazów lub fraz. Gorączkowo to zapisał i otrzymał dwa kwadraty literowe. Każdy z nich zbudowany był z boku sześcioliterowego.

Podszedł do okna, uchylił lekko kotarę i otworzył lufcik, który zaczął prawie widocznie wsysać nagromadzony w pokoju dym. Po sekundzie i w jego głowie zrobiło się jaśniej. „Kwadraty złożone z liter – myślał – to nic innego, jak kwadraty magiczne”. Natychmiast przypomniał sobie najsłynniejszy z nich: łaciński kwadrat magiczny, którego litery czytane poziomo i pionowo dawały te same wyrazy, a te tworzyły bezsensowne zdanie „siewca Arepo z trudem dzierży koła”

Już zaczął wypisywać litery z obu hebrajskich kwadratów i układać je w pionie, kiedy do jego pokoju weszła Leokadia.

– Już piąta, Edwardzie – uśmiechnęła się – a ty wciąż rozwiązujesz szarady. Mówiłeś mi, że masz iść na uniwersytet po jakąś książkę, a potem czeka cię ważne spotkanie… Nie sądzę, by komendant Grabowski uwzględnił takie oto usprawiedliwienie: „spóźniłem się, panie inspektorze, bo wciągnęła mnie pewna łamigłówka”…

Leokadia się myliła. Szef lwowskiej policji popadł dziś w wielką desperację i byłby gotów pójść na największe ustępstwa i przyjąć nawet najfantastyczniejsze usprawiedliwienia, gdyby dzięki temu posunęła się naprzód sprawa zabójstw Luby Bajdykowej i Lii Kochówny.

[53] Śpiesz się powoli.

## VII

SZEF LWOWSKIEJ POLICJI INSPEKTOR Czesław Paulin Grabowski patrzył na Edwarda Popielskiego ciężkim, niechętnym wzrokiem.

Dzień imienin zaczął się dla szefa Komendy Wojewódzkiej Policji pozornie bardzo dobrze, bo od życzeń, jakie mu złożył przez telefon sam komendant główny.

– A na końcu życzenie z twojego lwowskiego podwórka – pułkownik Janusz Jagrym-Maleszewski zakończył długą litanię wszelkich pomyślności. – Życzę ci, bracie, abyś szybko ujął tego bandytę, o którym już huczą we wszystkich gazetach…

– Dziękuję ci z całego serca za te piękne wyrazy przyjaźni – powiedział Grabowski do swojego szefa. – I również za ostatnie życzenia, które się spełnią lada chwila…

– To bardzo dobrze, bo nam w Warszawie się zdaje, że ta bestia mordująca kobiety i wysyłająca żydowskie karteczki wodzi was trochę za nos. Mamy informacje, że prasa szykuje się do kolejnych ataków. Wiesz, jakie to może być nieprzyjemne…

– Z Warszawy nie wszystko dobrze widać. – Grabowski zdrętwiał. – Oczekujesz szczegółowego raportu?

– Oczekuję, stary druhu – Jagrym-Maleszewski mówił powoli i dobitnie – że spędzisz dzisiaj przyjemnie swoje imieniny. A pojutrze, kiedy już odpoczniesz, prześlesz mi dokładny raport oraz ewentualne zapotrzebowanie na specjalistę do spraw żydowskich. Mamy takich wielu…

– Bardzo ci dziękuję, ale jest to zbędne. Mamy też takich u siebie.

– To świetnie. A zatem powodzenia i jeszcze raz wszystkiego dobrego na imieniny!

Grabowski w czasie uroczystości w auli komendy był w kiepskim nastroju. Z roztargnieniem słuchał przemówień i życzeń składanych mu przez kierowników działów i referatów, oficera inspekcyjnego oraz kierowników komisariatów. Kiedy te już się skończyły, ze sztucznym uśmiechem wstał od stołu, podziękował za miłe słowa, trochę się jąkając, po czym zszedł z podium z kieliszkiem wódki w dłoni, aby stuknąć się ze wszystkimi policjantami służącymi pod jego komendą. Podczas tego corocznego rytuału zamienił prawie z każdym dwa słowa, próbował nawet żartować, lecz był nieobecny duchem, a jego chmurna mina osłabiała i tak już wymuszony dowcip owych żartów.

Nagle twarz komendanta zajaśniała szerokim, szczerym uśmiechem. Stało się to wtedy, gdy stukał się kieliszkiem z aspirantem Wilhelmem Zarembą i z ust podwładnego usłyszał następujące zdanie:

– Czy pan pułkownik zgodziłby się przyjąć na posłuchaniu zwolnionego ze służby komisarza Edwarda Popielskiego? On wie, jak rozwiązać sprawę Bajdykowej i Kochówny.

Grabowski stuknął się raz jeszcze kieliszkiem z Zarembą, rozpromienił, po czym krążył dalej po auli, przyjmując imieninowe życzenia. Żadne z nich nie sprawiło mu jednak takiej osobliwej przyjemności jak prośba aspiranta. Każdy, kto życzyłby komendantowi rychłego ujęcia jakiegoś przestępcy, naraziłby się na jego gniew, ponieważ w takim życzeniu zawarta byłaby aluzja do nieudolności policyjnych działań. Każdy z podwładnych Grabowskiego zdawał sobie z tego sprawę i unikał jak ognia tematu niedawnych mordów na wróżce i prostytutce. Dziś oprócz komendanta głównego pułkownika Jagrym-Maleszewskiego jedynie Zaremba nawiązał do tej sprawy, lecz nie zdawkowym życzeniem, ale konstruktywną sugestią, ważną propozycją.

Inspektor skończył swój imieninowy obchód, po łyku wódki i zjedzeniu zakąski ukłonił się zebranym i wszyscy rozeszli się do swoich obowiązków. On sam usiadł w gabinecie, poprosił sekretarkę o niełączenie przez kwadrans żadnych rozmów, chyba że z wojewodą lub arcybiskupem, i zastanowił się głęboko nad słowami Zaremby.

Może kiedy indziej potraktowałby je jako zuchwałość, jako bezczelne pogwałcenie zasady drogi służbowej, które wyrażałoby się w pominięciu bezpośredniego zwierzchnika, czyli Kocowskiego. Może kiedy indziej, ale nie teraz. Znał doskonale stosunki panujące w Urzędzie Śledczym i wiedział, że ścieżka służbowa byłaby w tym wypadku całkiem niedrożna – Kocowski, zaprzysięgły wróg Popielskiego, zablokowałby ją skutecznie. Sam Grabowski cenił wysoko Łyssego, ale ani przez chwilę się nie wahał przed zwolnieniem go po jego karczemnej awanturze ze zwierzchnikiem. Komendant, miłośnik zdecydowanych działań wojskowych, jakie niedawno przedsięwziął, pacyfikując ukraińskie wsie, uznawał prawie za ciężką zbrodnię każdą niesubordynację wobec zwierzchników i o takim przestępcy nie chciał już nigdy słyszeć. Dzisiejszy poranny telefon i delikatne upomnienie ze strony pułkownika Jagrym-Maleszewskiego zachwiało poglądy Grabowskiego na temat hierarchicznych przewinień. Obaliła je zupełnie delikatna sugestia szefa o tym, iż prasa szykuje się do ataku. Grabowski doskonale pamiętał sytuację sprzed kilku lat, gdy w Kowlu udzielił wywiadu „Kresom”. Jego wypowiedź o „bandytyzmie, który leży w charakterze miejscowej ludności”, spreparowana i przeinaczona przez korespondenta, wywołała burzę parlamentarną. Wówczas to Komunistyczna Frakcja Poselska domagała się pociągnięcia go do

odpowiedzialności. Ostatecznie „Kresy” zamieściły sprostowanie, lecz nienawiść Grabowskiego do prasy nigdy już nie osłabła.

Podjął decyzję. Zanim zadzwonił telefon z życzeniami imieninowymi od arcybiskupa Twardowskiego, solenizant kazał sekretarce wezwać Popielskiego na szóstą.

Minutę wcześniej wybiła właśnie ta godzina i Popielski siedział teraz przed nim. Ze swą poobijaną gębą i w nowym, świetnie dopasowanym ubraniu sprawiał wrażenie alfonsa lub gangstera z Chicago. Być może kiedyś ta podejrzana aparycja zupełnie by go zdyskredytowała w oczach inspektora. Ale nie dzisiaj. Nie po porannym telefonie komendanta głównego.

– Nie mam zbyt dużo czasu. – Grabowski chciał jeszcze dodać „panie komisarzu”, ale ten tytuł zupełnie nie pasował do poharatanego cywila, który przed nim siedział. – Do rzeczy zatem!

– Mam informacje, które pozwolą ująć Hebraistę. – Popielski wiedział, że to określenie za sprawą Zaremby już funkcjonuje w Urzędzie Śledczym.

– No to niech pan je przekaże inspektorowi Kocowskiemu. – Komendant wstał zza biurka i obciągnął mundur. – Wiem, że już pan z nim współpracuje jako ekspert od języków starożytnych. Jeśli pańskie nowe informacje rzeczywiście ułatwią nam pracę, docenimy ten wspaniały obywatelski gest. Coś jeszcze?

Popielski również wstał.

– Proszę o szansę poprawy. – Spodziewał się zniecierpliwienia szefa. – Chcę się zrehabilitować w oczach zwierzchników i dostać szansę powrotu do policji.

– Dowiedziałem się dzisiaj, że wie pan, jak znaleźć Hebraistę – Grabowski usiadł – i w tej sprawie pana wezwałem. A pan mi tu mówi o jakiejś rehabilitacji. A na ten temat to ja nie mam wcale czasu, mój panie!

– Obie sprawy łączą się ze sobą. – Popielski zaczerpnął tchu. – Informacje prowadzące do zbrodniarza są poufne. Otrzymałem je jako prywatny detektyw, mogę je sam wykorzystać, dojść do mordercy, a policję powiadomić dopiero na ostatnim etapie mojego śledztwa, by potem wspólnie ująć mordercę! A mogę też współpracować z policją od zaraz. Nie wiem, co robić… Gdybym otrzymał od pana pułkownika choć cień nadziei na rehabilitację…

– Wyjść! – ryknął Grabowski. – Na co ty sobie pozwalasz, ty moczymordo!? Mnie szantażować!? A won!

Popielski wstał i wyszedł. Komendant opadł na fotel i uśmiechnął się. Może kiedyś wyrzuciłby na zbity pysk bezwstydnego petenta i definitywnie zapomniałby o jego bezczelnej propozycji. Ale nie dzisiaj. Nie po porannym telefonie pułkownika Jagrym-Maleszewskiego. Już odegrał rolę rozwścieczonego zwierzchnika. Nadszedł czas praktycznych działań. Uniósł słuchawkę.

– Panno Jadziu – powiedział do telefonistki – proszę z domowym telefonem Kocowskiego. Na cito [54]! Ale wcześniej zatrzymać mi na portierni Popielskiego!

Telefon zadzwonił po sekundzie.

– Proszę do mnie – Grabowski odezwał się do Edwarda. – Porozmawia pan za chwilę z inspektorem Kocowskim z mojego aparatu. Ja osobiście będę nadzorował to śledztwo! Tylko proszę szybko na górę, bo mam przyjęcie w „Wiedeńskiej”!

– Wszystkiego najlepszego z okazji imienin – usłyszał komendant zachrypnięty głos Popielskiego. – Zaraz będę!

Po raz pierwszy tego dnia życzenia imieninowe sprawiły Grabowskiemu autentyczną przyjemność.

[54] Szybko.

VIII

MIMO POWSZEDNIEGO DNIA O WPÓŁ DO ÓSMEJ nie było już w „Louvre” wolnych stolików. Było tak zresztą zawsze od trzech lat, od momentu gdy restauracja uzyskała nowego właściciela, pozbyła się starej nazwy „Renaissance” i uzyskała nową – „paryską”. Popielski znalazł miejsce tylko dzięki kelnerowi, który dobrze pamiętał suty napiwek otrzymany kilka dni wcześniej od łysego pana. Sprytny pracownik wiedział doskonale, że pewien profesor gimnazjalny kończy właśnie kolację przy bocznym stoliku i ma w zwyczaju opuszczać lokal natychmiast po zjedzeniu ostatniego rolmopsa. Posadził zatem Popielskiego przy swoim służbowym stoliku, a za chwilę prowadził go wśród powtórzeń „całuji rączki” do zwolnionej właśnie przez profesora dyskretnej loży oświetlonej światłem lampki stojącej na środku stołu.

Popielski przyjrzał się w lustrze swemu smokingowi i starannie zawiązanej białej muszce, po czym zlustrował z zadowoleniem otrzymane

miejsce i wręczył kelnerowi dwudziestogroszowe podziękowanie za znalezienie romantycznego kącika, idealnego na randkę z Renatą Sperling.

Na razie jednak musiał się zadowolić towarzystwem Zaremby, który zły i spocony wtoczył się za barierkę loży.

– Panie starszy – Popielski kiwnął na kelnera, który zjawił się błyskawicznie – proszę o karafkę czystej od Baczewskiego i trochę zimnych zakąsek.

– Kiełbaska, jajeczka, jakiś befsztyczek? – zapytał kelner.

– Wszystko, tylko zamiast kiełbaski szynka, ale taka z tłuszczykiem, wie pan, w sam raz do wódeczki. – Popielski przywitał się radośnie z Zarembą. – Napij się, bracie, ja funduję, stary przyjął dziś moją propozycję, niedługo znów będziemy kolegami z pracy.

– Wiem o tym aż za dobrze – mruknął Zaremba. – Zamiast siedzieć w domu z moją Władzią albo tak jak ty wystroić się w smoking i iść na tańce, od półtorej godziny na rozkaz Kocowskiego werbuję posterunkowych ze wszystkich komisariatów, by sprawdzili twój ślad na Zadwórzańskiej. Nie mógł stary poczekać do jutra? Siedzę sobie w domu, jem kolację, a tu dzwoni Kocowski i wrzeszczy, że wszystko na cito! Od jutra też tam będę chodził!

– A ja razem z tobą. Ale to wszystko dopiero od jutra. A teraz wypijmy toast – rozlał wódkę przyniesioną przez kelnera – za twój dobry humor i za naszą misję na Zadwórzańskiej! Na pohybel Hebraiście!

Wypili. Pachnąca różowa szynka z tłuszczykiem zniknęła w ustach Popielskiego, Zaremba ograniczył się do powąchania chleba.

– No i co? – Edward zapalił papierosa. – Już ruszyli na Zadwórzańską wypytywać o matematyka, który zna hebrajski?

– Takie właśnie dostali rozkazy i ruszyli. – Zaremba rozsiadł się wygodnie. – A ja mogę w końcu wracać do mojej Władzi. Nalej mi jeszcze jednego! Widzę, że masz w „Luwrze” drugi dom. Tak się zresztą wyraziła Lodzia, kiedy się jej zapytałem, gdzie jesteś.

Popielski uczynił, co mu kazano, i spojrzał na zegarek. Wskazówki wskazywały za kwadrans ósma.

– Szukałeś mnie? – zapytał i uniósł stopkę z wódką.

– Tak, szukałem cię.

Wypili i chuchnęli. Jajko w majonezie znalazło się na widelcu Popielskiego. Zaremba tym razem sięgnął po plaster szynki.

– Żeby mi powiedzieć o akcji na Zadwórzańskiej?

– Co ty mnie tak wypytujesz? – Zaremba uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru. – Co to, przesłuchanie? Patrzysz co chwila na zegarek, strzelasz pytaniami jak karabin maszynowy… Czy to znaczy „kończ, stary Wilhelmie, katulaj się stąd, bo mam tu małe rendez-vous”, co przypuszcza zresztą Lodzia?

– Rzeczywiście, moje zachowanie wszystko to oznacza z wyjątkiem „katulaj się”. Chcesz, to siedź. Poznasz pewną piękną pannę!

– Zanim ją poznam – Zaremba z niepokojem rozejrzał się dokoła i ściszył głos – opowiem ci, czego się dowiedziałem o niejakim Józefie hrabi Bekierskim.

– Mów. – Popielski zesztywniał.

– Ma on całkiem sporą kartotekę…

– U nas?

– Nie, w Urzędzie Wojewódzkim, w Wydziale Bezpieczeństwa Publicznego. Mój kolega Franiu Pirożek opowiedział, co jest aktach…

– No mów, mów, Wilek!

– Pochodzi z prawosławnej i zrusyfikowanej lubelskiej szlachty – Zaremba mówił wolno i z namaszczeniem, jakby cytował słowa Pirożka. – Po wojnie, w czasie której walczył w armii carskiej, kupił upadający majątek Komornickich w Stratynie. Choć się tytułuje hrabią i zaprasza do siebie arystokratów, zjawiają się u niego tylko goście niższego szczebla towarzyskiego. Otacza się Rosjanami, dawnymi towarzyszami broni. W okolicy krążą legendy o pijatykach, jakie z nimi urządza. Kiedyś zostało złożone na niego doniesienie na posterunku w Rohatynie. Niejaki Wasyl Tereszczenko poskarżył się na niego, że zwabił i zgwałcił jego córkę. Potem skargę wycofał…

– Bo pewnie wielmożny pan hrabia mu zapłacił albo pogroził – powiedział w zamyśleniu Popielski. – On uważa się za średniowiecznego seniora, który korzysta z ius primae noctis [55]…

– Słuchaj dalej. – Zaremba rozglądał się po sali, szukając wzrokiem kobiety, z którą umówił się jego przyjaciel. – Nasz hrabia jest aktywnym działaczem endeckim, antysemitą i fanatycznym rusofilem. Ostatnio jest bardzo aktywny politycznie, chodzą słuchy, że zamierza kandydować do sejmu i szuka porozumienia z kołami ziemiańskimi. To tyle. Więcej grzechów nie pamiętam. Idę do domu przytulić Władzię.

– Dziękuję. – Popielski zapisywał to wszystko w pamięci. – Bardzo ci dziękuję, mój drogi.

– Oj, jakiś ty uprzejmy, jaki grzeczny! Nic szczególnego dla ciebie nie zrobiłem! – Zaremba podniósł się z miejsca i wyciągnął do przyjaciela wielką, miękką dłoń. – Ale tyś taki łagodny pewnie pod wpływem tej panny! A ta nie przychodzi! Nie martw się, brachu. Wystawia cię na próbę. Pewnie sobie myśli „jeśli kocha, to poczeka”!

Renata spóźniła się ponad kwadrans, mimo że z ulicy Lindego do „Louvre” idzie się pięć minut wolnym krokiem.

[55] Prawo pierwszej nocy.

IX

KIEDY UJRZAŁ RENATĘ SPERLING, w jednej chwili wybaczył jej prawie dwudziestominutowe spóźnienie. Wyglądała olśniewająco. Miała na sobie suknię do kolan, u dołu wyciętą w zęby, u góry – w kwadratowy i haftowany dekolt. Między piersiami zwieszał się sznur korali. Kiedy Edward zerwał się na równe nogi, aby się z nią przywitać, pomyślał, że chętnie choć na chwilę stałby się ową błyskotką położoną bezpiecznie wśród miękkich pagórków.

Patrzył na nią nieśmiało i zachowywał się niezgrabnie – jak przerażony uczniak w tingel-tanglu. Już od dawna nie miał do czynienia z kobietą, którą trzeba zdobywać powoli i cierpliwie. Już od dawna nie odczuwał takich nastrojów i oczarowań, których właściwe określenie nie chciało mu nawet przejść przez usta.

Nastrój zakłopotania udzielił się Renacie. Nie mogła się zdecydować na wybór dania, a potem, kiedy już je podano, sprawiała wrażenie, iż jest skonsternowana jego wykwintnym wyglądem. Milczała, niepewnie nadziewała na widelec kawałki pulardy z rożna podanej z kaszą perłową i szparagami i ledwo podnosiła do ust kieliszek wódki, by upić z niego kilka kropel. Edward jadł jarząbki z borówkami i ściśle kontrolował picie alkoholu. To nieustanne odliczanie liczby wypitych kieliszków irytowało go i krępowało.

Mówił głównie on. Jego wywody miały być w założeniu mieszaniną błyskotliwych dowcipów i komplementów. Pierwsze mu zupełnie nie wychodziły. Z drugich w końcu całkiem zrezygnował, ujrzawszy, iż Renata nie jest w najlepszym humorze. Nieopatrznym i zbyt pośpiesznym flirtowaniem mógł ją do siebie zrazić. Pozostawało mu albo zaprosić ją do tańca, albo poprowadzić miłą towarzyską konwersację, która by wzbudziła

zaufanie dziewczyny i zupełnie zatarła niemiłe wrażenie po ich przedostatnim spotkaniu. Ponieważ jego umiejętności taneczne były bardziej niż skromne, postanowił chwycić się ostatniego sposobu.

– Proszę mi opowiedzieć – uśmiechał się, kręcąc sygnetem wokół palca – co pani robiła przez te wszystkie lata, kiedy się nie widzieliśmy?

– Po maturze wyjechałam do Krakowa, do krewnych. – Widać było, że ten temat rozmowy nie wzbudza specjalnego entuzjazmu młodej kobiety. – I tam ukończyłam kursa handlowe. A potem już tylko pracowałam – to tu, to tam… Jako buchalterka. Ostatnia moja posada była u Bekierskiego…

Na dźwięk tego nazwiska Popielski natychmiast stracił resztki sztucznego dobrego humoru. Nie przychodziło mu do głowy, jaki temat mógłby teraz poruszyć. Milczał zatem ponuro i palił papierosa. Nie wiedział, czym ma zająć ręce, kiedy już skończy palić. Może się napić? Karafka z mrożoną wódką zachęcała, by ją chwycić i przechylić, lecz było to kuszenie szatańskie i mogło grozić utratą kontroli.

– Mogę panią poprosić do tańca? – zapytał w końcu zdesperowany.

– Tak, za chwilę – odpowiedziała. – Tylko przypudruję nosek.

Po chwili wróciła z toalety i spojrzała na niego wyczekująco. Wstał i żwawo ruszył na parkiet z młodą towarzyszką. Na szczęście zagrano walca wiedeńskiego, którego rytm wyczuwał chyba najlepiej.

Podtrzymywał ramieniem lekko odchyloną Renatę i walcując po sali, wracał wspomnieniami do szczęśliwych lat studiów wiedeńskich, kiedy to właśnie w walcu zdobył kobietę swojego życia, Stefanię, której po kilku latach, już we Lwowie, wsunął obrączkę na serdeczny palec. Te dźwięki walca wiedeńskiego szumiały mu w głowie, gdy rok później siedział przy jej łożu śmierci, które było jednocześnie łożem narodzin Rity.

Te myśli towarzyszyły mu i w tańcu, i potem, kiedy znów zasiedli za stołem. I tak Popielski opowiedział Renacie historię swojego życia: mówił o studiach w sercu cesarsko-królewskiego imperium, o grze w szachy i w karty na pieniądze w wiedeńskich kawiarniach, dzięki czemu mógł tam żyć ponad stan, o wojnie i o rosyjskiej niewoli w dalekim Niżnym Nowogrodzie, o fascynacji matematyką i językami starożytnymi. Mówił też o Stefanii, o Leokadii, o której całe miasto plotkowało, że „żyje z nim na wiaderku”, i o ukochanej Ricie, której wspomnienie nieoczekiwanie wywołało u niego łzy, jakby swego dziecka nie widział od lat.

Był pewien, że nie nudzi Renaty swoimi opowieściami biograficznymi. Był również święcie przekonany, że w najmniejszym stopniu nie pomogą mu one zawrócić jej w głowie na tyle, by ją uwieść. Pozbył się zresztą tych pragnień. Snuł swoje historie wyłącznie po to, by unikać owego kłopotliwego milczenia, które zapadało co chwila na początku ich spotkania. Zachowywał spokój właściwy dojrzałym mężczyznom, dla których zyskiem jest już spędzenie wieczoru w towarzystwie młodej, pięknej kobiety i którzy jego ewentualne ukoronowanie w postaci wspólnej nocy uznają za dobry los wygrany na loterii, za ziarno dla ślepej kury.

– Nie wspomniał mi pan o jednym – zauważyła Renata, kiedy w pewnym momencie umilkł. – O swojej pracy w policji. Lubił pan ją?

– Wciąż ją lubię. – Uśmiechnął się. – Od niedawna wykonuję pracę quasi-policyjną. I czuję ją nawet na swym grzbiecie i nosie.

– Przepraszam. – Renata oblała się rumieńcem. – Nie powinnam o tym mówić. To wszystko przeze mnie…

Popielski zdał sobie sprawę, że nigdy jej do siebie nie przekona, jeśli będzie u niej wywoływał poczucie winy. Zganił się w myślach za głupią wypowiedź i gorączkowo zastanawiał się, jak obrócić ostatnie kwestie w żart. Niestety, nie przychodził mu do głowy żaden dowcip, żaden bon mot, żaden kalambur.

– Podobnie jak ja jestem bezsilny wobec pani przeznaczenia – nagle go olśniło – tak i pani jest bezsilna wobec swojego losu i wobec mojego przeznaczenia. Wszyscy jesteśmy bezsilni wobec jakiegokolwiek fatum. Ono zawsze nas pokona. Moje tylko czeka cierpliwie, aż pani skapituluje. – Obszedł stół dokoła i ukłonił się jej, wyciągnąwszy rękę.

– Zatańczmy. – Uśmiechnęła się w zamyśleniu. – I pójdę już!

Następnym tańcem był fokstrot, którego Popielski nie znosił. Mylił co chwila krok, odchylał się komicznie do tyłu, patrząc w pomalowany freskami sufit, i nawet nie spojrzał na swoją partnerkę, aby nie ujrzeć rozbawienia w jej oczach. Kiedy się już skończył ten nieszczęsny taniec, odetchnął z ulgą, odprowadził Renatę do stolika i skinął na kelnera, aby uregulować rachunek.

Po wyjściu z lokalu szli powoli. Obustronne skrępowanie rozpłynęło się w rześkim poburzowym powietrzu. Milczenie nie było już kłopotliwe. Rozgościło się pomiędzy nimi jak łagodna zaduma przyjaciół – kiedy każdy z nich myśli o swoich sprawach i spogląda wokół spokojnym, niewidzącym wzrokiem. Tak i on spoglądał teraz na piękne przeszklone kamienice na

Sykstuskiej, a ona pod nogi – by na nierównym chodniku nie uszkodzić pantofelków.

Stanęli przed kamienicą na Lindego. Popielski znów pochylił się nad wiotką dłonią Renaty. Przycisnął usta do gładkiej skóry i drobnych kostek jej ręki.

– Dziękuję za miły wieczór. – Uśmiechnęła się i zaczęła mówić bardzo cicho, z obawą patrząc na ciemne okna kamienicy. – Odpoczęłam od moich codziennych zgryzot. Od mojej współlokatorki, dziewczyny nieprzewidywalnej i trochę samolubnej, od mojej gospodyni, która nieustannie biega do kościoła i wylicza nam zużycie światła… A pan choć trochę wypoczął tego wieczoru od zgryzot?

– Marzę o tym – powiedział dobitnie, patrząc jej przenikliwie w oczy – aby za sprawą pani mieć ich jeszcze więcej. Każdy pani kłopot jest moim kłopotem. Jestem tu po to, aby je usuwać!

– Jest pan pyłkiem miotanym przez wiatr mojego losu – powiedziała Renata nieco melodramatycznie, wspięła się na palce, dłoń oparła na jego ramieniu i pocałowała go w policzek.

Popielski stał i patrzył, jak wchodzi do bramy. Nie wiedział, czy policzek go pali od niedawnych ciosów, czy od pocałunku dziewczyny, nie był pewien, czy muzyka, którą słyszy, to złudzenie umysłu podnieconego alkoholem, czy może wszystkie lwowskie anioły śpiewają magnificat.

## X

EDWARD POPIELSKI PO POWROCIE DO DOMU wciąż słyszał anielskie pienia. Pocałunkiem w policzek przywitał się ze smutną i milczącą Leokadią, smoking i muszkę zamienił na bonżurkę i fular, po czym zasiadł z papierosem za biurkiem i otworzył jeszcze raz notatki, słowniki, a nawet niemiecką książkę o kwadratach magicznych, którą dzisiaj był wypożyczył krótko przed audiencją u komendanta Grabowskiego z nie najlepiej mu się kojarzącego Zakładu Filologii Klasycznej. Alkohol całkiem już mu wyparował z głowy, podobnie jak upojenie wywołane pocałunkiem Renaty. To ostatnie zdarzenie nie tylko nie pogrążyło go w odmętach słodyczy, wręcz okazało się przemożnym impulsem do działania. Uświadomił sobie nagle, że tylko wytężoną pracą umysłową może rozszyfrować komunikaty Hebraisty, co przywróci mu policyjną, dobrze płatną posadę, a ta z kolei pozwoli mu stanąć na nogi i jeszcze przychylniej do siebie usposobić piękną kobietę, która teraz

potrzebuje wsparcia i opieki. Rzucił się tedy do studiowania niemieckiego dzieła. Lwowskie anioły opiewały teraz nie Deum magnificum [56], lecz quadratum magicum [57].

Leokadia stała w drzwiach i obserwowała kuzyna pogrążonego w pracy tak intensywnie, że nawet nie zauważył jej wejścia.

– Pukałam, ale chyba nie słyszałeś – powiedziała, kiedy w końcu ją zauważył i odwrócił ku niej nieco poirytowany wzrok. – Nie przyjdziesz do salonu? Układam właśnie pasjansa, ale on nigdy nie wychodzi w samotności.

– To paradoksalny pasjans. – Edward uśmiechnął się do niej. – Wszak to właśnie gra dla samotnych. A ten potrzebuje jakichś fluidów od drugiego człowieka?

– Tak, druga osoba jest niezbędna – potwierdziła Leokadia. – Ja znam dobrze tę grę. No, weź swoją książkę i posiedźmy razem! Wtedy mi ten pasjans wyjdzie.

– Nie mogę, Lodziu. – Jego oczy znów powędrowały w stronę książki, której spis treści właśnie uważnie studiował. – Mam bardzo pilną pracę…

– A co robisz? – Zajrzała mu przez ramię. – To kwadraty magiczne? – zapytała, widząc łaciński kwadrat „Sator Arepo”.

– Tak. – Edward włożył do książki zakładkę i spojrzał uważnie na kuzynkę. – Wiesz coś o tym?

– Wiem dużo zwłaszcza o jednym z nich. – Uśmiechnęła się blado. – Ale powiem ci tylko wtedy, kiedy przyjdziesz do mnie do salonu.

– Przykro mi – Edwarda ogarnęło silne zniecierpliwienie – ale mam pilną pracę i nie mogę ci towarzyszyć.

Leokadia usiadła bezradnie na fotelu koło biurka i lustrowała przez minutę uporządkowany gabinet kuzyna: notatki rozłożone na blacie w postaci wachlarza, fiszki ułożone w równy stosik, dwa kałamarze – jeden z niebieskim, drugi z czerwonym atramentem, książkę leżącą na podpórce, słowniki ustawione od najmniejszego do największego, potężną czterodrzwiową bibliotekę i wiszące nad nią dwa osiemnastowieczne sztychy. Jeden z nich przedstawiał śmierć Sokratesa, drugi – pochodzący z jakiegoś dzieła matematycznego – kulę wpisaną w walec. Spojrzała w nieco zirytowane piwnozielone oczy Edwarda. Wstała, a jej smukła sylwetka przybrała w jego oczach kształt znaku zapytania. Podeszła do zaścielanego dokładnie łóżka i nerwowym ruchem odrzuciła kołdrę.

– Wiedziałam, że tak będzie – powiedziała sucho. – Że gdyby podnieść twoją kołdrę, to prześcieradło byłoby tak naciągnięte, że moneta by się od niego odbiła. Wszystko dobrze zorganizowane, wszystko zapięte na ostatni guzik, wszystko napięte jak twoje prześcieradło. – Patrzył na nią ze wzrastającym zdumieniem. – Znam się na kwadratach magicznych – warknęła. – A najbardziej na jednym z nich. To kwadrat liczbowy. Widnieje on na sztychu Dürera. Dodaj liczby w każdej kolumnie, dodaj liczby w każdym wierszu i dodaj liczby po przekątnych. Wyjdzie ci zawsze 34. – Popielski szybko zapisał ten wynik na fiszce. – A teraz mam dla ciebie zagadkę – Leokadia złowrogo podniosła głos. – Wiesz, jaki jest tytuł tego obrazu? Sprawdź, a czegoś się o mnie dowiesz, ty egoisto!

Wyszła szybkim krokiem z gabinetu kuzyna. Edward odetchnął z ulgą i zaczął gorączkowo przeglądać książkę. Po kilku minutach trzasnął się dłonią w czoło, wstał gwałtownie i pobiegł do salonu. Był pusty. Na stole leżały porozrzucane karty. Pasjans nie wyszedł.

Popielski zapukał do drzwi sypialni Leokadii. Odpowiedziała mu cisza. Nacisnął klamkę, stawiła opór. Drzwi były zamknięte. Wrócił do swojego gabinetu, usiadł przy biurku. Patrzył na jedną ze stronic otwartej książki. Widniał na niej sztych Dürera z magicznym kwadratem. Tytuł obrazu brzmiał Melancholia.

[56] Wielkiego Boga.

[57] Kwadrat magiczny.

## XI

NASTĘPNEGO PORANKA O GODZINIE SZÓSTEJ RANO służąca Popielskiego Hanna Półtoranos zaczęła śpiewać godzinki. Był to jej codzienny rytuał, który Leokadia z trudem tolerowała, jej kuzyn zaś wręcz przeciwnie – aprobował bez zastrzeżeń jako jedną z ważnych cech decydujących o niezmienności otaczającego go świata. Edward słyszał je często przez sen i tą właśnie drogą nauczył się na pamięć pochwalnych inkantacyj i wyszukanych porównań odnoszących się do Matki Boskiej. Był ponadto przekonany, że melodyjna płynność śpiewu Hanny korzystnie wpływa na ciągłość jego spania.

Tego poranka to przekonanie w pełni się potwierdziło, ponieważ nagłe urwanie przez Hannę śpiewnych uwielbień natychmiast wyrwało

Popielskiego z ledwie dwugodzinnego snu. Otworzył oczy i nasłuchiwał. Z oddali, od strony drzwi wejściowych dobiegał jakiś cichy głos, którego identyfikację uniemożliwiały gniewnie pomruki i sapania Hanny. „Pewnie jakiś włóczęga” – pomyślał Popielski i odwrócił się na drugi bok. Ale dyskusje przy drzwiach trwały zbyt długo, z żebrakiem Hanna rozprawiłaby się jak zwykle – krótkim i wzgardliwym słowem. Tymczasem służąca stopniowo podnosiła głos i tłumaczyła coś ostro natrętowi. W jej wywodzie Popielski wyłowił kilkakrotnie wypowiedziane zdanie „pan śpi”. Wstał z łóżka i otworzył drzwi swego gabinetu.

– Proszę go obudzić – usłyszał.

– On śpi zawszy du południa – Hanna sapała gniewnie.

– Zapewniam, że na wieść, że to ja, natychmiast się obudzi, no widzicie, droga gosposiu, już nie śpi.

W drzwiach stała Renata Sperling i patrzyła na Popielskiego z lekkim uśmiechem. U jej stóp leżała potężna tekturowa waliza.

– Tak – odezwał się cicho. – Przyjmę tę panią. Niechże Hanna poprowadzi panią do salonu, poda kawy, a ja zaraz przyjdę. I na miłość boską – podniósł nieco głos – niech mi tu Hanna nie krzyczy, bo obudzi cały dom!

Trochę zły sam na siebie za to dość obcesowe potraktowanie długoletniej służącej, Popielski zrzucił koszulę nocną i szlafmycę, która pewnie tak rozbawiła Renatę. Wciągnął na siebie domowe spodnie i podkoszulek, na to wszystko zaś włożył długą bonżurkę, przewiązał się paskiem i ruszył do salonu. Na jego ulubionym fotelu pod zegarem siedziała Renata. Po jej rozbawieniu nie było nawet śladu.

– Co się stało? – Usiadł na drugim i nadaremnie rozglądał się za papierosem.

– Pani Zimorowiczowa wyrzuciła mnie z mieszkania – w oczach Renaty zabłysły łzy – za to, że, jak powiedziała, spotykam się z mężczyznami…

– Widziała mnie z panią wczoraj wieczorem przed domem, czy tak?

– Tak.

– I ma pani pewnie za złe, że mnie pani wtedy pocałowała, tak?

– Tak. – Renata spuściła wzrok. – Wyzwała mnie od ostatnich rozpustnic żyjących z kontaktów z bogatymi bandytami…

– Mnie wzięła za bandytę? – Popielski uśmiechnął się i odebrał od Hanny tacę z dzbankiem i z filiżankami.

– Gorzej – szepnęła Renata. – Wzięła pana za mojego opiekuna, za człowieka, który mną frymarczy, za…

– Alfonsa – dokończył Popielski.

Renata umilkła i siedziała ze spuszczonym wzrokiem. Nie miała makijażu, a i tak jej cera była gładka i jasna jak porcelana, nie miała pantofli na wysokim obcasie, które wysmuklają zwykle łydkę, a i tak kształt jej nogi był nienaganny, miała na sobie tylko skromną prostą sukienkę, a i tak Popielski czuł w lędźwiach, jakby przed nim siedziała królowa haremu w podwiązkach i w koronkowej bieliźnie.

– Pomogę pani, panno Renato – powiedział poważnie. – Umieszczę panią u mojego znajomego na Kleparowskiej. Będzie pani mogła tam mieszkać, dopóki nie znajdzie się czegoś odpowiedniejszego…

Renata zamarła w milczeniu. Jednak jej myśli nie spoczęły ani na chwilę, o czym mówiły gwałtowne ruchy palców. Przebiegały one po kolanach jakby w jakichś pianistycznych improwizacjach. Nagle się splotły, a dziewczyna znów zastygła w jakimś paraliżu.

– Dziękuję, wprawdzie przyszłam do pana po pomoc, ale nie przyjmę tej propozycji – powiedziała po długiej chwili. – To nie uchodzi. Samotna kobieta ma zamieszkać u mężczyzny? Tak się nie godzi…

– Droga panno Renato – tłumaczył łagodnie i dobitnie, jakby znów obydwoje wrócili do roli nauczyciela i uczennicy – na Kleparowie wszystko uchodzi. To po pierwsze. Po drugie, mój znajomy nie będzie nastawał na pani cześć z powodu starego jak świat: jest wielbicielem pięknych chłopców, którzy zresztą u niego często bywają. Kiedyś nawet tej swojej do nich słabości omal nie przypłacił życiem. Jakiś ulicznik wgniótł mu czaszkę świecznikiem, a potem go okradł. Kilka dni później złapałem owego bandytę wraz z łupem. Baletmistrz Szaniawski, bo to jest właśnie ów mój znajomy, ma wobec mnie ogromny dług wdzięczności, który z radością spłaca. To jest podstawowy powód, dla którego jest pani u niego całkowicie bezpieczną. Żadna kobieta nie jest dla niego obiektem erotycznych zabiegów, a tym bardziej kobieta pozostającą pod moją opieką.

Renata podrapała się nerwowo po szyi, na której pojawiły się różowe plamy.

– Bardzo panu dziękuję, panie profesorze, za wszystko, co pan dla mnie zrobił. – Spojrzała na niego z wątłym i sztucznym uśmiechem.

– Idziemy. – Podniósł się z fotela. – Niechże się pani wzmocni kawą, a ja w tym czasie się ubiorę.

Wyszedł do gabinetu nieco zaniepokojony wzrokiem Renaty. Przysiągłby na wszystko, że patrzyła w stronę widocznych spod jego bonżurki kłębiących się gęstych i ciemnych włosów na klatce piersiowej. Odrzuciwszy z trudem tę myśl jako nierealne marzenia starszego pana, zaczął się ubierać. Nie trwało to długo, ponieważ zgodnie ze starym zwyczajem wieczorem zawsze przed pójściem spać przygotowywał sobie garderobę na następny dzień. Wszystko leżało na specjalnym krześle: od skarpetek po kapelusz. Wszystko dobrane kolorystycznie: buty tego samego koloru co pasek, a krawat w barwnej harmonii z marynarką.

Ubrał się zatem bardzo szybko w nowy, jasny garnitur i po chwili stał już na rogu Ogrodu Jezuickiego z ciężką walizą u nogi i zlęknioną nieco Renatą u boku. Rozglądał się wokół za dorożką, nie zdając sobie sprawy, że na jego karku spoczywa pełen politowania i złości wzrok Leokadii, która od dawna nie spała i przez uchylone drzwi sypialni przysłuchiwała się ich rozmowie.

W końcu dorożka się pojawiła. Fiakier, usłyszawszy adres rozsławiony przez batiarską piosenkę, nie bez pewnego niepokoju spojrzał na nie ogolonego i poranionego pana i na jego piękną towarzyszkę. Zaciął konia i ruszył wzdłuż uniwersytetu w stronę ulicy Brajerowskiej, by z niej dostać się na Janowską.

Tę parę różniącą się wyraźnie wiekiem fiakier wziąłby, podobnie jak pani Zimorowiczowa, za ulicznicę i jej alfonsa, gdyby nie skromny strój kobiety i brak makijażu na jej bladej twarzy. Aby rozszyfrować stan i profesję dziwnych porannych pasażerów, dorożkarz zwolnił i bacznie się przysłuchiwał ich rozmowie.

– Musi pani jeszcze o czymś wiedzieć, panno Renato – łagodnie odezwał się mężczyzna. – Proszę się, broń Boże, nie zgorszyć tym, co teraz powiem…

Kobieta gwałtownie nabrała powietrza w płuca, a różowe plamy na jej szyi, które już były prawie znikły, teraz nabrały barwy prawie że purpurowej.

– Ciekawe, co ma mi pan do powiedzenia pięć minut przed umieszczeniem mnie u swojego przyjaciela. – Szarpnęła się gniewnie w budzie. – Może to, że będę się jakoś musiała panu odwdzięczyć, co? Może pan wróci do swych poprzednich amorów, których już pan próbował w tej podłej knajpie, co?

Popielski siedział bez ruchu i sztywno. Chciał pogłaskać Renatę po dłoni, ale bał się, by nie odebrała tego gestu jako lubieżnego. Jego towarzyszka wkrótce się uspokoiła. Spojrzała na niego smutno.

– Przepraszam pana, panie profesorze, tyle ostatnio przeżyłam, taka jestem rozbita!

Fiakier był tak zdumiony tytułem, którym jego pasażerka obdarzyła swego towarzysza, że zbyt późno skręcił w Janowską, zawadził dyszlem o latarnię i omal go nie złamał. Nigdy by nie sądził, że ten zwalisty łysy alfons o złamanym nosie jest profesorem!

– Nic nie szkodzi, rozumiem panią – odezwał się mężczyzna nikotynowym basem. – Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że pani podejrzenia wywołują u mnie jakiś ból czy niechęć… Ale ad rem. Proszę się nie zgorszyć u baletmistrza… Czym? No cóż, za chwilę pani powiem, bo już przyjechaliśmy. No to tutaj, panie przewoźniku! Zatrzymaj pan budę!

Ponieważ dorożkarz bardzo chciał się dowiedzieć, co miałoby mianowicie zgorszyć jego pasażerkę, zatrzymał się nader niechętnie. Byli na rogu Janowskiej i Kleparowskiej koło szynku, o którym cały Lwów śpiewał piosenki.

Popielski zapłacił, chwycił walizę, podał ramię Renacie i poprowadził ją do bramy, w której na drugim piętrze mieściło się mieszkanie baletmistrza Juliusza Szaniawskiego.

Na półpiętrze Popielski się zatrzymał. Chciał powiedzieć Renacie prawdę o przeznaczeniu mieszkania właśnie teraz – chciał to jej wyszeptać na ucho w ciemności i z bliska, by choć przez chwilę poczuć ciepło jej ciała, by choć przez moment na swoich ustach poczuć jej oddech. Czuł się jak satyr, który ukradkiem dotyka gładkiej kobiecej skóry albo laską podnosi dziewczynom sukienki.

– Pan Szaniawski – szeptał i chłonął jej bliskość – w mieszkaniu tym urządza sobie schadzki. Wyłącznie do tego mu ono służy. Proszę się zatem nie gorszyć, kiedy przypadkiem pani ujrzy jakiegoś nie całkiem ubranego mężczyznę!

– Dziękuję za ostrzeżenie. – Renata zacisnęła zęby. – Jakoś to muszę przecierpieć.

Popielski nie mógł już dłużej stać tak blisko Renaty, by nie wzbudzać jej podejrzeń, iż chce realizować swe sprośne plany z knajpy Gutmana. Stanął pod drzwiami i wybił na nich rytm Marsza Radetzkiego.

Baletmistrz otworzył po dłuższej chwili. Ubrany był w biały pikowany szlafrok z długim trójkątnym wycięciem, które obnażało jego tors prawie do pępka. Na szyi podzwaniały mu trzy złote medaliony.

– Sługa uniżony pana komisarza – powiedział Szaniawski, ukłonił się w pas, uśmiechnął melancholijnie i odszedł w głąb mieszkania. Z jednego z pokoi dobiegały zdrowe chrapanie i zapach perfum. Szaniawski chciał zniknąć wśród tych aromatów, ale Popielski go powstrzymał.

– To sytuacja wyjątkowa, maestro – powiedział. – Ta pani zamieszka przez kilka dni w małym pokoju od ulicy. I proszę jej oszczędzić widoku męskich torsów!

– Servus tuus, domine Eduarde [58]. – Szaniawski pochylił się prawie do ziemi, a jego medaliony zadźwięczały cicho. – Będzie tu pani u mnie bezpieczna jak u mamy! Co się stało pańskiemu szlachetnemu obliczu, panie komisarzu?

– Komuś się nie spodobało.

– O, znam dobrze ten haniebny brak gustu. – Dotknął zagłębienia w swojej głowie.

Popielski uchylił kapelusza, lecz temu gestowi daleko było do galanterii, jaką sam został przed chwilą obdarzony przez maestra. Ruszył przodem, wszedł do wspomnianego przez siebie pokoju, postawił walizkę na podłodze i uczynił zapraszający gest. Renata znalazła się w wąskim pokoiku, który za całe umeblowanie miał łóżko, stolik i parawan. Usiadła, opierając łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach.

– Zaraz pani przyniosę coś do jedzenia. – Popielski otarł pot z czoła. – Nie jadła pani przecież śniadania. Niedługo otwierają pobliski szynk.

Renata nie odpowiedziała.

– Lubi pani jajecznicę? Chyba nic lepszego nie mają. Maestro ma pewnie kawior i szampana, ale byłby to doprawdy zawstydzający brak dobrych manier, gdybym mu buszował po spiżarni…

Renata wciąż nie odpowiadała.

Popielski przeklinał w myślach swego tyrana w spodniach, który go pchał w stronę tej kobiety. Nie potrafił mu się oprzeć. Ciężko usiadł koło niej i ją objął. Dawno już nie czuł takiego napięcia. Pod wargami poczuł drobny obojczyk. Oczekiwał palącego uderzenia w policzek. Zamiast tego jej dłoń przesunęła się po jego karku. Priap wziął go całkiem w swe nieubłagane posiadanie.

Guziki odbijały się od ścian, kiedy Renata Sperling rozrywała mu koszulę. Nie okazała zgorszenia na widok nagiego męskiego torsu, lecz przywarła policzkiem i ustami do jego potężnej klatki piersiowej. Nie wstydziła się światła poranka. Nie odwracała głowy, uwalniając od stanika pełne piersi i szybko rolując na udzie podwiązki. Po kilku minutach Edward Popielski stwierdził, że niewiele rzeczy może gorszyć Renatę Sperling.

[58] Sługa twój, panie Edwardzie.

## XII

ŻADNE Z EROTYCZNYCH DOŚWIADCZEŃ, jakich był sporo zebrał Popielski w swoim czterdziestoczteroletnim życiu, nie mogło się równać z doznaniami tego poranka. Gdyby chciał wyrazić je językiem matematyki, powiedziałby w dużym i koniecznym uproszczeniu, że nagle się zmieniło jego życie – z jakiejś funkcji okresowej, z sinusoidy o niewielkiej amplitudzie na rosnącą szybko funkcję eksponencjalną. Że zamiast pozostać wśród zwykłych małych drgań, życie Edwarda zostało nagle wyniesione ruchem wykładniczym do jakiegoś maksimum, o którym dotąd nie miał pojęcia.

Jednak kiedy kochankowie zaczęli zrzucać z siebie ubrania, Popielski całkiem zapomniał o matematyce. Szybkie, urywane oddechy i smak ciała Renaty nie pozwoliły mu ani analizować gwałtownych ruchów, które mogłyby być symbolizowane przez wektory o przeciwnych grotach, ani koncentrować się na współrzędnych jej bioder i swego tułowia. A kiedy odkryli wreszcie te nieznane miejsca, tak starannie dotąd zakryte pod ubraniami, Popielski zapomniał o całym świecie, który właśnie na nowo poznawał wyłącznie dotykiem.

Do tej pory był zawsze w alkowie władczy i dominujący. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ ta alkowa nie była małżeńskim łożem, gdzie trzeba by zawierać jakieś kompromisy, lecz hotelowym pokojem lub luksusową salonką, gdzie brał w posiadanie takie kobiety, którym nie musiał się podporządkowywać, a one robiły wszystko, za co im płacił. W pierwszej chwili zdumiały go zniecierpliwienie i samodzielność partnerki, która szukając większej intensywności doznań, rzucała się na niego żarłocznie, przyciągała go lub odpychała mocno i wydawała chrapliwe komendy, układając połączone ciała we wciąż nowe konfiguracje pod zmieniającymi się kątami. To była gimnastyka Erosa, cielesne układy, do których go

zmuszała. Ona dowodziła. Ta kobieta, która jeszcze niedawno siedziała przed nim z buzią w ciup, w skromnej sukience i z kolanami ściśle przylegającymi do siebie, teraz stała się erotycznym dyktatorem. Nie oponował. Chciał się poddać tej dyktaturze.

W pewnym momencie Renata, leżąc na nim, przykryła mu twarz włosami i szepnęła na ucho dziwną prośbę, obiecując „ekstazę". Posłuchał jej. Przesunął się na brzeg łóżka tak, że jego głowa i ramiona znalazły się poza jego obrębem. Rozluźnił mięśnie szyi i głową niemal dotykał teraz podłogi. Krew napłynęła mu do mózgu, wszystko widział odwrócone, a Renata u góry naciskała coraz szybciej i mocniej. W pewnym momencie napiął mięśnie, uniósł nieco głowę i przekrwionymi oczyma kontemplował widok kobiety na tle okna. Przez jej poruszające się ciało błyskało słońce. Jego promień przeszedł pod jej pachą, po sekundzie zajaśniał na jej włosach, a po chwili błysnął na eliptycznej krzywiźnie biodra. Słońce przebijało się przez ciało Renaty w regularnych błyskach – jak lampa fotograficzna. Poczuł szum wiatru. To anioł rozkoszy i demon epilepsji poruszyli jednocześnie swymi skrzydłami. W jego ciele nastąpiła podwójna eksplozja.

Popielski jeszcze nigdy nie przeżył czegoś podobnego.

## XIII

OBUDZIŁ SIĘ POD ŁÓŻKIEM NA SZORSTKIM DYWANIKU. Przykryty był kocem. Spojrzał na zegarek. Było południe. Spał zatem około pięciu godzin. Wstał gwałtownie, zrzucając koc na ziemię. Renaty nie było w pokoju. Z łóżka zerwał skłębioną pościel i spojrzał z przerażeniem na prześcieradło. Odetchnął. Było czyste. W czasie ataku jelita i nerki nie wypchnęły swej zawartości. Nie tym razem.

Choroba zwykle wyzwalała u niego wizje. W odróżnieniu od defekacji wizja dziś wystąpiła. W popadaczkowym śnie widział siebie samego – siedział na krześle w pokoju wypełnionym tablicami z wzorami matematycznymi. Przeciąg poruszał gwałtownie kotarą wiszącą w drzwiach. Falowała coraz szybciej, aż w końcu urwała się i pofrunęła jak latający dywan z perskich baśni. Rozległ się huk. W drzwiach stała wysoka męska postać w meloniku. To był on sam. W epileptycznej wizji siedzący Popielski patrzył na Popielskiego stojącego. Po raz pierwszy w padaczkowej imaginacji doświadczył rozszczepienia swej osoby. Czytał

kiedyś o psychicznych stanach rozdwojenia jako o objawach ciężkiej choroby umysłowej.

Tymi sennymi rojeniami zaniepokoił się tylko chwilowo. Co innego teraz zajęło jego myśli. Ubrał się błyskawicznie. Nie chciał, by Renata widziała go nagiego. Stan ekscytacji i erotyczne upojenie wyzwalają tolerancję na wiele cielesnych niedoskonałości, ale po otrząśnięciu się z ekstatycznych doznań wrażliwość na usterki ciała wraca zwielokrotniona. Nie chciał ujrzeć w jej oczach rozczarowania na widok swojej niemłodej skóry: zmarszczek, rozstępów i tłuszczu nierównomiernie zalegającego tu i ówdzie. Nie chciał jej dokładać przykrych wrażeń. Wyobraził sobie, jakim wstrętem i przestrachem ją przejął, gdy w chwili największej rozkoszy szarpnął nim epileptyczny spazm, uwolniony przerywanym światłem i nie powstrzymany zawczasu tabletkami, których pod wpływem nagłych zdarzeń poranka zapomniał dziś zażyć.

Zaciskając pętlę krawatu, usłyszał w przedpokoju ciche i lekkie kroki. Zbliżyły się do drzwi. Po kilku sekundach usłyszał delikatne pukanie.

– Proszę! – powiedział i uśmiechnął się z radością.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa młodego mężczyzny. Nad uszami zwisały mu pejsy, a na głowie tkwiła jarmułka.

– Przepraszam najmocniej – odezwał się młody Żyd – usłyszałem, że pan już nie śpi…

– Gdzie jest pani, która tu ze mną była? – przerwał mu Popielski.

– Nie wiem, spałem jeszcze. – Młodzieniec spuścił oczy. – Było bardzo wcześnie… Ja tu mam klucze dla pana i jeszcze coś…

– Jest maestro?

– Juliusz… To jest… pan Szaniawski musiał wyjść na próbę… I ja też wychodzę… Dlatego… Muszę coś panu powiedzieć…

Popielski usiadł ciężko na łóżku.

Młodzieniec zaczął coś mówić, ale jego zgrzytliwy głos nie dotarł do uszu detektywa. Ten słyszał teraz wyłącznie skrzypienie łóżka, jęki i westchnienia Renaty, które nagle przechodzą w okrzyk wstrętu i przerażenia. Nie widział młodego Żyda, lecz zamknięte oczy dziewczyny, które nagle się otwierają i patrzą z odrazą, jak kochanek sztywnieje, wypluwa pianę i trzepoce pod nią wśród wyrzucanych przez siebie smrodliwych gazów. Renata ucieka, a on sam rzuca się po łóżku jak bałwan miotany spazmem choroby, którą starożytni nazywali „świętą”. Nagle się uspokoił. Usłyszał w głowie łagodny głos Renaty. „Nie jesteś mi ohydnym

– mówiła. – Przecież cię przykryłam kołdrą, byś nie zmarzł, a potem głodna wyszłam na śniadanie”.

Żyd wciąż mówił i wyciągał do niego kartkę z jakimiś nieczytelnymi notatkami. Zagłuszał głos dziewczyny.

– Nazwisko?! – wrzasnął na niego Popielski. – Kim pan jest, do jasnej cholery?!

– Icchok Jaffo – Żyd zaczął się jąkać. – Ja, ja… nic złego nie zrobiłem. Po prostu przenocowałem u pana Juliusza… Ja już muszę iść…

– Poczekaj! – Popielski się uspokoił. – Mów raz jeszcze! Co to za kartka? Rozkojarzyłem się i nic nie pamiętam, co mi tu mówiłeś.

– To dla pana. – Jaffo spojrzał na kartkę. – Telefonował tutaj jakiś pan Zaremba. Prosił zadzwonić wieczorem pod numer 32-41. To tyle.

Popielski przyjął od niego kartkę i spojrzał na nią uważnie. Pokryta była odręcznym pismem hebrajskim. Nie widział na niej żadnego numeru zapisanego cyframi arabskimi. Było oczywiste, że Jaffo zapisał numer telefonu hebrajskimi literami.

Popielski na chwilę przeniósł się myślami do lat młodzieńczych. Przypomniał mu się wykład profesora Paula Kretschmera. Ten znakomity hellenista i językoznawca wiedeński udowadniał, że liczby są czymś najgłębiej zakorzenionym w umyśle i że człowiek może zmieniać języki, opanowywać je z biegłością niepojętą, być wielojęzycznym, ale liczyć będzie wyłącznie i zawsze w swym języku ojczystym. Spojrzał na Jaffa. Tak, jego mową ojczystą jest jidysz, który przecież wykorzystuje pismo hebrajskie. A ono nie używa cyfr arabskich, lecz dla zapisania liczb korzysta z liter! Żaden człowiek mówiący na co dzień w jidysz nie napisze „32-41”, lecz użyje liter lamed (30) + bet (2) i mem (40) + alef (1)! Młodzieniec zapisał numer telefonu po hebrajsku, czyli literami tego języka! Uczynił to bezwiednie, bezrefleksyjnie, jak najszybciej tylko mógł.

– Coś mi się tu nie zgadza – mruknął Popielski, wskazując na początek notatki. – Znam pismo hebrajskie i widzę numer 32-41 jako lamed-bet-mem-alef. Ale tu jest jeszcze jakiś inny numer… Bardzo duży… Co tu jest napisane oprócz lamed-bet-mem-alef?

– To nie jest żaden numer, tylko nazwisko „Zaremba”. Gdyby to był numer, to wynosiłby… Proszę poczekać, niech policzę… Ale potem naprawdę muszę już pędzić… Śpieszę się bardzo…

Jaffo wypisał na kartce w słupku – najpierw po polsku nazwisko „Zaremba”, obok to samo w jidysz, a następnie obdarzył każdą hebrajską

literę wartością liczbową.

– Gematria nazwiska „Zaremba” wynosi 321 po dodaniu 7 + 1 + 200 + 70 + 40 + 2 + 1. To do widzenia…

– Zaraz, zaraz, poczekaj – Popielski się zamyślił. – Gematria to jest, o ile pamiętam, wartość liczbowa wyrazów, tak? Hebrajskie litery jakiegoś nazwiska mają wartość liczbową, a zatem gdyby je oznaczyć liczbami i dodać jedną do drugiej… Potrafisz mi coś szybko policzyć? Ja ci podam wyraz, a ty mi w pamięci policzysz jego gematrię! Do roboty!

– Mogę to zrobić, ale może kiedy indziej… – Jaffo nerwowo spojrzał na zegarek.

Popielski patrzył długo bez słowa na swego rozmówcę. Otarł ręką spocone czoło i zrobiło mu się nagle przykro z powodu poniżenia, jakiemu za chwilę musiał poddać chłopaka. Było to jednak nieuniknione. Kiedy wyczuł trop, świat przestawał istnieć, blakły sympatie i antypatie, znikały względy towarzyskie i konwenanse. Pozostawało śledztwo – brutalne, celowe i nieubłagane.

– Posłuchaj, szmajdełesie, cioto pejsata. – Nabrał tchu. – Posłuchaj mnie uważnie. Wyjdziesz wtedy, kiedy ci na to pozwolę, rozumiesz? Chyba że chcesz, abym poszedł do twoich i powiedział, że Icchok Jaffo jest sodomitą…

W oczach młodego człowieka pojawiły się łzy.

– No to teraz siadaj tu i rachuj, ale już! Najpierw nazwisko „Luba Bajdyk”, a potem „Lija Koch”. Ile wynosi ich gematria?

– To zależy, czy zapiszę te nazwiska w jidysz, czy w biblijnym hebrajskim. – Jaffo nieco się uspokoił i usiadł na łóżku obok Popielskiego.

– W biblijnym hebrajskim.

– No tak, ale jest jeszcze pewien problem. Na końcu imienia „Luba” czy „Lija” może być „he”, którego się nie wymawia… A „he” ma też swoją wartość… Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć… A ponadto niektóre samogłoski mogą być oddane przez „waw” lub „jod”…

– Wiem, co to jest „h” nieme. – Popielski uśmiechnął się przyjaźnie. – Postępuj inaczej niż w wypadku nazwiska „Zaremba”, czyli pisz po hebrajsku, nie w jidysz. Tu nie uwzględniaj „h” niemego ani żadnych samogłosek! Sprawca używa wyłącznie spółgłosek, to też tak zrób! – powiedział, zdając się nie widzieć zdumienia, jakie się pojawiło na twarzy Jaffa na wzmiankę o jakimś „sprawcy”. – No, licz, chłopcze, i puszczę cię do synagogi!

Żyd policzył i pokazał wynik Popielskiemu.

– I tu, i tu gematria wynosi 68 – oznajmił. – Błagam pana, czy mogę już iść?

– Niechże pan idzie! – mruknął Popielski. – Dziękuję…

Chłopak podszedł powoli do drzwi, otworzył je, a potem odwrócił się do Popielskiego.

– Pan mi groził – powiedział poważnie – a ja przykryłem pana kocem, by nie było mu zimno.

Popielski wyciągnął do niego rękę na pożegnanie i oparł się o ścianę. Nie usłyszał jego skargi, nie zauważył nawet tego, że chłopak położył klucze na podłodze i wyszedł szybko z pokoju, nie podawszy mu ręki. Nie o nim Edward teraz myślał ani o Renacie Sperling, która dokądś wybiegła prawie pięć godzin temu i dotąd nie wróciła. Przed oczami migały mu hebrajskie litery, kwadraty magiczne i matematyczne macierze. Sięgnął po pióro, wynotował z pamięci zapisy Hebraisty, rozpisał je w odpowiedni sposób, a potem zaczął wykonywać różne działania arytmetyczne. Następnie wyszedł do przedpokoju, zabrał stamtąd książkę telefoniczną, którą długo wertował. Po dwóch godzinach tej pracy ubrał się pośpiesznie i wybiegł. Po czterech godzinach wrócił do domu. Przywitawszy się zdawkowo z Leokadią i Ritą, chwycił za słuchawkę. Zatelefonował do mieszkania Szaniawskiego. Nikt nie odebrał. Wykręcił teraz numer zapisany mu przez Icchoka Jaffa.

Usłyszawszy w słuchawce głos Zaremby, pozdrowił przyjaciela.

– Szukaliśmy matematyka na całej ulicy – powiedział Wilek. – Znaleźliśmy nauczyciela matematyki i nauczyciela fizyki. Obaj mają niepodważalne alibi. Klops. Nie mamy mordercy.

– Ale mamy jego następną ofiarę – powiedział Popielski. – Potencjalną ofiarę.

## LICZBA MĘDRCA

Zrachujcie trupy – ja zliczyłem ducha.
Cyprian Kamil Norwid, Wzroki. Przypowieść

### I

KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI PAŃSTWOWEJ we Lwowie dysponowała kilkoma niewielkimi mieszkaniami położonymi w ważnych,

newralgicznych punktach miasta, najczęściej w centrum jakiejś dzielnicy lub przy głównym trakcie komunikacyjnym. Lokatorzy tych wynajmowanych mieszkań nie tylko nie wzbudzali żadnych podejrzeń właścicieli nieruchomości, lecz wręcz przeciwnie – obdarzano ich zaufaniem. Byli to najczęściej poważni panowie zatrudnieni na solidnych państwowych posadach. Ich bezżenny stan gwarantował, iż inni lokatorzy nie będą narażeni na krzyki dzieci i na kuchenne wyziewy, a staranny ciemny ubiór odsuwał podejrzenie o pijaństwo czy też o niemoralne prowadzenie. Żaden kamienicznik nie wątpił w to, że dokument o zatrudnieniu jego lokatora w namiestnikostwie lub w Polskiej Agencji Telegraficznej jest prawdziwy. Żadnemu do głowy by nie przyszło, że natychmiastowe podłączenie linii telefonicznej do świeżo wynajętego mieszkania świadczy, iż nowy lokator jest policyjnym tajniakiem. Raczej byliby skłonni uważać, że kontakt ze światem jest konieczny w wypadku odpowiedzialnego urzędnika służbisty, który w każdej chwili może być wezwany przez swojego szefa do ważnych zadań. Ci nowi lokatorzy, zaufani ludzie z różnych instytucji policyjnych, nie narzekali na maskaradę, do której byli zmuszeni, ponieważ ich incognito było hojnie opłacane – ich wynagrodzenie wynosiło, ściśle mówiąc, połowę czynszu. Za to musieli natychmiast i bez zastrzeżeń spełniać żądanie ulotnienia się na bliżej nie ograniczony czas i pozostawić swe mieszkanie do dyspozycji władz. Tak oto ich kwatera zamieniała się w tajny lokal policyjny, gdzie dokonywano głęboko zakonspirowanych działań.

Instalator pan Stefan Pokrzywka, pracujący w dziale technicznym Komendy Wojewódzkiej, otrzymawszy wczoraj po południu stosowne polecenie, opuścił swoje mieszkanie na ulicy Grunwaldzkiej 4. Uczynił to bez szemrania i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku na rozkaz naczelnika Urzędu Śledczego.

– Zanim pozostawicie nam lokal – ton Kocowskiego był kategoryczny – macie zaopatrzyć mieszkanie w szkolną tablicę i kredę. Weźcie z jakiejś szkoły! W razie trudności dyrektor szkoły niech dzwoni do mojego sekretariatu, a tam potwierdzą waszą policyjną tożsamość.

Pokrzywka zaopatrzył mieszkanie w potężną tablicę i zapas kredy, które to przedmioty wypożyczył z pobliskiego gimnazjum żeńskiego imienia Królowej Jadwigi – za pokwitowaniem i nie bez trudności przewidzianych przez Kocowskiego. Opuścił potem swój lokal, sądząc, że tablica posłuży

do zaprezentowania jakiegoś planu policyjnych działań skierowanych – jak był przekonany – przeciwko komunistom czy innym wywrotowcom.

Pan Pokrzywka głęboko się mylił, tablica nie zmieniła swego przeznaczenia. Również w jego mieszkaniu służyła celom dydaktycznym. Teraz były bowiem na niej wyrysowane różne kwadraty wypełnione już to liczbami, już to hebrajskimi literami.

Edward Popielski napisał właśnie ostatnią literę, przeprosił zebranych, wyszedł do przedpokoju, tam umył starannie ręce i otrzepał rękawy marynarki z kredowego pyłu, po czym wrócił i uważnie przyjrzał się czterem słuchaczom.

– Drodzy panowie, dziękuję za cierpliwość. Wszystko, co chciałem, już zapisałem na tablicy, i nic teraz nie rozproszy naszej uwagi.

Wyprostował się i przeciągnął. Kocowski, Zaremba, Kacnelson i Grabski wpatrywali się w niego w natężeniu – jak uważni i krytyczni studenci. Nie bał się jednak ich ewentualnej krytyki. Był pewien, że nie stanie się już jego udziałem blamaż nieudanego wykładowcy, co wiele lat temu w Wiedniu było spowodowane epilepsją, a całkiem niedawno na Uniwersytecie Jana Kazimierza złośliwością profesora Kłapkowskiego. Teraz już nikt nie obali jego rozumowania. I to wcale nie dlatego, że jego słuchacze nie znają hebrajskiego ani matematyki. Jego wywód zrozumie każdy, kto myśli logicznie. Wynikanie wniosków będzie bowiem bezbłędne, zimne i piękne. Jak kryształ. Jak matematyka.

– Tematem naszego wykładu – omiótł wzrokiem słuchaczy – jest oczywiście rozszyfrowanie hebrajskich zapisów, które ktoś, najprawdopodobniej morderca, wysłał do pana naczelnika Kocowskiego. Są to dwa komunikaty, a każdy z nich liczy po trzydzieści sześć liter. Pierwsze, co wpadło mi w oczy, to pewna zadziwiająca symetria obu zapisów. Proszę spojrzeć. – Wskaźnik powędrował na dwa pierwsze kwadraty. – Bez rozrywania i przenoszenia wyrazów i jeden, i drugi komunikat można zapisać w postaci kwadratu. Każdy kwadrat ma bok utworzony z sześciu hebrajskich liter i jak tabela składa się z wierszy i kolumn. Każdy wiersz po przetłumaczeniu ma sens.

A teraz na chwilę przejdźmy od hebrajszczyzny do prostej matematyki. Istnieje w niej coś, co nazywamy macierzami. Są to prostokąty składające się z liczb. Spójrzmy – wskaźnik powędrował w stronę następnych kwadratów wypełnionych liczbami – oto prosta macierz, składająca się z trzech wierszy i z trzech kolumn.

Gdybyśmy chcieli precyzyjne określić pozycje poszczególnych liczb w tej macierzy, to jak to zrobić? Otóż najprościej powiedzieć: liczba 35 leży w pierwszym wierszu i w drugiej kolumnie, liczba 78 w drugim wierszu i w pierwszej kolumnie, a liczba 2 w trzecim wierszu i w trzeciej kolumnie. Podając zatem wiersz i kolumnę w tej właśnie kolejności – najpierw wiersz, potem kolumna – możemy ustalić pozycję każdej liczby w macierzy, czyli podać jej współrzędne. Jeszcze szybciej to zrobimy, kiedy opiszemy liczbami wiersze i kolumny macierzy.

Wtedy mówimy krótko, podając najpierw liczbę wiersza, a potem kolumny: liczba 35 ma współrzędne (1, 2), liczba 78 – (2, 1), liczba 13 – (3, 2), liczba 27 – (1, 3), i tak dalej.

Rzucił okiem na zebranych. Bzyczenie połyskliwej muchy obijającej się wewnątrz klosza wiszącej lampy odbijało się po pustym pokoju zwielokrotnionym echem. W popielnicy dopalały się dwa porzucone papierosy, co dobrze świadczyło o koncentracji słuchaczów, którzy skupiwszy się na słowach wykładowcy, zapomnieli nawet o nałogu.

– A teraz postawmy sobie fundamentalne pytanie. – Popielski z przyjemnością słuchał swego kaznodziejskiego zaśpiewu. – Po co ja mówię panom o macierzach? Co litery hebrajskie mają wspólnego z liczbami? Odpowiedź jest bardzo prosta: każda litera hebrajska jest znakiem jakiejś liczby. Na przykład za literę alef możemy podstawić liczbę 1, za lamed – 30, zamiast resz – 200 i tym podobne. Spójrzmy na tabelę, która nam pokaże, jaką wartość ma każda hebrajska litera: Podstawmy zatem – ciągnął, stukając wskaźnikiem w omawiane litery – w zapisach mordercy zamienionych w macierz liczby zamiast liter: 1 zamiast alef, 2 zamiast bet i tak do końca. Otrzymamy wówczas w wypadku Luby Bajdyk i

w wypadku Lii Koch.

– Kiedy to dzisiaj pod wpływem pewnego impulsu – pomyślał o żydowskim kochanku Juliusza Szaniawskiego – rozpisałem i przyjrzałem się wynikowi, natychmiast zauważyłem, że niektóre liczby w tych macierzach mają specjalny status. Liczby o specjalnym statusie wyeksponowałem w powyższych zapisach kolorem. Na czym polega ich specjalna pozycja? Otóż na tym, że każda z tych zaznaczonych liczb równa się iloczynowi swych współrzędnych – spojrzał na skupionych policjantów, słusznie się spodziewając, że nie pamiętają ze szkoły znaczenia tego terminu. – Iloczyn, jak panowie świetnie wiedzą, to wynik mnożenia. Zajmijmy się najpierw macierzą Luby Bajdyk. Idźmy po kolei,

przedstawiając wszystkie zaznaczone liczby w macierzy Bajdyk w postaci iloczynów współrzędnych: · 2 ma współrzędne (1, 2), a 1 × 2 = 2,
· 4 ma współrzędne (1, 4), a 1 × 4 = 4,
· 2 ma współrzędne (2, 1), a 2 × 1 = 2,
· 6 ma współrzędne (2, 3), a 2 × 3 = 6,
· 10 ma współrzędne (2, 5), a 2 × 5 = 10,
· 6 ma współrzędne (3, 2), a 3 × 2 = 6,
· 8 ma współrzędne (4, 2), a 4 × 2 = 8,
· 10 ma współrzędne (5, 2), a 5 × 2 = 10,
· 20 ma współrzędne (5, 4), a 5 × 4 = 20,
· 30 ma współrzędne (5, 6), a 5 × 6 = 30,
· 30 ma współrzędne (6, 5), a 6 × 5 = 30.

Jeszcze raz podkreślam – współrzędne wszystkich zaznaczonych liczb pomnożone przez siebie dadzą nam tę zaznaczoną liczbę! To samo widzimy w wypadku macierzy Lii Koch. Proszę zobaczyć: · 1 ma współrzędne (1, 1), a 1 × 1 = 1,
· 2 ma współrzędne (1, 2), a 1 × 2 = 2,
· 4 ma współrzędne (2, 2), a 2 × 2 = 4,
· 8 ma współrzędne (2, 4), a 2 × 4 = 8,
· 10 ma współrzędne (2, 5), a 2 × 5 = 10,
· 3 ma współrzędne (3, 1), a 3 × 1 = 3,
· 6 ma współrzędne (3, 2), a 3 × 2 = 6,
· 8 ma współrzędne (4, 2), a 4 × 2 = 8,
· 5 ma współrzędne (5, 1), a 5 × 1 = 5,
· 10 ma współrzędne (5, 2), a 5 × 2 = 10,
· 20 ma współrzędne (5, 4), a 5 × 4 = 20,
· 30 ma współrzędne (5, 6), a 5 × 6 = 30,
· 30 ma współrzędne (6, 5), a 6 × 5 = 30.

Założyłem, że morderca matematyk (a że jest matematykiem, wiemy od Mikołaja Bajdyka, syna zamordowanej wróżki) coś zaszyfrował w tych specjalnych liczbach. Wypisałem je i otrzymałem w wypadku Luby Bajdyk jedenaście liczb: 2, 2, 4, 6, 6, 8, 10, 10, 20, 30, 30, z których cztery (2, 6, 10, 30) się powtarzają, w wypadku zaś Lii Koch liczb jest trzynaście: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 8, 8, 10, 10, 20, 30, 30, a trzy spośród nich (8, 10, 30) się powtarzają. To jakieś zakodowane przesłanie. Dodawałem te liczby, odejmowałem, a nawet całkowałem. I co? I nic. Pomyślałem sobie, że trzeba by je oddać do analizy jakiemuś szyfrantowi. Ale najpierw

dokonałem działania odwrotnego i wszystkie te liczby w macierzach znów pozamieniałem na hebrajskie litery i wtedy spojrzałem, które z tych liter mają specjalny status. W wypadku Luby Bajdyk otrzymałem: W wypadku zaś Lii Koch

Czy te litery coś oznaczają? Jak należałoby je poukładać, aby nadać im jakiś sens? – Otarł pot z czoła, widząc, że słuchacze zaczynają się trochę niecierpliwić. – Proszę sobie wyobrazić, moi panowie, ciąg liter „aserjmyzpa”. Ileż to musiałby się nagłowić znawca polszczyzny, by powstało z nich sensowne zdanie „Jerzy ma psa”. A ja znam hebrajski w stopniu nie najgorszym, jednak o wiele gorzej niż grekę, nie mówiąc już o łacinie, niemieckim czy o mojej ojczystej polszczyźnie! Jedyne, co potrafię, to zrozumieć właściwie tekst biblijny ze słownikiem i gramatyką! Nie byłbym zatem w stanie poradzić sobie z sensownym ułożeniem wyeksponowanych liter. To prawdziwy rebus dla znawcy hebrajszczyzny! Skąd takiego wziąć? Od razu mi przyszło do głowy jedno jedyne nazwisko… Nazwisko człowieka, z którym rozegrałem niejedną partię szachów w klubie „Foyer” i z którym podczas gry nie raz i nie dwa rozprawiałem na tematy językowe. Wybitny szachista i szaradzista… Wiedzą panowie, o kim mówię?

– Wiemy – mruknął Herman Kacnelson. – Stary mądry Żyd…

– Tak, moi panowie – Popielski jak w transie powtarzał tę apostrofę – rabin Pinchas Schatzker jest nie tylko znawcą hebrajszczyzny, on jest także mistrzem łamigłówek. Nie pomyliłem się… Mój dawny przeciwnik szachowy w ciągu godziny ułożył z jedenastu zaznaczonych liter [ááĺĺéééěěăçë] z macierzy Luby Bajdyk takie oto słowa: Uczony hebraista odszyfrował imię i nazwisko ofiary oraz narzędzie zbrodni, którym ją zabito.

– A „choroba”? – zapytał Zaremba.

– O tym za chwilę – Popielski nabrał tchu. – Niewiele więcej czasu zabrało Schatzkerowi odkodowanie nazwiska ofiary oraz narzędzia zbrodni poprzez odpowiednie ułożenie trzynastu liter [ŕéééěěççáăââĺäë] z macierzy Lii Koch. Oto co wyszło rabinowi: Znów mamy imię i nazwisko oraz narzędzie zbrodni. Jak panowie pamiętają, Lija Koch została uduszona sznurem przytwierdzonym do przegubów jej dłoni. Sznur ten był tak misternie zawiązany, że im dłużej się z nim szarpała, tym mocniej zaciskała się pętla na jej szyi. Narzędzie zbrodni to zatem nic innego jak „sznur” i „ręka”. W obu wypadkach mamy zatem nazwiska i narzędzia zbrodni. Pozostaje

wyjaśnienie słów „choroba” z macierzy Bajdyk i „arogancja” z macierzy Koch.

Zniecierpliwienie słuchaczy minęło momentalnie. Wbijali w Popielskiego wzrok tak mocno, że gdyby posiadali zdolności telekinetyczne wtłoczyliby go pewnie w wiszący za nim obraz, na którym Józef i Maryja przewozili małego Jezuska łodzią przez jezioro, a łabędzie z nastroszonymi piórami wpatrywały się łagodnie w Dzieciątko.

– Te wyrazy, moim zdaniem, wyjaśniają powód zamordowania jednej i drugiej ofiary. Wróżka zginęła, bo była chora wenerycznie, prostytutka – bo była arogancka i zarozumiała. Tak, drodzy panowie, nasz morderca jest nie tylko hebraistą i matematykiem, on jest moralistą, naprawia świat, eliminując jednostki z jakimś moralnym defektem, jednostki chore i zadufane w sobie…

– Jedna z nich była syfilityczką – Kocowski zgniótł w popielnicy papierosa, który już się prawie zamienił w kupkę popiołu – druga pustą, próżną prostytutką. Gdybyśmy znali właściwość kolejnej ofiary! – Spojrzał w sufit w geście desperacji. – Czy jest ona rozpustna, może niesprawiedliwa, a może fałszywa… Jaką ma wadę, panowie? Niestety, mimo błyskotliwej analizy pana Popielskiego nie wiemy tego i nie będziemy wiedzieć, aż pojawi się następny trup i następny list. Wtedy znajdziemy punkty szczególne następnej macierzy, będące iloczynami współrzędnych… A trup będzie gdzieś gnił…

– Zwłaszcza że obaj nauczyciele matematyki znalezieni przez nas na Zadwórzańskiej – Grabski poszedł w ślady zwierzchnika i też spojrzał w sufit – to fałszywe tropy. Mają niepodważalne alibi…

– Jak ich szukaliście? – zapytał Popielski.

– Przepytaliśmy wszystkich dorosłych mężczyzn mieszkających na tej ulicy – odparł Zaremba. – Oddzieliliśmy najpierw ludzi wykształconych od niewykształconych. Następnie tych pierwszych odwiedzaliśmy i rozglądaliśmy się po mieszkaniu w poszukiwaniu matematycznych książek lub zapisków. Znaleźliśmy dwóch panów. Obaj są nauczycielami w szkołach powszechnych. Obaj mają alibi, które sprawdziliśmy. Nie sposób ich podważyć…

– Gdybyśmy znali kolejną macierz – Kocowski głośno myślał, nie zwróciwszy uwagi na wywody swego podwładnego – moglibyśmy ochronić osobę wskazaną hebrajskimi literami…

– Nie – przerwał mu Popielski. – Pierwej wystawilibyśmy ją na wabia…

– Coś pan oszalał! – Kocowski wstał zza stołu i uderzył w blat obiema pięściami. – Żartujesz pan sobie? Co to za metody! Na jakiego wabia! My jesteśmy policja, nie rzezimieszki, którzy ryzykują życie porządnych obywateli! Przypominam panu: jest pan tylko ekspertem – przyznaję, dobrym ekspertem – ale od roboty policyjnej to trzymaj się pan z dala!

– Panie naczelniku – syknął Popielski – jeszcze nie skończyłem wykładu. Ja wiem, jak znaleźć następną ofiarę.

## II

– CZY JUŻ PAN SKOŃCZYŁ, DROGI PANIE? – zapytał Kocowski.

To pytanie było zgoła niepotrzebne, ponieważ wszystko wskazywało na to, iż dziesięciominutowa prelekcja dobiegła końca – mówca ciężko sapnął, porzucił pod tablicą wskaźnik, zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i usiadł przy stole.

– Tak, skończyłem.

Popielski skłamał. Nie powiedział wszystkiego. Czekał cierpliwie na chwilę, kiedy będzie mógł wyciągnąć najważniejszy argument, który podsunął mu dzisiaj rabin Schatzker. Oczekiwał w spokoju momentu, aż zapieniony naczelnik wyrzuci z siebie całą wściekłość zwiastowaną słodkim „drogi panie”, aż expressis verbis uzna jego ustalenia za brednie wariata, aż omiecie podwładnych triumfalnym wzrokiem, spodziewając się ich usłużnej akceptacji. Wtedy on, Popielski, wykona ostatnie cięcie, zada ostatni sztych, roześmieje się drwiąco na widok pomieszania szefa, a potem w podskokach, jak młody triumfator, pobiegnie do mieszkania Szaniawskiego, gdzie będzie na niego czekać jego młoda kochanka o alabastrowej skórze i sterczących sutkach. A potem triumf nad Kocowskim odegra w miłosnej pantomimie, napawając się twardością swych mięśni i miękkością kobiecego ciała. A potem zaśnie mocnym snem zwycięzcy na gładkim białym brzuchu ukochanej.

– Drogi panie, domyślam się, że ten jeszcze nie omówiony przez pana zapis – Kocowski wskazał na tablicę – pokazuje nam, że otrzymamy liczbę 68, gdyby podliczyć wszystkie żydowskie spółgłoski w nazwiskach ofiar.

I twierdzi pan ponadto, że morderca wybiera sobie ofiary, kierując się tą liczbą w ich nazwisku oraz jakąś szpetotą ich charakteru, czyli brudem,

chorobą, wadą i tym podobnym. O ile mógłbym się zgodzić z pańską ekspertyzą, pardon, raczej z ekspertyzą rabina Schatzkera…

– Za pozwoleniem, panie naczelniku – wtrącił się Kacnelson – macierze i współrzędne ważnych liter odkrył komisarz Popielski, nie rabin…

– Och tak, rzeczywiście, zwracam honor. – Naczelnik pochylił się przed Popielskim, wykonując coś w rodzaju błazeńskiego ukłonu, po czym spojrzał gniewnie na młodego aspiranta. – A panu przypominam, że pan ekspert został już pozbawiony policyjnej rangi!

Zapadła cisza. Mucha wyleciała przez otwarte okno. Łagodne spojrzenie łabędzi otaczających Jezuska na oleodruku wydało się Popielskiemu szydercze. Grabski założył ręce na wydatnym brzuchu i kręcił młynka kciukami, Zaremba przymknął oczy, Kacnelson chciwie zaciągał się papierosem i krążył wokół tablicy, uważnie się przyglądając magicznym kwadratom, a Kocowski pisał coś w kajecie.

– Proszę zobaczyć, drogi panie ekspercie. – Naczelnik podsunął jakiś zapis pod oczy Popielskiego. – Widzi pan? Wypisałem tu nasze nazwiska i okazuje się, że dwa z nich składają się z siedmiu liter – Z-A-R-E-M-B-A i G-R-A-B-S-K-I – a dwa z dziewięciu – K-A-C-N-E-L-S-O-N i P-O-P-I-E-L-S-K-I. Wyobraźmy sobie, że na przykład dwaj ostatni panowie zostają zamordowani, a wszystko wskazuje na to, iż zabił ich ten sam morderca! I wtedy jakiś mędrzec, jakiś błyskotliwy ekspert, wyciąga następujący wniosek: zbrodniarz morduje ludzi o dziewięcioliterowych nazwiskach. Świetna informacja! – Klasnął w dłonie. – Szukajmy wszystkich lwowiaków o dziewięcioliterowych nazwiskach! Rzucajcie, drodzy policjanci, wszystkie sprawy, siedźcie bykiem w meldunku i wypisujcie te nazwiska, a kiedy już wypiszecie ich tysiące, proście kolegów z innych województw, by wam pomogli, i wspólnie ochraniajcie te tysiące dziewięcioliterowców albo – jak chce nasz ekspert – wystawcie ich jako przynętę! Tego pan właśnie żąda, co, panie mądry? Żeby policja była niemoralna i narażała życie niewinnych ludzi? O nie!

– To wcale nie taka syzyfowa praca – Popielski nie mógł opanować protekcjonalnego tonu. – Po pierwsze, takich ludzi jest niewielu. Gematria większości połączonych imion i nazwisk, co sprawdziłem dzisiaj w książce telefonicznej, przekracza liczbę 100, a co dopiero 68! Proszę zwrócić uwagę, jak krótkie są nazwiska obu zamordowanych kobiet i jak podobne zawierają litery! Po drugie zaś, zgodziłbym się z panem naczelnikiem, gdyby na przykład w dwóch dziewięcioliterowych nazwiskach „Kacnelson”

i „Popielski” było coś zakodowane, jakaś istotna informacja odnosząca się czy to do pana aspiranta, czy to do mnie…

– A co, nie ma tam przypadkiem czegoś? – Kocowski triumfował. – Podkreślam „przypadkiem”. W pańskim nazwisku jest ukryte słowo „pop”, a w nazwisku pańskiego byłego kolegi – słowo „kac”. A potem się okaże, że któryś z pańskich przodków był popem, a pan Kacnelson często miewa kaca! I teraz już gotowe jest obwieszczenie: morderca zabija ludzi o dziewięciu literach w nazwisku, którzy są grekokatolikami lub alkoholikami! Panie, panie – Kocowski uśmiechał się drwiąco – pańskie ekspertyzy nadają się do pieca na podpałkę!

Wszyscy oprócz Popielskiego spuścili wzrok.

– Macierze też na podpałkę? – zapytał nagle Kacnelson.

– No, macierze może nie – mruknął nieco pomieszany naczelnik. – Ale ta gematria to zbyt wydumane! Daj pan sobie powiedzieć, że ni diabła nie wiemy, jak szukać następnej ofiary Hebraisty!

– A co by pan naczelnik powiedział – odezwał się Popielski – gdyby w nazwiskach „Kacnelson” i „Popielski” była zakodowana jakaś prawdziwa informacja o ich posiadaczach? Coś, co by było oczywistą prawdą?

– Co na przykład? – parsknął śmiechem Kocowski. – Że pan jest łysy, a pan Kacnelson jest Polakiem wyznania mojżeszowego?

– Wypraszam sobie! – wybuchnął Kacnelson. – Jestem wyznania ewangelicko-reformowanego!

– Właśnie tak, drogi panie naczelniku – ciągnął spokojnie Popielski. – Gdyby się okazało, że samogłoski w moim nazwisku w języku keczua utworzą wyraz „łysy”, a w nazwisku mojego młodszego kolegi – „protestant”. Co wtedy? Też by się pan tak wesoło śmiał czy może doszedłby pan do wniosku, że coś jest na rzeczy? No, bardzo proszę mi odpowiedzieć! – ostatnie zdanie wypowiedział już podniesionym głosem.

Kocowski zagryzł zęby i zamyślił się głęboko. Teraz w oczy patrzyli mu wszyscy jego podwładni.

– Musiałbym przyznać, że to by było zadziwiające – zaczął wolno – ale wcale nie jestem pewien, czy podjąłbym tak szeroko zakrojone środki, by wyjaśnić ten przypadek… A ponadto – ożywił się – chyba jest różnica, mój panie, pomiędzy przypadkową być może gematrią 68 w nazwiskach ofiar a zdumiewającą zbieżnością w pańskim patagońskim przykładzie!

Zapadła cisza. Popielski obrócił kilkakrotnie sygnet na palcu. Ten gest Zaremba wziął za magiczny, nie wiedział, że sygnet jest w myślach

przyjaciela kastetem, którym zostanie teraz zadany Kocowskiemu nokautujący cios.

– Ta gematria 68 nie jest przypadkowa. – Podszedł do tablicy i wziął kredę w palce. – Otóż, moi panowie, pierwszą ofiarę można nazwać, parafrazując język biblijny, prorokinią, drugą zaś nierządnicą. – Napisał na tablicy po polsku oba te wyrazy. – Takie były ich profesje. Wróżka i prostytutka. Po hebrajsku odpowiednio nebi'ah i zonah. – Dopisał przy polskich wyrazach ich odpowiedniki đáéŕä i ćĺđä.– Gdy policzymy wartości tych hebrajskich liter, wie pan, naczelniku, ile nam wyjdzie?

– 68? – zapytał cicho Kocowski.

– Tak jest, i jeden, i drugi wyraz ma gematrię 68. – Popielski otrzepał palce z kredy. – Morderca zabił zatem dwie kobiety o nazwiskach, których spółgłoski dają gematrię 68, i zawodach, których spółgłoski dają gematrię 68. Dlaczego? Nie wiem. Ale wiem jedno: muszę iść do biura ewidencji ludności i przejrzeć nazwiska wszystkich obywateli naszego miasta. Na pierwszy rzut oka oddzielę ogromną większość, czyli te, które mają gematrię większą niż 100. A potem policzę wartość wszystkich spółgłosek w tych nazwiskach, które mi pozostaną. Kiedy mi wyjdzie „68", sprawdzę, jaki zawód wykonuje dana osoba, i wtedy zatelefonuję do rabina Schatzkera. Dowiem się od niego, jak ten zawód przetłumaczyć na hebrajski. Kiedy podliczę litery w hebrajskim oznaczeniu profesji i znów wyjdzie mi gematria 68 – uderzył gwałtownie pięścią w tablicę – mam przyszłą ofiarę! Ma pan jeszcze jakieś uwagi, naczelniku?

– Nie uwagę, lecz polecenie – butny ton Kocowskiego kontrastował z jego niepewnym spojrzeniem. – Niech pan jutro idzie do mojego sekretariatu. Z samego rana! Panna Zosia wystawi panu pełnomocnictwo do urzędu meldunkowego! Do roboty!

Popielski, nie patrząc w oczy byłemu przełożonemu, zaczął strzepywać z mankietów resztki kredowego pyłu.

– A czy pan naczelnik zdaje sobie sprawę, że jeden z naszej piątki nie pasuje do reszty? Że jeden z nas nosi nazwisko składające się z parzystej liczby liter, podczas gdy wszyscy inni są „nieparzyści"? Kto to jest? Zostawiam pana z tą zagadką, panie bystry.

## III

PAN WACŁAW KRÓL, nocny portier pracujący w wydziale Va Zarządu Miejskiego w królewskim i stołecznym mieście Lwowie na ulicy

Rutowskiego, rozkładał właśnie w służbówce swój codzienny ekwipunek, kiedy ostro zabrzęczał dzwonek u drzwi wejściowych. Król spojrzał na zegarek, zarejestrował godzinę dziewiątą wieczór i uznał, że o tej porze nie ma prawa tu być żadnego interesanta. Może się przesłyszał? Wepchnął wskazujące paluchy do małżowin usznych i świdrował nimi przez chwilę. Należało być czujnym i udrożnić kanały słuchowe, w razie gdyby rzekomy dźwięk dzwonka okazał się jednak prawdziwy. Nigdy nic nie wiadomo – może to jakiś pijak dzwoni dla hecy, a może kierownik administracyjny budynku chce wypróbować czujność swego personelu? Nasłuchiwał. Cisza. Odetchnął. Najprawdopodobniej było to jednak przesłyszenie. Kiedy już przystępował do ulubionej swej czynności na dobry początek dyżuru – czyli do obierania jabłka małym nożykiem z bakelitową rękojeścią – dzwonek zadzwonił po raz drugi. Portier Wacław Król nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że dźwięk dochodzi spod wejścia głównego.

Poprawił mundur, pas wciągnął na brzuch, nasunął czapkę głębiej na czoło i pobrzękując kluczami, pokuśtykał w stronę drzwi wejściowych. Otworzył małe zakratowane okienko i na tle katedry łacińskiej ujrzał potężnie zbudowanego osobnika z sińcami na twarzy, który bez słowa powitania podał mu przez kraty jakiś dokument.

Król dwukrotnie przeczytał papier. Było to pełnomocnictwo podpisane przez naczelnika Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji. Okaziciel tego pisma mógł korzystać z archiwum urzędu meldunkowego o dowolnej porze, a ponadto żądać współpracy od wszystkich osób zatrudnionych w tejże instytucji. Był to glejt, jakiego Wacław Król nigdy nie widział w czasie siedmiu lat pracy w tym miejscu. Najważniejszą jednak przepustką była twarz przybysza, którą portier przypomniał sobie nagle w błysku olśnienia.

– Dobry wieczór, pani Popielski. – Otworzył drzwi na oścież. – Przepraszam, że pu nazwisku, ali nie znam rangi…

– Dobry wieczór – odparł przybyły i uśmiechnął się krzywo. – A, to pan Król! To tutaj pan teraz pracuje? Ileż to lat już minęło?

– A bendzi siedym. – Król zamykał drzwi za Popielskim. – Pan świeżu był w Śledczym, kiedy ja kulfona [59] złamałym. – Wskazał palcem na sztywną nogę. – Leżałem na Pijarów, aż si zrosłu… Krzywu bo krzywu, ale zawszy… I potem ja tu posady dostał. Dobra! Państwowa! No ali w czym mogi pomóc panu, panie… Nie znam rangi…

– Panie Król, mam lat czterdzieści cztery – uśmiechnął się Popielski – i jestem wciąż w randze szeregowca… Niech pan do mnie mówi „szeregowy Popielski”!

– Jak to? – Oczy portiera zaokrągliły się ze zdumienia.

– Potrzebuję listy osób, które korzystały z ksiąg adresowych w ostatnich dziesięciu latach. – Edward sięgnął do kieszeni po papierosy. – Czy pan mi w tym pomoże, czy powinienem zadzwonić do jakiegoś z pracujących tu archiwistów…

– Może pan sam w archiwum. – Król wciąż nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, jakie na nim wywarła ta niespodziewana wieczorna wizyta i dziwne słowa Popielskiego. – Proszę dać mi upoważnienie, ja ji odpiszy dla szefa. U nas jest wszystku na tipes-topes, panie…

– Szeregowy. – Popielski zapalił papierosa.

Król spojrzał z niedowierzaniem na rozmówcę i poprowadził go do archiwum. Po chwili Popielski przeglądał katalog. Znalazł w nim najpierw listę wypożyczeń, która według adnotacji na karcie katalogowej miała się znajdować w gabinecie archiwistów, w oszklonej szafie numer VII. Udał się tam zatem i rzeczywiście znalazł teczkę w miejscu wskazanym przez katalog. Wykaligrafowany na niej napis głosił: „Regestr wypożyczeń akt adresowych”.

Popielski wyjął notatnik i pióro Waterman, zdjął marynarkę i zasiadł za biurkiem, które należało, jak go poinformował Król, do pana Łopuszniaka. Wykorzystał nie tylko jego miejsce pracy, ale nawet strój roboczy, który wisiał obok na wieszaku. Na plecy włożył nieco przyciasny fartuch, na przedramiona wciągnął zarękawki, a na głowę z niejakim trudem wcisnął daszek. Zabezpieczony w ten sposób przed kurzem i ostrym światłem lampy, przekręcił włącznik i biurko zostało zalane przez światło spod klosza w kształcie tulipana. Zaczął skrupulatnie przeglądać regestr wypożyczeń akt adresowych. Ta praca tak mocno go pochłonęła, że zapomniał prawie o tym, co go spotkało w mieszkaniu Szaniawskiego, dokąd się udał w radosnych podskokach po tajnej naradzie na Zadwórzańskiej.

Od razu zorientował się, że regestr nie obejmuje pracowników urzędu. Ci, jak przeczytał w regulaminie archiwum, wypełniali jedynie rewersy, które raz na miesiąc wynoszono na makulaturę. A zatem w wykazie wypożyczeń zapisane były wyłącznie osoby z zewnątrz. Było ich dwieście pięćdziesiąt. Wypisanie nazwisk zajęło Popielskiemu dwie pełne godziny.

Pierwszym krokiem selekcji tych osób, jak uznał, powinno być ewentualne zameldowanie na ulicy Zadwórzańskiej. Udał się więc do głównego pomieszczenia archiwum i szukał adresu każdego z dwustu pięćdziesięciu wypożyczających. Około drugiej w nocy usiadł ciężko na fotelu i wbrew zakazowi obowiązującemu w archiwum zapalił papierosa. Patrzył ponuro na wykaligrafowaną przez siebie listę. Tylko przy jednym nazwisku, Antoni Biłyk, był skrót „Z 62 m. 7”. A obok zapis „† 1927”, co oznaczało, iż osoba ta nie żyje od 1927 roku.

Już nie ma Antoniego Biłyka, mieszkańca Zadwórzańskiej 62, który przeglądał niegdyś akta adresowe. Już nie ma.

***

– Już nie ma u mnie panny Sperling – mówi baletmistrz Szaniawski. – O piątej przyjechała dorożką i zabrała wszystkie swoje rzeczy.

– Czy kazała coś przekazać?

– Nic nie powiedziała.

***

Zdusił papierosa. Tak, jest tylko szeregowcem. Ma rację Owidiusz – kochanek i szeregowiec są do siebie podobni. Pierwszy usycha z tęsknoty na warcie przed drzwiami swej kochanki, drugi pełni wartę przy obozie. I jeden, i drugi pójdzie na koniec świata, by zdobyć to, czego pragnie. „A ja widzę jeszcze jedno podobieństwo – myślał – pomiędzy wojakiem a kochankiem. Żołnierz, widząc śmierć towarzyszy broni, traci wiarę w ojczyznę; zakochany, doświadczając śmierci uczucia, przestaje wierzyć w miłość. Ale ja przecież po śmierci Stefanii w niewiele już rzeczy wierzę i w miłości też nie jestem rekrutem – żaden zawód mnie już nie wypali, nie będę płakał ni hamletyzował, wypiję dzisiaj dużą wódkę i wezmę dziwkę w podróż salonką do Krakowa. A nazajutrz rano przetrę zaropiałe oczy, rozerwę sklejone wargi i przyłożę lód na dudniące skronie. I błazeńsko się uśmiechnę sam do siebie przy goleniu. Jestem doświadczonym żołnierzem. Nic mnie już nie wypali”.

Wbrew swoim zapewnieniom podniósł słuchawkę i wykręcił po raz kolejny numer mieszkania Szaniawskiego.

– Dobry wieczór – powiedział, gdy usłyszał zaspane „halooo”.

– Nie wróciła – zahuczał w oddali głos maestra.

Popielski odłożył słuchawkę.

Przez następne pięć godzin siedział nad księgą meldunkową z roku 1880. Konfrontując nieustannie nazwiska z tabelą gematrii, omijał natychmiast nazwiska zawierające „n”, „s”, „p”, „r”, „sz” i „t”, wypisywał zaś te, na które składały się pozostałe litery i zbitki literowe. Potem liczył ich gematrię. W szóstej godzinie pracy miał dość. Po dwóch kolejnych zorientował się, że przejrzał zaledwie połowę nazwisk z jednego tylko roku. Gdyby chciał dojść do bieżącego roku, musiałby – szybko policzył – przesiedzieć tu sto dni.

Kiedy pierwsi urzędnicy stawili się do pracy, ujrzeli w pokoju nieznanego mężczyznę. Nie zdziwiło ich to wcale, relacji o nim wysłuchali przy wejściu od portiera. Spuchnięte powieki detektywa były zamknięte, a posiniaczona twarz wciśnięta w kartki księgi meldunkowej z 1880 roku. Spokojny, głęboki oddech poruszał lekko jej kartkami. Ozdobiona sygnetem dłoń opierała się na zdjętej z widełek słuchawce telefonu, z którego dochodził cichy, jednostajny pomruk. W palcach drugiej dłoni tkwiło eleganckie pióro. Jego stalówka dotykała otwartego notesu.

Młodszy archiwista Józef Łopuszniak podszedł do swojego biurka, które teraz było zajęte przez śpiącego. Spojrzał do notesu: wśród hebrajskich liter i słupków rachunkowych widniała notatka. „Chaja Lejbach, gematria 68, jest w księdze z 1880 r., później już nie. Co się z nią stało? Czy żyje?”.

Łopuszniak, poinformowany przez Króla o konieczności udzielania detektywowi wszelkiej pomocy, postanowił uczynić to bez budzenia samego zainteresowanego. Poza tym i tak – z racji zaanektowania przez przybysza biurka – był tymczasowo pozbawiony swego stanowiska pracy. Przepisał notatkę i po godzinie znał już odpowiedź na postanowione w notesie pytanie. Wprawiła go w zdumienie. Pobiegł szybko do archiwum prasowego. Przerzucił kilka roczników gazet. Zdumienie archiwisty zamieniło się w osłupienie.

[59] Nogę.

## IV

URZĘDNIK JÓZEF ŁOPUSZNIAK PRACOWAŁ w oddziale ewidencji ludności od ponad dwóch lat i od momentu podjęcia swych obowiązków działał mocno na nerwy szefowi, panu Władysławowi Sommerowi. Powodem nie było bynajmniej zaniedbywanie czy zgoła

lekceważenie poleceń zwierzchnika, lecz wręcz przeciwnie – zbyt szybkie i zbyt perfekcyjne ich wykonywanie. Ta pracowitość byłaby nawet godna pochwały, gdyby Łopuszniak po wywiązaniu się z zadań robił to co inni koledzy, czyli czytał gazety lub dyskutował o polityce. Ale jego te tematy nudziły bardzo szybko – porzucał zatem towarzystwo kolegów i zaczynał myszkować po archiwum. Skutkiem tych jego eksploracyj było zawsze i nieodmiennie znalezienie jakiegoś niedopatrzenia do naprawy albo jakiejś luki do zapełnienia. W ciągu pierwszego miesiąca zauważył, że katalog był dotychczas prowadzony dość kiepsko. Postanowił to zmienić i obietnicy dotrzymał. Zakasał rękawy i zabrał się do usunięcia tej haniebnej usterki. Po prawie roku wytężonej pracy katalog stał się wzorcowy – Łopuszniak zaopatrzył go w system odsyłaczy do różnych podkatalogów, w których umieścił skopiowane przez siebie karty.

Pan Sommer ucieszył się tak bardzo z sumienności nowego pracownika, że wystąpił z wnioskiem o przyznanie mu specjalnej nagrody. I wtedy stało się coś zgoła nieoczekiwanego, a szef długo przeklinał swoją dobroć i gorliwość wobec nieopierzonych podwładnych. Otóż kierownik wydziału Va w magistracie pan Rosienkiewicz kwaśno zauważył, że chyba biuro było do tej pory nonszalancko prowadzone, skoro nowy pracownik znajduje w nim takie zaniedbania i on sam, Rosienkiewicz, żąda kategorycznie wykazywania kolejnych usprawnień w rocznych raportach. Wobec takiego dictum [60] pan Sommer zmusił innych pracowników do dodatkowych zajęć w ramach ich pensum, skutkiem czego młody archiwista został natychmiast przez nich znienawidzony. Otaczała go dubeltowa niechęć – nie tylko zwierzchnika, który musiał kontrolować wszystkie ponadwymiarowe zajęcia, ale i kolegów, którzy musieli porzucić gazety, sport i politykę dla porządkowania starych akt i wpisów. Łopuszniakowi ta atmosfera biura w najmniejszym stopniu nie przeszkadzała, ponieważ cieszył się teraz osobistym poparciem naczelnika i mógł śmiało oczekiwać pomyślnych zmian w swej urzędniczej karierze. Ponadto miał zmysł porządkowania tak głęboko wszczepiony w mózg, że nie zwracał najmniejszej uwagi na nic, co mogłoby mu przeszkodzić w segregowaniu, korygowaniu i klasyfikowaniu. Nic zatem dziwnego, że kiedy znalazł pytanie zapisane w notesie Popielskiego i stwierdził, że wobec czasowej utraty biurka nie może tego dnia efektywnie pracować, postanowił ułatwić zadanie detektywowi utrudzonemu nocnymi poszukiwaniami. Dodatkową podnietą do pracy była skryta chęć uczestniczenia w jakimś

skomplikowanym śledztwie, o czym Łopuszniak, niedoszły prawnik i miłośnik powieści sensacyjnych, marzył od dzieciństwa.

Patrząc teraz na zdumienie i podziw, jakie przebijały w pytaniach przebudzonego na dobre rozmówcy, czuł rozpierającą go dumę. Ona była jego największą nagrodą.

– Chaja Lejbach, wyznania mojżeszowego, córka Majera, właściciela wyszynku, i Rojzy, urodziła się w roku 1860 w Kołomyi – jąkał się Łopuszniak, zdeprymowany nieco i upartym spojrzeniem Popielskiego, i półmrokiem panującym w piwnicy, dokąd zaciągnął go detektyw, ujrzawszy ostre światło poranka i nadmierne zainteresowanie pozostałych archiwistów. – W roku 1882 została adoptowana przez państwa Adama i Walerię Lipowskich ze Lwowa. Jej ojciec adopcyjny był szewcem i zmarł krótko po owym akcie. Od tegoż roku Chaja Lejbach nazywała się Hanna Lipowska.

– Dziwna to doprawdy adopcja dwudziestodwuletniej kobiety! – zdumiał się Popielski.

– O, w naszych aktach mamy jeszcze dziwniejsze sprawy. Ta adopcja jest, rzekłbym, nadzwyczaj typowa, ponieważ dotyczy osoby wyznania mojżeszowego, która najprawdopodobniej chciała dokonać urzędowej zmiany narodowości. Ci jej rodzice adopcyjni obdarzyli ją polskim nazwiskiem, wyznaniem rzymskokatolickim i pewnie zainkasowali za to niezłą sumkę. Wiek osoby adoptowanej zwalniał ich całkiem od opieki nad nią.

– Czy w księgach adresowych są jakieś dalsze ślady życia Hanny Lipowskiej?

– Oczywiście – Łopuszniak rozpromienił się. – Na podstawie naszych akt i dzięki różnym podkatalogom można by pisać szczegółowe życiorysy lwowian. Otóż Hanna Lipowska od roku 1882 do 1885 mieszkała przy Drodze Kulparkowskiej. Jako zawód wykonywany podawała „aktorka”. Niestety, nie wiem, w jakim teatrze grała. Pomniejsze zespoły teatralne i trupy wędrowne z godnym ubolewania i najwyższej nagany lekceważeniem traktowały zalecenia władz austriackich dotyczące prowadzenia akt personalnych swych członków. W sprawozdaniach większych teatrów nie pojawia się w ogóle nazwisko Lipowska ani żadne inne podobne do wyżej pomienionego… – Nabrał tchu przed zakomunikowaniem ważnej informacji. – W roku 1885 Hanna Lipowska wchodzi w związek małżeński we Lwowie. Jej mężem jest Antoni hrabia Bekierski, obywatel rosyjski,

właściciel dóbr ziemskich w Jedlance na Lubelszczyźnie. Państwo Bekierscy zamieszkali we Lwowie przy Sykstuskiej. W roku 1888 urodził im się jedyny syn, Józef Maria Bekierski. Dwa lata później wrócili do Jedlanki…

– Słucham?! To nieprawdopodobne! – Popielski chwycił się za głowę.

– To, że mieszkali we Lwowie? – Łopuszniak spojrzał na detektywa i wzruszył ramionami. – Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego. Cesarsko-królewska ustawa z 1798 roku znana pod łacińskim tytułem De matrimoniis cum civibus extraneis contractis [61] pozwala na tak zwany Duldung, czyli pobyt tolerowany, obcokrajowcowi, który…

– Jeszcze raz! – Popielski zerwał się na równe nogi i chwycił urzędnika za wątłe ramiona. – Jak się nazywa ich syn?

– Józef Maria Bekierski. Urodzony w 1888 roku, obecnie właściciel dóbr ziemskich w Stratynie, w powiecie rohatyńskim.

[60] Powiedzenie.

[61] O małżeństwach zawieranych z obcokrajowcami.

## V

DOROŻKARSKI KOŃ NIECHĘTNIE STUKAŁ KOPYTAMI o bruk ulicy Sykstuskiej. Wprawdzie nie nadeszło jeszcze południe – pora dnia, kiedy upał od kilku dni nawiedzający Lwów stawał się nie do wytrzymania – lecz już duchota dławiła miasto, a ze znużonego zwierzęcia spływały płaty piany. Pasażer jadący dorożką zachowywał się odwrotnie niż większość lwowian – zamiast się chłodzić pędem powietrza, kazał nieco opuścić budę, zamiast podziwiać naturę w rozkwicie wczesnego lata, chował oczy za binoklami tak czarnymi, że spoza nich – jak sądził woźnica – nie sięgał wzrokiem dalej niż czubka własnego nosa.

Choć wbrew poglądowi fiakra Popielski widział przez ciemne szkła wcale dobrze, nie zamierzał dziś kontemplować reprezentacyjnego gmachu Poczty Głównej, który właśnie mijali. Wręcz przeciwnie, postanowił skupić się wyłącznie na własnych myślach, a nie chcąc po ostatnim nieszczęsnym ataku epilepsji ryzykować przypadkowych świetlnych odblasków, zasunął całkiem budę dorożki. Nie mógł sobie pozwolić na dekoncentrację – teraz, kiedy czuł słodycz rychłej zemsty, kiedy witał chwilę wymierzenia sprawiedliwości. Myśli Popielskiego dobrze korespondowały z zaciemnieniem wnętrza. Zamieniały się w mroczne i pełne nienawiści frazy,

które zgodnie z jego zamiarami miały się niebawem znaleźć w prasie i zniszczyć jego wroga.
Z pewnością znacie, Drodzy Czytelnicy – starał się nadać myślom jak największą moc zemsty – powiedzenie „z gorliwością neofity”. Oznacza ono zapał, z jakim nowo nawrócony członek jakiegoś bractwa czy sekty niszczy swoich dawnych współwyznawców. Rozciągnijmy to powiedzenie na sferę pozareligijną. Jest to gorliwe zapamiętanie się prześladowcy, który atakuje ludzi niegdyś mu bliskich. Jak każdy fanatyzm, tak również fanatyzm neofity musi budzić naszą niechęć. Jest czymś nieeleganckim, co nie uchodzi, co w dobrych sferach nie jest comme il faut [62]. Wyjątkowo wstrętny jest neofita, który zamazuje pamięć o swym pochodzeniu i gnębi rodaków. Zgermanizowany czy zrusyfikowany Polak prześladujący w czasach zaborów współplemieńców jest personą ohydną. A jak należy oceniać antysemityzm okazywany Izraelitom przez wynarodowionego Żyda przechrztę? Odpowiedź jest prosta – to podobne ohydztwo.
Popielski wyjął notes i nie bacząc na kołysanie i podskakiwanie dorożki, co boleśnie odczuwały jego niezaleczone rany na plecach, zapisywał co celniejsze frazy.
Najwstrętniejszym zaś aspektem antysemityzmu wyznawanego przez Żyda – pisał gorączkowo – jest zaprzęgnięcie tego poglądu w służbę polityki. Antysemityzm jest godnym pogardy uprzedzeniem, ale antysemityzm żydowski to wręcz obraza rozumu! Nie może zatem nie budzić wstrętu każdego myślącego obywatela polskiego Józef hrabia Bekierski, który z rusofilii i antysemityzmu utworzył sobie polityczny puklerz i na ramionach narodowców chce wejść do senatu, a w każdym swym rozmówcy tropi Żyda, choć sam nim jest. Tak, Drodzy Czytelnicy, matka hrabiego, Hanna Bekierska de domo Lipowska, jest w rzeczywistości z domu Lejbach, a prawdziwe jej imię brzmi Chaja! Nie piszę tego, by szydzić ze starszej damy i ją – Boże broń – poniżać, o nie! Piszę tu tylko o obrazie rozumu i o degeneracji ducha, cechach jej syna neofity! Nie musi on pchać innym pod oczy swego pochodzenia, nie musi o nim mówić w swojej sferze, gdzie byłoby – co godne zresztą pożałowania w naszych demokratycznych czasach! – poważną przeszkodą towarzyską. Nie powinien jednak atakować braci. To doprawdy podłe!
Popielski zamknął notes i zaczął się głębiej zastanawiać nad wykorzystaniem informacyj, które dostał był od losu za pośrednictwem archiwisty pana Józefa Łopuszniaka. Owszem, można by zniszczyć

Bekierskiego dzięki prasie liberalnej, a nawet narodowej, bo przecież jest oczywiste, że i tutaj hrabia ma wrogów, dla których donos będzie nie lada gratką. Ale czy to wszystko w ogóle uchodzi? „Kimże ja będę? – myślał. – Zwykłym donosicielem, małą kanalią, która z ukrycia strzela z procy, a potem po cichu chichoce z zadowolenia, bo nabiła komuś guza! Człowiek honoru tak nie postępuje! Ale czy łże-hrabia Bekierski był człowiekiem honoru, gdy mnie zaatakował znienacka z gromadą swych ruskich psów, a potem sponiewierał i sparszywił!? Ale z drugiej strony – czy z kanalią naprawdę trzeba postępować niegodnie tylko dlatego, że jest kanalią?! Czy nawet najpodlejszemu przeciwnikowi nie należy się szacunek, choćby z tego powodu, że należy się on każdemu człowiekowi?”

Nie rozstrzygnąwszy tego etycznego problematu, Popielski wysiadł z dorożki pod Ogrodem Jezuickim i wbiegł do mieszkania. Służąca Hanna otworzyła mu drzwi i znaczącym ruchem ręki wskazała na gabinet. Z kuchni dochodził zapach kawy i pieczonego ciasta drożdżowego, z łazienki – bulgot wody w wannie. Te przyjemne domowe odgłosy i zapachy nie uśpiły czujności Popielskiego. Wzrok Hanny mówił wyraźnie: ktoś obcy czeka na pana w gabinecie.

Otworzył drzwi tak gwałtownie, że siedzący za jego biurkiem portier Wacław Król aż podskoczył. Uspokoił się jednak w ułamku sekundy, skulił się i od dołu, trochę z ukosa wpatrywał się w przybysza. Był najwyraźniej wzburzony. Jego uparty, arogancki wzrok i odsłonięte w grymasie zęby ze srebrnymi koronkami nie zdradzały żadnych dobrych zamiarów.

– Dzień dobry, panie Król – powiedział Popielski. – A ładnie to tak zajmować miejsce gospodarza za biurkiem? Fotel dla moich interesantów jest tutaj! – I wskazał dłonią na duży fotel uszak obity zielonym pluszem.

Nocny portier nie odezwał się ani słowem. Popielski napiął mięśnie tak mocno, że ruch ten boleśnie poczuł w plecach. „Ten człowiek najwyraźniej ma złe zamiary, a mnie wciąż wszystko boli. Damże mu radę? Gdzie jest mój pistolet? Czy nocny portier może zaatakować z taką zaciekłością, aby zabić? Czy pracownik biura może zabić? Zabić gwoździem starą śmierdzącą worożychę i zadławić żydowską dziwkę?”

I nagle Popielski zrozumiał błąd, jaki popełnił po przyjściu do archiwum. Musiał teraz koniecznie ten błąd naprawić. Musiał uzyskać od Króla odpowiedź na dręczące go od rana pytanie.

– Proszę dalej spoczywać za moim biurkiem – zaczął spokojnym głosem, siadając w fotelu. – Jest pan moim gościem, a goście powinni

siedzieć na honorowym miejscu. Może się pan napije kawy albo lemoniady…

– Nie jestem pańskim gościm. – W oczach Króla zgasły złowróżbne błyski. – Chcę pana zbesztać!

– Że co? – Popielski, by ukryć zmieszanie, wyciągnął w jego stronę papierośnicę, lecz ten pokręcił przecząco głową.

– Jestem prosty gość. – Król położył na biurku pełnomocnictwo Popielskiego. – Ja uwierzył panu na fest. A pan mni zbajdurzył [63]. Ta przed półgodziną dzwoni aparat i pan Sommer mówi o prawdziwym pańskim upoważnieniu, które rychtyk [64] przyniósł jakiś pulicaj. A to – przesunął po blacie kartkę papieru – jest sfałszowany. A pan już nie glina. A ja uwierzył. Mogą mnie na zbity pysk z pracy! Po siedmiu latach! Przez pana!

Popielski przeklinał w myślach swoją dekoncentrację, którą powinien był nazwać raczej ślepym matematycznym instynktem. To on bowiem sprawia, że jego umysł natychmiast reaguje, gdy dociera do niego graficzny lub dźwiękowy odpowiednik jakiejkolwiek liczby. Choćby Popielski myślał o tym, co go najbardziej fascynowało, czyli o ulubionych autorach starożytnych albo o powabach kobiecego ciała, wystarczyło, że dostrzegł jakąś liczbę wypisaną na szyldzie lub usłyszał jakiś liczebnik, a natychmiast i nieświadomie się na nim skupiał. Teraz skoncentrował się na liczbie lat przepracowanych w magistracie przez Króla i zupełnie zapomniał o pewnej ważnej rzeczy, o którą chciał go koniecznie zapytać. Tak czy inaczej, musiał portiera udobruchać.

– Przepraszam pana, panie Król. – Popielski skłonił głowę. – I zapewniam, że nikt pana z pracy nie wyrzuci. To moja wina, że pana oszukałem, a nie jest z kolei pańską winą to, że nie rozpoznał pan pełnomocnictwa. Przecież pan nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział! Mnie zaś pan zna i wie, kim jestem. No to mi pan uwierzył. Tak właśnie wytłumaczę to pańskiemu szefowi, panu Sommerowi. Jeszcze dzisiaj. Niech się pan nie martwi, panie Król. Napije się pan kawy, lemoniady? Może jednak papieroska?

– A skąd wim, że to nie są głodny kawałki?! – Portier wstał gwałtownie zza biurka. – Mam swój honor. Ja ni oszukuji jak pan.

Wtedy Popielski przypomniał sobie, czego od rana chciał się dowiedzieć od swego rozmówcy.

– Niech pan mnie spoliczkuje, Król, i w ten sposób sobie pofolguje. – Popielski zerwał się również na nogi i oparł dłonie o blat biurka. – No wal pan w ryj! Ulżyj pan sobie! Ale wcześniej musi mi pan coś powiedzieć! Coś, co może być bezcenne dla mojego śledztwa. Ja pracuję dla policji jako konsultant! – Zdezorientowany portier patrzył przez chwilę na obklejony plastrami policzek swego rozmówcy, który ten mu podstawiał, po czym usiadł ciężko i sięgnął po papierośnicę. – Po przyjściu do archiwum przede wszystkim pana powinienem był o coś zapytać. – Z nozdrzy Popielskiego buchnęły dwa słupy dymu. – Uświadomiłem to sobie dziś rano, kiedy pana już nie było. Otóż prowadzę pewne śledztwo. Muszę w nim odpowiedzieć na pytanie, czy jakiś matematyk przeglądał akta biura meldunkowego, czy nie. Szukałem jak głupi kogoś z zewnątrz, kto by wypożyczał akta z pańskiego biura… Straciłem noc całą na jałowe poszukiwania. Nie przyszła mi do głowy oczywista myśl, że może wśród urzędników jest ktoś, kto mógłby akta wypożyczyć skrycie bez rewersu! A nawet gdyby zrobił to z rewersem, to i tak wszystkie rewersy lądują w składzie makulatury! Ten ktoś, panie Król, to urzędnik, który zna matematykę! No powiedz pan, czy jest u was ktoś taki.

– No ta pewni. – Portier zmrużył oczy przed dymem. – Był taki. Pan Leon Bójko. On mojij Kazi, córce znaczy si, korepetycyj dawał. Mała nijak rachunków ni kumała…

– Bardzo on biedny? Ma rodzinę? Musiał dorabiać korepetycjami? – zapytał Popielski, przypomniawszy sobie określenie „bidołacha”, jakim określała Bajdykowa swojego kochanka.

– No biedny to un ta był, pu tym, jak si zwolnił… Nikt nie wi, dlaczegu tu zrobił…

– Samotny on?

– Tak, kawalir.

– Żyd?

– A gdzie tam… A ta słyszał pan, żeby mechidrys [65] si Bójko nazywał? To nasz… Polak znaczy si…

– I teraz najważniejsze. – Popielski nabrał tchu. – Gdzie on mieszka?

– A na Sadownickiej.

– Na Sadownickiej, mówi pan, na Sadownickiej… – Popielskiemu zaczęła pulsować żyła w szyi.

Tak było zawsze, kiedy czuł, że oto zbliża się olśnienie, że oto za chwilę nastąpi przełom w jego rozumowaniu, że oto wszystko stanie w jaskrawym

świetle pewności.

– Gdzie to jest? – wychrypiał.

– Przepraszam, że mimowolnie podsłuchałam – z salonu doszedł głos Leokadii. – Od niedawna Sadownicka oficjalnie nazywa się Zadwórzańską.

Popielski wpadł do salonu jak burza. Leokadia, ubrana w podomkę, przeglądała „Panią Modną”. Pochwycił ją mocno w ramiona, uniósł do góry i zakręcił się z nią dokoła. Jej zaróżowiona po kąpieli twarz pachniała kremem. Całując ją w oba policzki, poczuł delikatny zapach talku.

– Dziękuję ci, kochana Lodziu! Bardzo mi pomogłaś twoją znajomością topografii Lwowa!

Naburmuszony nieco Wacław Król stał w drzwiach salonu gotów już do wyjścia i ze zgorszeniem patrzył na obejmującą się parę. Leokadia śmiała się radośnie. Nic dziwnego, że cały Lwów mówi, że oni „żyją na wiaderku” – pomyślał nocny portier.

– A moży by tak dla mni też byłu „dzienkuji”? – mruknął niechętnie i wyszedł bez pożegnania.

[62] Jak należy.
[63] Oszukał.
[64] Właśnie.
[65] Żyd.

## VI

EDWARDA POPIELSKIEGO OBUDZIŁ RADOSNY SZCZEBIOT RENATY. „Pewnie rozmawia przez telefon z jakąś przyjaciółką – pomyślał w półśnie – chyba z tą fertyczną blondynką, z którą mieszkała. Pewnie umawiają się na ménage ŕ trois. A kto w roli głównej? Ja sam! To szaleństwo – być uhonorowanym jednocześnie przez dwie kobiety!”

Poczuł silne podniecenie, a po chwili równie silny wstręt do samego siebie. Leżał we własnym łóżku, a w szczebiocie dochodzącym z przedpokoju rozpoznał głos własnego dziecka.

Podniósł się na łokciach i rozejrzał po gabinecie. Jego wzrok powędrował po grzbietach książek za oszklonymi drzwiami ogromnej biblioteki. Przywróciły go one do rzeczywistości. Pierzchły senne lubieżne rojenia. Encyklopedie Brockhausa i Orgelbranda były hymnem na cześć ludzkiego rozumu. Pomnikowe i oprawione na ciemno tomy Thesaurus Linguae Latinae mówiły mu o nieśmiertelności duchowego świata, w który

wstąpił wraz z przekroczeniem progu stanisławowskiego gimnazjum klasycznego. O najważniejszym obecnie zadaniu przypomniały mu niewielkie roczniki „Deutsche Schachzeitung” – wytłoczone na ich grzbietach przez introligatora szachownice były odwołaniem do magicznych kwadratów. Tak, myśl o gorącym ménage ŕ trois ustąpiła pod zimnym tchnieniem rozsądku. Apollon wyparł Dionizosa.

Wstał. Cienka jedwabna pidżama była mokra od potu. Wilgotną szlafmycą otarł głowę, rozsunął kotary i otworzył okno. W pokoju wcale nie zrobiło się przez to chłodniej, a cała zmiana polegała jedynie na tym, że powietrze w pomieszczeniu zaczęło trącić smrodem przepełnionego śmietnika i wonią rozprażonej słońcem papy zmieszaną z zapachem kwitnącej na podwórzu akacji.

Wypił szklankę zimnej mięty, narzucił na ramiona szlafrok i wyszedł do przedpokoju. Przytulił Ritę, która skakała i kręciła się w kółko, jakby była nakręcanym bąkiem. Oddech małej pachniał landrynkami. Pocałował Leokadię w policzek i poczuł ciepły zapach perfum waniliowych. Pocałował w rękę służącą Hannę Półtoranos, która z kolei wydzielała domową woń ciasta i krochmalu.

Swym zachowaniem chciał dziś pokryć niepokój, który go dręczył od samego przebudzenia – gdy głos swojego dziecka wziął za głos Renaty Sperling.

– Idioto – mówił do siebie łazience, zdzierając brzytwą zarost – za chwilę idziesz do podejrzanego, na którego winę wskazują aż trzy przesłanki. Lubę Bajdykową zabił jej kochanek matematyk mieszkający na Zadwórzańskiej, którego nazywała „mój bidołacha”. To może być Leon Bójko. Dalej: tenże pracował w oddziale ewidencji ludności, gdzie mógł bez żadnego śladu przeglądać księgi w poszukiwaniu osób o gematrii 68. Milowymi krokami zbliżasz się do mordercy! Skup się na tym! Nie rozpamiętuj akrobatycznych figur żydowskiej dziwki, która cię nogami obracała po łóżku jak bezwolnego bałwana!

Słowa te wzburzyły go tak bardzo, że wcisnął palec w opuchliznę na twarzy. Ból rozlał się po policzku i po zębach. Należało mu się. Usiadł na brzegu wanny, ciężko dysząc. Zabiłby każdego, kto by nazwał Renatę Sperling „żydowską dziwką”.

Bez apetytu zjadł śniadanie i ubrał się starannie. Włożył nowy garnitur i kremową koszulę, która byłaby nieznośną ekstrawagancją dla miłośnika galanteryjnej tradycji, nakazującej noszenie białej koszuli i ceratowego

kołnierzyka niezależnie od pogody i pory roku. Rozpiął dwa górne guziki i wyłożył na marynarkę duży i wiotki kołnierz. Nie przejmował się tym, iż w wycięciu koszuli pojawił się skłębiony zarost z klatki piersiowej. Może rzeczywiście było to nieskromne, być może, jak mawiała Leokadia, faktycznie było znakiem paryskich sutenerów i innych szubrawców, lecz żadne dobre obyczaje nie zmusiłyby go dzisiaj, by rzucał się we lwowski upał z gardłem ściśniętym pętlą krawata. Ponadto nie był wcale pewien, czy nie będzie musiał użyć przemocy wobec Leona Bójki, przy czym każde skrępowanie byłoby niepotrzebną przeszkodą. Z szuflady biurka wyjął browning i obciążył nim wewnętrzną kieszeń marynarki.

Wychodząc z mieszkania, podszedł do stolika telefonicznego. Podniósł słuchawkę i posłuchał przez chwilę przeciągłego sygnału.

– Telefon wcale nie jest popsuty – z salonu odezwała się Leokadia. – Zapewniam cię, ona nie dzwoniła. Takie jak ona nigdy nie dzwonią. A kiedy zatelefonuje do nich jakiś zakochany głupiec, fikają nogami, rechocą z uciechy i pokazują na migi koleżance: ale ubaw!

– Dziękuję za ciekawą wypowiedź. – Popielski uśmiechnął się sztucznie. – Tylko bądź tak miła i powiedz mi, kto tu do kogo dzwoni, bo nic nie rozumiem. Ale, ale – zrób to później, bo teraz nie mam czasu na twoje rewelacje…

Wyszedł, zamykając cicho drzwi. Dopiero na klatce schodowej wraz z głośnym „kurwa jego mać!” wyrzucił z siebie gniew na złośliwą kuzynkę.

Była czwarta po południu. Upał rozlewał się nad miastem. Pod Pocztą Główną na Słowackiego Popielski wziął dorożkę z postoju. Drynda wolno wspinała się ulicą Kopernika ku Komendzie Wojewódzkiej. Tam kazał fiakrowi zaczekać, wyskoczył i po kilkunastu sekundach znów siedział pod zasuniętą budą. Rozerwał kopertę odebraną z portierni i przeczytał wiadomość, o którą przed udaniem się na spoczynek prosił telefonicznie archiwistę Łopuszniaka:

Leon Bójko, ulica Zadwórzańska 25 m. 14.

Kazał się wieźć przez Potockiego i ulicę Na Bajkach, a potem zatrzymać na Zadwórzańskiej sto metrów przed kamienicą oznaczoną numerem 25. Był to dom oddzielony od ulicy żelaznym parkanem i pasem zieleni. Rosły przed nim dwa potężne drzewa, które zacieniały okna na parterze i na pierwszym piętrze. Na trawniku tęga służąca w lnianej koszuli bez rękawów rozwieszała pranie na sznurze, pokazując skłębione włosy pod

pachami. Przyglądał się jej przez chwilę i słuchał piosenki, którą ktoś na parterze wyśpiewywał barytonem zdartym mocno przez nikotynę i alkohol.

Siup, Maniusiu, muzyczka gra,
Tańczy batiarów ćma.

Zapłacił dorożkarzowi, przebył szybkim krokiem dzielące go od bramy sto metrów i wszedł w przyjemny chłód starego domu. Na wprost biegły schody, na lewo oszklone drzwi prowadziły na małe podwórko zamknięte ceglaną nieo tynkowaną ścianą. Zlustrował wszystko dokładnie. Potem wszedł na schody. Mieszkanie numer 14 mieściło się na ostatnim piętrze. Kiedy tam dotarł, stał przez chwilę na podeście, opierał się o poręcz i ciężko oddychał. Musiał jeszcze raz zejść na dół, aby sprawdzić, czy Bójko nie ucieknie oknem, w razie gdyby spojrzał przez wizjer i się wystraszył.

Zbiegł szybko na podwórko i spojrzał do góry. Z ulgą stwierdził, że z okien na ostatnim piętrze nie można przejść na dach. W czasie tych oględzin zagadała go nieufnie służąca, pytając spod trzepaka: „A du kogu wola?”. Zbył ją nieprzyjaznym pomrukiem i znów wspiął się po schodach pod drzwi Bójki. Zdjął marynarkę i kapelusz, lecz nie przyniosło mu to dużej ochłody. Był cały mokry. Pot oblepiał mu nową koszulę i lał się pod opatrunkiem na plecach. Zacisnął zęby i podszedł do drzwi.

Nie bawił się w przestrzeganie policyjnych procedur, zgodnie z którymi przy wejściu do mieszkania ktoś powinien mu towarzyszyć. Już nie był i jeszcze nie był policjantem. Nacisnął klamkę, a kiedy nie ustąpiła, mocno zapukał.

Otworzył mu niewysoki, otyły mężczyzna w wyświeconym szlafroku, który był chyba jego jedynym wierzchnim okryciem, nie licząc skarpetek w huculskie wzory. Jeden rzut oka na jego chude łydki, jedno spojrzenie na obwisłe policzki i trzęsący się brzuch utwierdziły Popielskiego w przeświadczeniu, że nie będzie potrzebował browninga, aby przemocą poskromić ewentualny opór Leona Bójki, jeśli to z nim właśnie miał teraz do czynienia.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie. – Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Leonem Bójką?

– Przyjemność lub nieprzyjemność – prychnął człowiek w szlafroku i podciągnął nerwowo skarpetę – odczuje pan dopiero w trakcie rozmowy lub po rozmowie…

Dobór słów świadczył o tym, iż lokator spod czternastki jest człowiekiem wykształconym. Popielski poczuł silne zniecierpliwienie. Rany na plecach piekły, złamany nos pęczniał, wciągając kurz i nagrzane powietrze mieszkania. Przeklął w duchu dworskie maniery. Nie miał czasu na uprzejme konwersacje i przekomarzania.

Szybko położył na piersi rozmówcy otwartą dłoń. Pod palcami poczuł wilgoć spoconej skóry. Pchnął tak mocno, że lokator stracił równowagę i runął na podłogę. Popielski zamknął szybko drzwi od wewnątrz, a klucz schował do kieszeni.

– Gwałtu! – rozdarł się napadnięty, zamiatając podłogę połami wierzchniego okrycia.

– Cicho – zasyczał Popielski. – Nie będę cię więcej bił, jeśli będziesz cicho.

Lokator otworzył usta, aby znów ryknąć. Wtedy poczuł podmuch powietrza. Coś mu urosło pod policzkiem, a słony smak w ustach i bolesne pulsowanie uświadomiły mu, że chyba nadgryzł sobie język.

Popielski nie zadał już trzeciego ciosu. Chwycił jedynie leżącego za kołnierz, pociągnął ciało dwa metry po podłodze jak worek i porzucił je pod oknem. Rozwarły się poły szlafroka i wylazło z nich tłuste kolano pokryte rudawym włosem. Popielski sięgnął po firankę i wytarł z obrzydzeniem dłoń.

– Nazywam się Edward Popielski. A pan?

– Leon Bójko – zaatakowany mówił wolno, pryskając krwią i śliną.

– Wykształcenie?

– Doktór filozofii i matematyki.

– Jaki uniwersytet?

– W Rosji, w Kazaniu. – Bójko usiadł na podłodze i przyłożył dłoń do palącego policzka.

– Praca doktorska pod jakim tytułem?

– I tak nic nie zrozumiesz, ty łobuzie! – Najwyraźniej nabierał pewności siebie.

Popielski rozwiesił starannie marynarkę na oparciu krzesła, a kapelusz położył na stole, sprawdziwszy pierwej, czy jego powierzchnia nie jest powalana tłuszczem.

Za zielonymi szybkami biblioteczki widać było grzbiety książek. Otworzył ją i przebiegł wzrokiem po tanich wydaniach klasyki polskiej i obcej. Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Wiktor Hugo, Anatole France.

Książki naukowe były reprezentowane jedynie przez rosyjski atlas anatomii człowieka i dwutomową encyklopedię Brockhausa. Żadnej pracy matematycznej, żadnej Biblii.

Zamknął biblioteczkę i zajął się biurkiem. Otworzył je i wysunął górną szufladę. Leżały w nich gazety codzienne – „Słowo Polskie”, „Chwila”, „Gazeta Poranna”, i periodyki – „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”, „Świt” i „Wierny Lwów”. Przejrzał je uważnie.

Poczuł żar na policzkach. Między gazetowe strony wetknięte były małe kartki z jakimiś obliczeniami i wzorami.

Napiął mięśnie. Musiał panować nad euforią, musiał wyciszyć trąby triumfu, które wołały: wszystko się zgadza, masz przed sobą tego, kogo szukasz! Ten człowiek ukrył obliczenia w gazetach, by nie rzucały się w oczy podczas pobieżnej rewizji! Brak ci jeszcze czegoś? Czyż ten człowiek nie wygląda na zboczeńca, który chędoży syfilityczne staruchy? Do dzieła! Przyprowadź go Grabowskiemu na powrozie, a potem wróć do swojego gabinetu policyjnego, do prawdziwego życia! A może chcesz mieć pewność? Może musisz znaleźć ślady hebrajszczyzny i kwadratów magicznych?

Otarł czoło, zmarszczył brwi i spojrzał groźnie na Bójkę.

– Pytałem cię o coś!

– Uogólnienie pewnej tieoremy Jegorowa. – Bójko opacznie zrozumiał jego spojrzenie i owinął się szlafrokiem, jakby to była zbroja przeciw ciosom, które zaraz miały spaść na jego ciało. – Oto tematyka mojego doktoratu.

– To o zbieżnościach funkcyj?

– Jest pan matematykiem? – zapytał zdumiony Bójko.

– W moim umyśle są tylko liczby i trupy – odparł Popielski. – Jestem kimś więcej niż matematykiem. Jestem policjantem.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Było dość duże i utrzymane w czystości i porządku. Najwyraźniej spełniało funkcję i kuchni, i gabinetu. O tym pierwszym przeznaczeniu świadczyły zlew, kuchenka spirytusowa, deska do krojenia chleba leżąca na stole i kredens, o drugim – biurko i biblioteczka. Dwa okna wychodziły na podwórze, jedno na trzepak, trawnik i drzewa przed domem. Drzwi zasłonięte wystrzępioną nieco kotarą prowadziły najwyraźniej do drugiego pokoju. Te drzwi zaniepokoiły Popielskiego.

Kiwnął palcem na Bójkę i kiedy ten ciężko wstał i podszedł, chwycił go mocno za kark i pchnął na kotarę. Zaplątany w ciężki materiał Bójko przez chwilę znajdował się za progiem pomieszczenia, ale na jego głowę nie spadł żaden cios. Nikt przyczajony nie czekał, aż materiał się wybrzuszy, by uderzyć w intruza. Najprawdopodobniej nikogo nie było w pokoju zasłoniętym kotarą. Popielski odsunął ją powoli.

Stał teraz pół metra od drzwi i lustrował wzrokiem małą sypialnię, w której znajdowały się potężna i bardzo wysoka szafa, obok niej krzesło, a na środku żelazne łóżko. Z szafy, prawie spod sufitu patrzył ponuro gipsowy Sokrates. Popielski znów chwycił Bójkę za kołnierz i tym razem wsunął do środka jego głowę, a potem szybko ją cofnął – tak jak go uczyli dwa lata wcześniej na policyjnym kursie w Sarnach. Nie padł żaden cios, nikt się nie czaił przyklejony do ściany obok drzwi.

– Proszę wejść do sypialni i usiąść na krześle.

Bójko zrobił, co mu kazano, a Popielski rozpoczął oględziny pokoju. Zajrzał pod łóżko. Tylko kartonowa waliza. Otworzył ją i ujrzał brudną bieliznę. W szafie przerzucił kilka mniej lub bardziej wytartych i pocerowanych ubrań. Przejrzał półki, przesuwając koszule, które w zamierzchłych czasach musiały wcale dużo kosztować. Jedna z nich miała nawet wyhaftowany monogram „L.B.” na mankiecie, co oferowano tylko w pierwszorzędnych magazynach konfekcyjnych. Pod nią coś zaszeleściło. Popielski włożył tam dłoń i wyciągnął dużą książkę. Otworzył ją i przebiegł wzrokiem po powykręcanych literach hebrajskich. Była to Biblia hebrajska. Wysunęła się z niej koperta. Włożył do niej dłoń i poczuł na palcach śliską powierzchnię i małe ostre krawędzie papieru fotograficznego. W jego palcach pojawiły się fotografie.

Zanim przyjrzał się zwałom tłuszczu, rozlanym na boki piersiom i gąbczastym pośladkom widocznym na odbitkach, spojrzał na Bójkę. Ten, skulony, z głową prawie wciśniętą w kolana, kiwał się na krześle i wpatrywał w podłogę. Na jego łysinie okolonej rzadkimi kędziorami połyskiwały małe krople. Zbierały się osobliwie wokół dużego włochatego znamienia na łysinie Bójki, które wykwitało tam niczym czarna wyspa. Swym kształtem przypominało Popielskiemu italski but. Przeniósł wzrok na zdjęcia i długo je oglądał.

– Nie wstyd panu, Bójko, trzymać pornografię w Biblii? – Poskrobał paznokciem po jednej z fotografii, na której rozwalona na kanapie Luba Bajdykowa spod małego kapelusika patrzyła uwodzicielsko w obiektyw. Jej

słoniowate nogi były szeroko rozrzucone, a potężne piersi spływały po bokach ciała.

Na szafie coś zaszeleściło. Popielski uniósł głowę i natrafił jedynie na pogardliwe spojrzenie gipsowego Sokratesa.

– Myszy tu u pana harcują, co, Bójko? – Uniósł rękę w rozkazującym geście. – A teraz z powrotem do kuchni! Tam sobie porozmawiamy!

Rozsadzała go euforia. Grały potężnie triumfalne tuby. Starał się je wytłumić, ponieważ ich dźwięk nie tylko upajał, ale też poniewierał i upokarzał. Zawsze je słyszał przed epileptycznym atakiem. Euforia i epilepsja. Nieodłączne siostry – jedna rozświetla umysł, druga – rzuca w błoto.

Bójko usiadł w kuchni na krześle wskazanym przez Popielskiego. Detektyw przesunął w bok ciężką maszynę do pisania i położył obok niej Biblię. Potem sięgnął do biurka i jeszcze raz przejrzał papiery schowane w gazetach. Widniały na nich matematyczne obliczenia i wzory, które, jak stwierdził, dotyczyły ciągów i teorii liczb.

Kilkanaście minut siedział przy biurku w milczeniu i przerzucał kartki hebrajskiego Starego Testamentu. Strona po stronie. Wiele wyrazów było podkreślonych, na marginesie kłębiły się słupki rachunków, na których literom przypisano liczby. Były to rachunki gematryczne.

Trąby grały i cichły. Popielski uniósł księgę i wytrzepał z niej trzy kartki. Wypisano na nich wyrazy hebrajskie. Jeden pod drugim. Tworzyły kwadraty, których długość boku mogła być liczona w literach. Jeden z kwadratów dotyczył Luby Bajdykowej, inny – Lii Kochówny. A jeszcze inny – Chai Lejbach. Spojrzał na Bójkę z uśmiechem.

– Ja mam alibi – powiedział spokojnie matematyk.

– Podważę każde pańskie alibi. – Popielski zapalił papierosa i spojrzał na kotarę w drzwiach sypialni, która nagle zafalowała od przeciągu.

– Tego alibi pan na pewno nie podważy. Wstyd panu na to nie pozwoli.

Coraz głośniejszy dźwięk natarczywie wibrował Popielskiemu w uszach. Może to rzeczywiście zapowiedź ataku? Kilka dni wcześniej w popadaczkowym śnie w domu Szaniawskiego po tamtej pamiętnej nocy widział to co teraz. Dokładnie to co teraz – on sam siedzi na krześle w pokoju wypełnionym kartkami z wzorami matematycznymi. Przeciąg porusza gwałtownie kotarą wiszącą w drzwiach. Ta faluje coraz szybciej, aż w końcu urywa się i frunie jak perski dywan. Rozlega się huk.

W rzeczywistości cała ta scena rozegrała się teraz prawie tak samo. Ale w wizji za kotarą stał wysoki mężczyzna w meloniku. W tej dziwnej wizji Popielski patrzył na Popielskiego. Teraz, w rzeczywistości, patrzył na Renatę Sperling. Stała w przejściu i otrzepywała skromną sukienkę z grudek gipsu, które pozostały po rozbitym popiersiu Sokratesa.

– Ona jest moim alibi – powiedział Bójko. – Chyba nie wsadzisz swojej ukochanej za współudział.

Zapadła cisza. Umilkły triumfalne trąby.

## VII

POPIELSKI WSTAŁ I SPOJRZAŁ RENACIE PROSTO W OCZY. Był ciekaw, czy dostrzeże w nich zakłopotanie, niepokój, a może uwodzicielski fałsz, udawaną słodycz. Nic w nich jednak nie ujrzał poza łzami. Opuściła wzrok.

Usiadł z powrotem na krześle. Był spocony, ale nie z powodu upału i gwałtownych ruchów, jakie wykonywał w ciągu ostatnich minut, kiedy wycierał podłogę Bójką i przeszukiwał jego mieszkanie. Pot wysiłku fizycznego i wysokiej temperatury jest ciepły, jego zaś oblewała zimna fala. Cały był skuty lodem.

– Co pan ma na myśli, doktorze Bójko – odwrócił się bokiem do Renaty – mówiąc „alibi” i „współudział”? Współudział w czym niby, mój panie?

Bójko uśmiechał się szeroko. Skóra na jego twarzy i głowie naciągnęła się mocno, a wokół myszki na łysinie pojawiło się różowe zabarwienie.

– Nie zabiłem tych kobiet, lecz przewidziałem ich śmierć. Jest ona zakodowana w kwadratach magicznych, które prawdopodobnie pan rozszyfrował, bo jakże inaczej by pan do mnie trafił? Jest pan matematykiem! Któż inny by cokolwiek wiedział o funkcjach mierzalnych? Ale… do rzeczy. Skoro przewidziałem śmierć tych kobiet, to miałbym nie przewidzieć, że mogę być podejrzanym? Zadbałem zatem o alibi, którego dostarcza mi panna Sperling. Gdyby chciał je pan podważyć, musiałby udowodnić, że panna Sperling kłamie. A gdyby to pan udowodnił, oskarżono by ją o współudział. A pan chyba nie chce, by panna Sperling była ciągana po sądach. Proste wynikanie logiczne, nieprawdaż, mon cher? A ponadto chybaby pan nie chciał, aby pańska kochanka została uznana in publico [66] za popularną panienkę, która chowa się na szafie z obawy przed zdemaskowaniem?

– O czym on mówi? – Popielski nie spojrzał nawet na kobietę wciąż stojącą w drzwiach. – Jakież to alibi, panno Sperling?

– Towarzyszyłam nieustannie Leonowi Bójce – wyrecytowała Renata ze wzrokiem wbitym w ziemię – przez cały dzień 10 kwietnia oraz noc z 10 na 11 kwietnia, a także przez cały dzień oraz noc z 30 kwietnia na 1 maja.

Były to daty popełnienia obu zbrodni. Popielski czuł, że jego szczęki są wciąż skute lodem. Zimna fala potu doprowadziła go już do drżenia. Ręce zaczęły mu dygotać, a obcasy butów – wystukiwać na deskach podłogi dziki rytm. Wiedział, że za chwilę Bójko ze złośliwym zadowoleniem zarejestruje jego wzburzenie. Będzie z niego szydził w duchu. Będzie się natrząsał z zazdrosnego i zdradzonego kochanka, któremu on, Bójko, przyprawił rogi.

Popielskiemu przyszedł do głowy tylko jeden sposób, by wybrnąć z honorem. Istniała prosta, radykalna i drastyczna metoda, by pokazać Renacie, kto tu jest jej prawdziwym zdobywcą. Sposób na zaznaczenie zwierzęcej dominacji jednego samca nad drugim. Wystarczyło swój teren zaznaczyć moczem i obryzgać nim rywala.

Podszedł do Bójki, wycelował w jego głowę i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Na ziemię!

Kiedy matematyk opadł na podłogę i z niejakim trudem skrzyżował po turecku grube nogi, Popielski wszedł na krzesło, stanął nad rywalem i rozpiął rozporek.

– Zobacz, co ja z nim teraz zrobię – powiedział do Renaty. – Jest moim niewolnikiem, moim psem!

Nie zrobił jednak nic. Zrobiło mu się niedobrze. Sapiąc jak astmatyk, zszedł wolno z krzesła i usiadł na nim. Bójko chichotał, Renata Sperling patrzyła na Popielskiego. Długo, poważnie i bezlitośnie.

– Zakochałam się w panu – mówiła cicho – już przed laty, kiedy byłam gimnazjalistką. Marzyłam o pańskich silnych dłoniach, śniłam o pańskich ustach. Pisałam do pana listy, które później skrycie paliłam. Wymykałam się w nocy z domu, by stać pod pańskimi oknami. Nie potrafiłam pana w sobie rozkochać, nie wiedziałam, jak to się robi. Był pan nieprzystępnym polskim profesorem, a ja sierotą, chudą, nerwową żydowską maturzystką… Samotną w tym przeklętym mieście, poniżaną przez nauczycielki, znienawidzoną przez koleżanki z bursy…

– A teraz to nabrałaś już łóżkowej mądrości, co? – Popielski gorzko się uśmiechnął. – Teraz już wiesz, jak rozkochać w sobie mężczyznę? To nie jest trudne. Kiedy taka lalka jak ty zatrzepoce rzęsami, mężczyźni już po sekundzie marzą tylko o jednym – o tym, by być twoją podwiązką.

– Opowiem coś panu o moich ostatnich tygodniach w Stratynie. – Renata jakby nie słyszała tej uwagi. – Hrabia Bekierski dobijał się godzinami do mojego pokoju. A potem, wiedząc, że patrzę przerażona przez dziurkę od klucza, czynił sobie zadość, kwiczał i strzykał na moje drzwi. Kiedy spotykał mnie na korytarzu, wyciągał natychmiast przyrodzenie i usiłował mi je wcisnąć w dłoń. Tego dnia, kiedy zniknęła jego matka, hrabina Bekierska, zrzucił spodnie, chwycił mnie za włosy i zmusił, bym uklękła. Na takie pohańbienie nie pozwolił jednak kamerdyner Stanisław. Odepchnął hrabiego, a ja uciekłam. Wtedy ruscy bandyci skrępowali Stanisława, a hrabia pociął mu twarz szpicrutą. Tego samego dnia w ścisłej konfidencji zawiózł mnie motocyklem do Rohatyna leśniczy z Pukowa. Do Lwowa dotarłam pociągiem. Tam zamieszkałam u Marianny Stoleckiej na Lindego. Zaprzyjaźniona z nią byłam od czasu, kiedy jeszcze przebywała w Stratynie jako rezydentka i dama do towarzystwa pani hrabiny. We Lwowie odnalazłam pana na uniwersytecie, przyszłam na wykład i błagałam, by pan odnalazł hrabinę. Ale pan odmówił. Po tygodniu postanowiłam wrócić do Stratyna po moje rzeczy. Wiedziałam od Stanisława, z którym często telefonowałam, że nic złego mnie tego dnia nie spotka… U hrabiego odbywał się bowiem dwudniowy mityng polityczny narodowców, na którym on sam miał zostać desygnowany na kandydata na posła na sejm z okręgu lwowskiego. I jak postanowiłam, tak zrobiłam. W drodze do Stratyna spotkałam pana na dworcu w Chodorowie. A potem stało się nad rzeką to, co się stało… Takie były moje dni. Ból i hańba…

– To wyborne, cha, cha! – Bójko roześmiał się prowokacyjnie. – Posiadłeś ją pan nad tą rzeką?

– Wróciłam do Lwowa na ulicę Lindego – ciągnęła spokojnie Renata. – A tam pewnego dnia zjawił się hrabia Bekierski. Marianka Stolecka od dawna była jego utrzymanką. Przychodził do niej pod nieobecność gospodyni. Nie wiedziałam nic o tym romansie, dopóki nie przyszedł na Lindego. Jak widać, największe nawet przyjaciółki mają przed sobą brudne tajemnice… Bekierski przyszedł zatem, był dla mnie bardzo miły i proponował opiekę finansową. Przeraziłam się, uciekłam wtedy i szukałam pana gorączkowo. Tylko pan mógł mi pomóc… Znalazłam pana w tej

podłej knajpie, chyba knajpie Gutmana, tak? Poszliśmy do séparé, w którym mój ukochany nauczyciel, pan profesor Popielski, zamienił się w znienawidzonego prześladowcę, w hrabiego Bekierskiego. Mój dystyngowany dżentelmen rzucił się na mnie i wepchnął mi łapy pod sukienkę. Co mogłam wtedy uczynić? Musiałam pojechać na Zadwórzańską – wskazała głową na Bójkę – do tej kreatury…

– No, no, nie przesadzaj, moja droga. – Kreatura rozpromieniła się. – Nie było ci u mnie znowuż tak źle…

– Nigdy nic mnie z nim nie łączyło, proszę mi wierzyć, on sam wystraszył się, kiedy mu dla ochrony powiedziałam, że jestem pod pańską opieką. – Renata nie podniosła głosu ani o ton. – Poznałam go wcześniej w Stratynie w ten sam dzień, kiedy zniknęła hrabina Bekierska. Rozmawiał z hrabią, mnie również o nią wypytywał. Zostawił mi wizytówkę, abym do niego zadzwoniła, gdybym się czegoś dowiedziała. Miałam tę wizytówkę cały czas w torebce… Wizytówkę z adresem… Sięgnęłam po nią w knajpie Gutmana… Był to jedyny adres, jaki znałam w tym mieście… Mogłam się udać tylko tam…

– Widzicie, ile może zdziałać głupia wizytówka? – Bójko śmiał się wesoło, rozsunął poły szlafroka i klepał się po sinych udach. – I przyszła do mnie zalękniona dziewczyneczka – szydził. – Zdesperowana i trochę uwodzicielska…

– To zboczone bydlę – Renata wciąż nie odrywała wzroku od Edwarda – powiedziało, że mnie przenocuje, pod jednym wszakże warunkiem: jeśli pozwolę się zahipnotyzować i dam mu alibi. Zgodziłam się. Hipnoza nie podziałała.

– Spałaś jak zabita! – krzyknął Bójko.

– Spędziłam u niego tylko jedną, nieprzespaną noc na kanapie, a rano wróciłam do Marianki Stoleckiej. Bekierski właśnie od niej wyszedł w interesach. Wtedy pan do mnie przyszedł z kwiatami i z przeprosinami. Dalej już pan wszystko wie. Nasz romantyczny wieczór, potem piękny poranek u tego dziwaka, pańskiego przyjaciela, a potem ja, wystraszona atakiem pańskiej choroby, uciekłam znów do tej podłej kreatury… Do kogo mogłam pójść? Do Marianki, która była kochanką hrabiego? Do pana? Nikogo innego nie znałam… O wielkiej zażyłości z moimi koleżankami gimnazjalnymi – roześmiała się drwiąco – już panu mówiłam, a zresztą one dawno powychodziły za mąż… Musiałam się gdzieś zatrzymać, wszystko przemyśleć… Bałam się pana, pańskiej choroby, bałam się całego świata…

Znów tu przyszłam. Obiecał mi, że nie będzie mnie już nękał. Był dla mnie nawet dobry. Prosił o drugie alibi. Już pan zna moją historię… – Podeszła do Popielskiego szybko i pocałowała w usta. – Nie odtrącaj mnie, Edwardzie – szeptała. – Chcesz, to wszystko dla ciebie zrobię! Możesz mnie nawet wziąć tutaj, w sypialni! Do ciebie należę, Edwardzie! Cofnę to alibi, ale nie mówmy o tym! Teraz nie chcę myśleć, teraz chcę mieć tylko ciebie… Teraz cię czymś obdarzę…

Renata uklękła i wpatrywała się w niego. Jej zielone oczy zrobiły się ciemne.

– Już wczoraj rano mnie czymś obdarzyłaś – odezwał się wreszcie Popielski. – Twój hojny dar to syfilis od Luby Bajdykowej via Leon Bójko.

Renata Sperling wstała, a potem z trudem wytaskała z sypialni ciężką walizę. Po chwili na schodach rozległ się stukot jej pantofli.

[66] Publicznie.

VIII

POPIELSKI POCZUŁ, ŻE POT PRZESTAJE MU PŁYNĄĆ PO PLECACH. Zdjął zatem koszulę, włożył rękę pod mokry opatrunek i chusteczką otarł – nie bez bólu – twarde strupy i rany nie pokryte jeszcze całkiem błoną zagojenia. Podszedł do kranu i nalał sobie wody. Potem zapalił papierosa i przyglądał się dłuższą chwilę swojemu przeciwnikowi.

– Już jej nie ma, Bójko. W siną dal odeszło pańskie alibi…

– Wróci tu, zapewniam pana. – Matematyk znów otulił się szlafrokiem. – One zawsze wracają.

– Nie wróci i nie będzie żadnego alibi. – Popielski usiadł za biurkiem. – A pan tu zostanie z tymi kwadratami magicznymi – postukał palcem po kartkach papieru – które ja nazwałbym nieco inaczej. W języku prawa to są dowody pańskiej zbrodni, Bójko. Zabił pan Lubę Bajdykową i Liję Kochównę, a ja pana za to właśnie aresztuję. I zaciągnę do kryminału, a tam wrzucę do najciemniejszej i najbardziej zakaraluszonej celi. I wie pan, co wtedy zrobię? Zostawię tam pana na dłużej i nie będę się panem wcale zajmował.

– A co pan będzie wtedy robił? – Bójko wciąż się uśmiechał. – Gdy ja będę urządzał wyścigi karakonów?

– Odszukam wtedy twoje alibi. – Popielski z przyjemnością zaciągnął się papierosem. – Znajdę Renatę Sperling i z nią porozmawiam. Kilka

minut zupełnie mi wystarczy. A ona odwoła tę głupią wyliczankę – zaczął mówić cienkim głosem – „dnia tego a tego towarzyszyłam panu Leonowi Bójce et cetera”. A jeśli nie wystarczy mi tych paru minut na przekonanie Renaty Sperling, to poświęcę jej parę dni, może tygodni, może miesięcy… Ale w końcu twoje alibi pryśnie.

– Jesteś bardzo uparty! – Matematyk z jakimś złośliwym uśmiechem również przeszedł na formę „ty”.

– To złe słowo, Bójko. – Popielski przekręcił kilkakrotnie sygnet na palcu. – To bardzo nieodpowiednie słowo. A wiesz, jakie jest właściwe? Greckie słowo triops. Otóż oznacza ono „posiadający trzecie oko”. To jestem ja. Nie rozglądam się na boki, idę tylko w tę stronę, w którą patrzy moje policyjne oko. A ono mówi: Zabił matematyk? Masz przed sobą matematyka! Zabił zboczeniec? Masz przed sobą zboczeńca! Morderca wysłał kwadraty magiczne, w których zaszyfrował informacje o zabitych kobietach? Oto w biurku zboczeńca matematyka znalazłeś właśnie te kwadraty! Czego chcesz więcej? Niczego! – Odetchnął po tym solilokwium [67]. – No, ubieraj się, Bójko, i nie próbuj żadnych sztuczek! Pamiętaj, cały czas na ciebie patrzę moim trzecim okiem.

– Wierzysz tej kurwie, że jestem zboczeńcem? – Mężczyzna siedział bez ruchu. – Wierzysz, że naprawdę nie miała ze mną do czynienia? Chcesz, abym ci udowodnił, że się ze mną gziła jak bura suka? Powiem ci zatem, co ona najbardziej lubi w łóżku, a ty sam wtedy uznasz, czy kłamie, czy mówi prawdę! Ona lubi, jak się jej wciska…

Popielski powstał i chwycił Bójkę za kędziory, które się bujnie krzewiły po obu stronach jego czoła. Szarpnął nim tak mocno, że prawie go uniósł w powietrzu, przyciągną do biurka, po czym rozgniótł mu nos o śliski blat.

W dłoniach tkwiły mu pojedyncze wyrwane kłaki. Podszedł do zlewu i umył ręce pod kranem, a Bójko wciąż leżał na biurku i cicho jęczał, trzymając się oburącz za głowę. Kałuża krwi z jego rozbitego nosa zbliżała się do kartek leżących na stole i do otwartej Biblii. Popielski odsunął księgę, a trzy kwadraty magiczne wsunął do koperty, którą był znalazł w szufladzie biurka. Uczynił to ostrożnie, by nie zamazać śladów daktyloskopijnych. Potem wciągnął koszulę na poraniony grzbiet.

– Idziemy! – powiedział, zapinając guziki. – Włóż lepiej spodnie i nogawki wciśnij w skarpety. Zrób sobie pumpy. To nic miłego, jak karakony i pająki w celi łaskoczą odnóżami gołą skórę.

– Identyczne kwadraty magiczne Lii Kochówny i Luby Bajdykowej ma jeszcze ktoś inny, nie tylko ja. – Bójko westchnął, wciągając krew kapiącą mu z nosa. – Ktoś, kto jest również matematykiem. To dopiero zboczeniec! Studiowałem z nim razem w Kazaniu…

***

– Nie przypominam sobie pana – mruknął Józef hrabia Bekierski. – Ale może pan chodził tylko na niektóre wykłady?

– Chodziłem na wszystkie – Bójko założył nogę na nogę – i pamiętam pana bardzo dobrze. Na przykład jako jeden z nielicznych nie używał pan chyba nigdy papieru do przeprowadzania obliczeń.

W salonie pałacu w Stratynie panował półmrok, który rozmazywał kontury przedmiotów. Pełne ozdób i zawijasów ramy luster wiszących pomiędzy oknami zlewały się w jednolite elipsy, skórzane fotele tworzyły lite bryły, a twarze portretowanych przodków na ogromnych obrazach były jedynie bladymi plamami.

Bekierski upił trochę wina z kieliszka, po czym wstał i oparł się o ramiona dwóch siedzących obok niego brodatych mężczyzn w mundurach carskiej armii.

– Twierdzisz, że kłamię, obdartusie? – zasyczał.

– Pamiętam również – Bójko wobec braku jakiegokolwiek poczęstunku nie miał czym zająć dłoni – że był pan okrutnikiem, znienawidzonym przez wszystkie kazańskie kurwy. Ciekaw jestem, czy o tym epizodzie z pańskiego życia wiedzą panowie z pańskiej partii, ze Stronnictwa Narodowego.

– Ciebie za to lubiły. – Bekierski uśmiechnął się. – Pamiętasz szkolenie wojskowe pod koniec studiów, kiedy nas uczono walki wręcz i innych sztuczek? Ktoś mi mówił później, że ukradłeś bat ze stajni, a potem jakiejś burdelmamie kazałeś się okładać nim po grzbiecie. Co, sobaczyłeś wtedy, oj, sobaczyłeś! Lubisz to, gołąbeczku! Sasza! – zwrócił się do jednego ze swych towarzyszy. – Daj tu szampańskiego dla mojego kolegi ze studiów! Wypijmy, a potem muszę się z tobą pożegnać, słowiczku! Mam moc roboty.

– Proszę o kwadrans. – Bójko lekko drgnął, gdy wystrzelił korek z szampana. – Zwłaszcza że chciałem szanownemu koledze zaproponować coś, co sprawi, że kolega poczuje się jak bóg…

– Ja się często czuję jak bóg, zwłaszcza wtedy, gdy odbieram od moich poddanych hołd w naturze. – Bekierski nadstawił kieliszek pod strumień musującego płynu. – Jestem jak senior, któremu przysługuje ius primae noctis. Tyle boskości mi wystarczy… A teraz streszczaj się ze swoją propozycją, mój milutki, masz czas tylko do końca tej butelki szampańskiego.

– Pamięta kolega profesora Asłanowa? – Bójko odstawił kieliszek. – Tego trochę Tadżyka albo Uzbeka, pamiętasz?

– Pamiętam. Wykładał topologię i elementarną teorię liczb. Uchodził za wariata…

– Zajmował się również nieskończonościami Cantora… Tak, niektórzy uważali go za szaleńca, ponieważ nie ukrywał, że jest imiesławcem. Korespondował również z Iwanem Paninem…

– Z kim?

– Z Iwanem Paninem. – Bójko odpalił papierosa od długiej zapałki podanej mu usłużnie przez jednego z Rosjan. – Tym, który znalazł w hebrajskim tekście Biblii liczne uderzające zbieżności liczbowe…

– A tak, już wiem. – Bekierski spod przymrużonych powiek wpatrywał się natarczywie w rozmówcę. – Prowadził obliczenia gematryczne i znalazł rzekomy wzór, wedle którego powstała Biblia….

– Podczas mojej pierwszej wizyty, którą złożyłem profesorowi Asłanowowi – Bójko wstał i zaczął krążyć po salonie, czujnie obserwowany przez pretorianów hrabiego – wie kolega, mówię o tej wizycie zapoznawczej, którą nowy student musi złożyć każdemu profesorowi wydziału…

– Śmiertelnie nudne były te wizyty…

– Moja wizyta u Asłanowa nie była taka nudna. Kiedy się dowiedział, że jestem głęboko wierzący, wprowadził mnie w świat liczb i hebrajskich liter… Następnego dnia zapisałem się na wykłady ze starohebrajskiego u orientalisty doktora Basawoja. Przez dwa lata studiowałem hebrajszczyznę, a z Asłanowem zgłębiałem gematrię na privatissimach… Czytaliśmy Biblię i liczyliśmy słupki. Nie wierzyłem w tajne kody, ale nie mogłem się oderwać od tych obliczeń i nadziwić zbieżnościom… Były tak zaskakujące, że zaczęliśmy nawet szukać uogólnień i tworzyć wzory… Potem profesor Asłanow rzeczywiście trafił do psychuszki, a ja…

– Nie interesują mnie dzieje twojego życia – przerwał mu impertynencko Bekierski. – Jaką masz dla mnie propozycję? Odpowiadaj jednym zdaniem, jednym pojedynczym zdaniem, bo się śpieszę!

– Potrzebuję pańskich pieniędzy.

– Po co?

– By stworzyć maszynę liczącą.

– Co ona ma liczyć?

– Litery hebrajskie w Biblii.

– Jaki będzie skutek tych obliczeń?

– Skutkiem są kwadraty magiczne, które…

Bekierski rzucił się na gościa i uderzył go kantem dłoni w szyję. Bójko zsunął się z fotela i zaczął charczeć. Nie mógł zaczerpnąć tchu. Przy wargach kiwała mu się nitka śliny.

– Jednym pojedynczym zdaniem, ty sabako [68]! – wrzasnął Bekierski. – Bez zdań podrzędnych! Bez żadnych „które”!

Rozsiadł się na kanapie i rozrzucił szeroko nogi w butach do konnej jazdy. Jego przyboczni stali obok ze znudzonymi minami. Bójko kaszlał i ze świstem wciągał powietrze.

– Po co ci te kwadraty magiczne? Mów szybko, bo mi się śpieszy!

– W nich jest kod do liczb Charona! – wystękał Bójko.

***

– Do czego? – zapytał Popielski.

– Ja tak je nazwałem. – Bójko ściszył głos tak mocno, że Popielski ledwo go rozumiał. – Nazywanie nowych rzeczy to przywilej odkrywcy. Pamięta pan z mitologii, w jaki sposób Charon został oszukany przez Orfeusza?

– Owszem. Orfeusz tak pięknie grał na lirze, że przewoźnik dusz osłupiał i przepuścił go do Hadesu, mimo że przybysz był żywym człowiekiem i nawet nie uiścił obola za przejazd… Ale co ma do rzeczy liczba? Jaka znowu liczba? – Detektyw usiadł, wyraźnie zaciekawiony. – Przecież Charon został oszukany muzyką, nie liczbą.

– A co pitagorejczycy twierdzili na temat muzyki, mój panie?

– Ma pan rację. – Popielski przez chwilę zapomniał, że rozmawia z podejrzanym, i dał się ponieść akademickiej dyspucie. – W istocie liczbą można opisać muzyczne interwały. Tonacja zależy od liczby. Tonacja, a zatem muzyka, według Pitagorasa jest po prostu liczbą.

– Tak, drogi panie. – Bójko odsapnął. – Jest ona liczbą. Umiejętnie, sztucznie i precyzyjnie zestawione przez Orfeusza liczby chwilowo pozbawiły Charona władzy nad duszami. Stały się przepustką, która umożliwiła śmiertelnemu muzykowi i poecie wtargnięcie do świata znanego tylko bogom. Liczby zniweczyły na chwilę moc bogów, obłaskawiły śmierć. A w moim ujęciu liczby stały się przepustką do wiedzy danej tylko Bogu, czyli do znajomości daty ludzkiej śmierci. Ściśle mówiąc, uczynił to ciąg liczbowy, odkryty przeze mnie i nazwany ciągiem Charona.

– A skąd pan wziął ten ciąg? – Popielski wciąż używał formy „pan”.

– Stąd. – Matematyk uderzył dłonią o otwartą Biblię. – Poprzez żmudne studia biblijne.

Detektyw rozejrzał się po mieszkaniu. Czyste, pedantycznie posprzątane. W zlewie talerze ułożone od najmniejszego do największego, w szafie w sypialni równo złożone koszule. Podłoga w kuchni wypucowana

piaskiem do białości. A wśród tej sterylności spocony grubas w starym szlafroku, w kraciastych skarpetach, z włosami na skroniach sterczącymi jak rogi. W mózgach szaleńców panuje nieprawdopodobna pedanteria – przypomniał sobie słowa doktora Pidhirnego – ale my dotąd nie mamy klucza, by ją zrozumieć.

– Udzieliło się panu szaleństwo Asłanowa i Panina? – zapytał cicho.

– Mówi coś panu pojęcie „liczby szumiące”?

– Słyszałem gdzieś tę nazwę. – Popielski zamyślił się. – Są jakoś definiowane przez swoje rozwinięcia dziesiętne?

– Tak – odparł Bójko. – W rozwinięciu dziesiętnym takiej liczby zawarty jest każdy skończony ciąg liczbowy. Liczby następują po sobie, każda po każdej, cała magma liczb. A jeśli pod nie podstawimy litery, to co wtedy? Wtedy będziemy mieli magmę liter, wszystkie możliwe ich kombinacje! Mogą się nam ułożyć w sensowne zdania, a zdania w sensowne opowieści. Myśli pan o niewielkim prawdopodobieństwie tego zdarzenia? Owszem, brzmi to trochę tak, jakby małpa, uderzając w klawisze, wystukała po jakimś czasie Eneidę. Nie chodzi tu jednak o prawdopodobieństwo, tylko o samą istotę rzeczy. Otóż jeśli te ciągi przedstawimy sobie w postaci liter, to de facto jest tam ukryta każda możliwa opowieść, znajdziemy tam treść każdej napisanej i nie napisanej książki, a co dla nas najistotniejsze – jest w nich historia każdego z osobna ludzkiego żywota. To, że takie liczby istnieją, a nawet to, że każda liczba w pewnym sensie jest szumiąca, wiedziano już od dawna. Z tej konstatacji jednak nic praktycznego nie wynika, ponieważ nie potrafimy wskazać takiej liczby, zapisać jej w postaci liter i znaleźć interesującego nas ciągu. Na pozór w tym chaosie nie ma i nie może być żadnego porządku. A ja ten porządek znalazłem, odkryłem liczby Charona… Znalazłem początek ciągu…

– W kwadratach magicznych?

– Tak, właśnie tam. Bardzo trudno znaleźć kwadraty magiczne. Na paskach papieru trzeba wypisywać z różnych ksiąg wersety biblijne o równej liczbie liter. Potem przesuwać te paski jeden pod drugim i szukać macierzy. I tak w nieskończoność… Musiałem rzucić pracę w urzędzie meldunkowym, bo nie miałem czasu na studia gematryczne. Przez trzy lata znalazłem tylko trzy kwadraty magiczne. Tylko trzy, rozumie pan? Potrzebna mi jest maszyna licząca i przynajmniej dwaj matematycy do pomocy.

***

– Żartujesz!? – Bekierski masował dłoń po uderzeniu. – Dwadzieścia tysięcy jednorazowo na maszynę i dwie osoby ze stałą pensją przez dwa lata!? Za maszynę liczącą hebrajskie frazy i zestawiającą je w kwadraty?

– Tak. – Bójko sięgnął po szampana, ale strażnik hrabiego uderzył go lekko w dłoń, mówiąc „Uże nielzja [69]!”.

– Znalazłeś tylko dwie osoby, do których życia i śmierci się dobrałeś poprzez ich kwadraty magiczne, tak?! – Bekierski studiował notatki Bójki. – Obie mają gematrię 68. To może być zupełny przypadek! Mam wydać masę pieniędzy, opierając się na tej być może przypadkowej zbieżności? Na podstawie dwóch wypadków jednostkowych mam wierzyć, że istnieje reguła ogólna? – Hrabia Bekierski wstał. Sięgnął do kieszeni po zegarek, otworzył złotą kopertę i słuchał dźwięcznych i lekkich uderzeń pozytywki. – Odpowiem panu słowami największego pisarza ludzkości, Fiodora Dostojewskiego – powiedział. – „Łaskawy pan wybaczy, ale takich interesów nie prowadzimy”. Sasza – zwrócił się do jednego ze swoich i uczynił charakterystyczny gest „won!”.

– Skłamałem, znalazłem w Biblii jeszcze dwa kwadraty magiczne! – zawołał szybko Bójko. – Poszedłem tropem gematrii 68. Jeden dotyczy mnie samego, a drugi… Ten drugi dotyczy ciebie! Nazwisko brzmi „Chaja Lejbach”. Znasz je? Nie, nie znasz! Teraz ono brzmi „Hanna hrabina Bekierska”! Jak sądzisz? Czy ten kwadrat zainteresuje twoich gości ze Stronnictwa Narodowego? Czy oni wiedzą, że ich kandydat na posła jest Żydem, bo z matki Żydówki?

Bekierski powiedział coś szybko po rosyjsku. Jego zbiry chwyciły Bójkę pod ręce i ruszyły korytarzem. Noski butów ciągniętego mężczyzny zdzierały się na kamiennych płytach. Krzyk niósł się po pałacu. Potem obijał się już tylko o ściany małego korytarzyka, a szpice butów stukały po stopniach schodów do piwnicy.

W ciemności rozbłysło światło. Pretorianie hrabiego wcisnęli ramiona i nogi Bójki w dwie obręcze połączone ze sobą łańcuchem. Zakneblowany matematyk poruszał się na posadzce jak przewrócony chrabąszcz. Nie mógł wstać. Brzęczał kajdanami, a na jego kneblu pojawiła się krwawa piana.

Hrabia Bekierski podszedł do leżącego i rozpiął rozporek. Jeden z jego ludzi wyjął knebel z ust Bójki i ścisnął go za nos. Leżący otworzył usta, a hrabia je natychmiast napełnił.

Pretorianin uskoczył. Nie chciał być pochlapany moczem Bekierskiego.

***

– TRZYMAŁ MNIE W PIWNICY KILKA DNI. A w tym czasie przeszukał moje mieszkanie i przywłaszczył sobie moje badania! – Bójko chwycił się za skronie. – Musiałem je później pracowicie odtwarzać! Mógłbym go zabić, ale nie uczynię tego. Zamiast tego wydaję go teraz panu! W jego gabinecie znajdzie pan kwadraty magiczne. To dowody zbrodni na obu kobietach. Bekierskiego czeka stryczek. Moje badania wrócą do mnie, a pan triumfalnie powróci do pracy w policji. Chyba że zechcesz pracować ze mną nad wiekopomnym dziełem…

Bójko sięgnął po papierosa i chciwie zapalił. Łapczywie łykał dym. Oczy zaszły mu jakimś bielmem.

– Kto jest mordercą Luby Bajdykowej i Lii Kochówny? – zapytał Popielski. – Pan czy hrabia?

– Ach, to pana męczy? – roześmiał się nagle Bójko. – Ależ czy to ważne, panie komisarzu? Niech pan aresztuje Bekierskiego! Będzie miał pan dowody zbrodni, czyli mordercę, nieprawdaż, mon cher?

Popielski powstał i wytrącił papierosa z ust Bójki.

– A dlaczego ciebie miałbym nie zaaresztować, co? U ciebie też znalazłem dowody zbrodni!

– Zaaresztujesz Bekierskiego, a mnie zostawisz w świętym spokoju. Ja zaś ci się odwdzięczę dubeltowo. Nauczę cię kodowania liczb Charona, przecież nie wiesz do tej pory, jak to się robi, dlaczego wybrałem Biblię hebrajską, nie łacińską, dlaczego szukam kwadratów o boku równym sześciu jednostkom, a nie na przykład ośmiu! Większości tajemnic nie znasz, a ja ci je wyjawię dopiero wtedy, kiedy Bekierski zawiśnie.

– A może mnie nie interesują liczby Charona?

– Masz ścisły umysł. – Bójko się rozpromienił. – Pomyśl zatem. Sytuacja ( a): Bekierski zostaje skazany za morderstwo, sytuacja ( b): ja zostaję skazany. W ( a) spływa na ciebie sława i chwała, po czym wracasz do pracy w policji, w ( b) dzieje się to samo. A zatem a = b. Ale sytuacja ( a) ma jednak przewagę, bo wiąże się z czymś jeszcze – nazwijmy to ( c) – zostajesz wprowadzony w teorię czegoś, co może, choć wcale nie musi, odmienić twoje życie. W sytuacji ( b) tego nie masz. Wybieraj zatem: co jest lepsze: a + c czy samo b, przy założeniu, że a = b? Masz jeszcze jakieś pytania?

Popielski podszedł do okna i wyjrzał. Na trawniku jakiś elegant w kaszkiecie i w rozpiętej kamizelce opierał się o ławkę i śpiewał miejską balladę o bijatyce w szynku Cymermana. Przypatrywała mu się z podziwem dziewczyna, w której rozpoznał praczkę. Inny mężczyzna leżał na kocu i nalewał z kanki piwo do szklanek. Trawa była gęsta i soczysta – taka sama jak ta rosnąca nad brzegami potoku w majątku hrabiego.

Popielski odwrócił się do Bójki i uśmiechnął się szeroko.

– Ma pan rację, panie doktorze – powiedział łagodnie. – Sytuacja ( a) ma dwie zalety: wracam do policji i poznaję najważniejszą tajemnicę człowieka – tajemnicę liczb Charona, czyli tajemnicę śmierci. Są jeszcze dwie zalety sytuacji ( a), a zatem do pańskiej nierówności a + c > b dopisuję d i e, a zatem otrzymujemy a + c + d + e > b. Już wyjaśniam: d to zemsta.

– Jaka zemsta? Za co? – Bójko wytrzeszczył oczy.

– Opiszę ją w znienawidzonym przeze mnie języku – po rosyjsku.

– Słucham. Znam rosyjski.

– Smatri, graf, on zesrałsja. Eta morda kirpicza prosit!

– „Patrz, hrabio, on się zesrał – tłumaczył cicho Bójko. – Ta morda prosi się o cegłę”. Nic z tego nie rozumiem…

– Nie zrozumiesz również e, a e = pięć tysięcy złotych.

Popielski powiedział to bardzo powoli. Następnym jego ruchom towarzyszył już niezwykły pośpiech. Kiedy pięć minut później opuszczał mieszkanie Bójki, ten wisiał w swojej sypialni. Zakneblowany i przykuty kajdankami do żyrandola.

[67] Monologu.

[68] Psie.

[69] Już nie można.

## IX

NAD LWOWEM ZAPADŁA DUSZNA BEZGWIEZDNA NOC. Ludzie otwierali okna i oddychali głęboko. W dzielnicach zwarto zabudowanych kamienicami wciągali w płuca zgniłą woń piwnic i żar rozpalonych za dnia murów. W usta i w kąciki oczu pchały się małe muszki, na wilgotnych szyjach lądowały tnące komary, ze szpar kuchennych podłóg wypełzały szczypawice. Mężczyźni rozpinali mokre koszule, kobiety unosiły bezwstydnie poły sukienek, dzieci lunatykowały po kuchniach w poszukiwaniu wody i kompotu. Na balkonowych

prowizorycznych posłaniach leżała skłębiona pościel, w otwartych oknach wisiały namoczone prześcieradła, a na podwórkach za śmietnikami leżały bezpańskie psy ze smętnie wywieszonymi ozorami. Mieszkańcy dzielnic willowych wdychali czerwcowe aromaty ogrodów, siedzieli na gankach z wachlarzami i ze szklaneczkami kwasu chlebowego, a zasypiali w chłodzie i przewiewie letnich domków ogrodowych o oknach zabezpieczonych siatką przed insektami.

Taki właśnie parterowy domek stał na posesji inżyniera Mikołaja Bajdyka. Nie był on jednak ani chłodny, ani przewiewny, a zamknięte na stałe okna zamiast siatki miały grube kraty. Właściciel, znany bogacz, skąpiec i samotnik, kazał tu zwozić ze swej fabryki beczułki ze zużytym olejem pędnym i z zanieczyszczoną parafiną. Nie wiedział, jak wykorzystać te bezużyteczne odpady, ale myśl o wylaniu ich budziła w nim gwałtowny sprzeciw.

Dziś po raz pierwszy znalazł dla nich zastosowanie. Analizował je właśnie teraz, siedząc nocą w zapchanym beczułkami prowizorycznym magazynie. Potężne przedramiona wystające z podartego podkoszulka leżały płasko na porysowanym nożem blacie stołu. Jego oczy wpatrywały się w wiszące u powały ciało, do którego boków przylegały ciasno związane ręce. Kiwało się lekko, chwilami kręciło się wokół własnej osi, a kosmata lina skrzypiała przeraźliwie.

Zanim inżynier Bajdyk zakneblował Bójkę, uważnie go wysłucha. Dowiedział się wszystkiego, czego chciał, o romansie matki z biednym matematykiem. Ten, wysmarowany od stóp do głów olejem pędnym, patrzył na zapałki leżące na stole i mówił nader chętnie. Opowiedział, jak pewnego dnia przyszedł do Luby Bajdykowej, by poprosić o informacje o Lii Kochównie. Prostytutka zdradziła mu bowiem, że korzysta często z usług Bajdykowej i że nawet posiada ułożony przez nią horoskop. Bójko kłamał, że Kochówna jest jego krewną, że się o nią martwi i dlatego prosi o datę jej śmierci. Oferował pieniądze i mówił o swoich matematycznych odkryciach, które mogą być zastosowane w prorokowaniu. Luba Bajdykowa wcale się jednak nie rozgniewała na natręta. Była wtedy w dobrym humorze, chyba z powodu kwiatów, które Bójko jej wręczył, by zdobyć przychylność. Tak, od dawna nikt jej nie dał kwiatów. Najpierw trochę się z nim droczyła, a potem spojrzała na niego przeciągle, jej wielkie oczy pociemniały i powiedziała mu wszystko, co wyczytała z horoskopu Lii Kochówny. Patrzyła na niego z lekkim uśmiechem. Bójko wiedział, że od

dziś zrobi dla niego wszystko. Nie trzeba z nią było nawet obcować, wystarczyło przytulić.

Inżynier Bajdyk wpatrywał się teraz w głowę matematyka zwisającą nad beczką oleju pędnego i myślał o uczuciach matki. Przypomniał mu się jeden z jej nielicznych listów, adresowanych nieudolnym pismem i wysyłanych na naftowe pola w Teksasie. „Poznałam miłego pana. Trochę młodszy ode mnie". Bajdyk wspominał teraz jej słowa i ze spokojem wpatrywał się w czubek jego głowy. W rozległy płat skóry porośnięty włosem przypominający italski but. „Nazywam go moją Myszką" – pisała matka.

Spojrzał teraz na nogi Bójki przymocowane pod sufitem i analizował słowa, które usłyszał, zanim jeszcze go zakneblował.

– Za co chce mnie pan torturować? Że zabiłem tę młodą Żydówkę? Była pańską kochanką? Nie, widzę, że nie za to… Za to, że zabiłem pańską matkę… No cóż… Ona wiedziała, że niedługo umrze. Prosiła, abym skrócił jej cierpienie. Gwóźdź wbity w mlecz zabija momentalnie, a ja wiedziałem, jak dotrzeć do jej mlecza. Znam się trochę na anatomii… Zabiłem z miłości. Zaprosiłem ją na ten strych… „Czeka tam na ciebie niespodzianka" – zapewniałem… A tam czekała na nią dobra śmierć… Któż mógł ją bezpieczniej przewieźć na drugi brzeg niż ja – człowiek, którego na tej ziemi najbardziej ukochała?

„Nie powinien był tego mówić – myślał Bajdyk, patrząc teraz w mrugające oczy Bójki. – Nie powinien mówić, że moja matka kochała bardziej jakiegoś przybłędę niż rodzonego syna". W jego przeklętych słowach usłyszał nocne pojękiwania matki i sapanie kolejnych „wujków". Usłyszał swój płacz, gdy budził się nocą i wspinał na jej łóżko, z którego zrzucała go jednym kopnięciem.

Ciężko oddychając, wszedł na stół, który zatrzeszczał i rozkołysał się pod jego ciężarem. Sięgnął po linę, rozplątał węzeł i zaczął powoli opuszczać ciężar. Głowa Bójki zbliżała się do powierzchni oleju. Wiszący patrzył na Bajdyka rozpalonym wzrokiem – na jego stopy pokryte brudem, który wżarł się już w skórę, na goły brzuch wylewający się znad paska spodni, na siwą szczecinę na policzkach, na zrogowaciałe palce rytmicznie popuszczające linę.

„Tak wygląda Charon" – pomyślał Bójko i zanurzył się w ciemnych odmętach Styksu.

X

POPIELSKI ODSUNĄŁ SZACHOWNICĘ, na której od godziny ćwiczył rzadko już dziś rozgrywaną partię włoską. Odsłonił okno. Poranek był dość chłodny i rześki. Przez drzwi gabinetu słyszał, jak Hanna na jego polecenie napuszcza wody do wanny i zaczyna swoje codzienne godzinkowanie – głosem zrazu cichym i zawstydzonym, który za chwilę spotężnieje i wywoła u Leokadii przelotną migrenę.

Plan, który powziął w mieszkaniu Bójki, był bardzo ryzykowny – jak gra kombinacyjna, którą zastosował w ostatniej partii z samym sobą. Rozsądek podpowiadał mu, by oddać domniemanego mordercę policji, honor i złożona obietnica – by go oddać Bajdykowi. Z tym drugim wiązało się zagrożenie, że w razie wykrycia całej intrygi przez Kocowskiego na zawsze może się pożegnać z pracą w policji, nie mówiąc już o możliwym procesie sądowym za utrudnianie pracy organom porządku publicznego. Miało ono jednak niezaprzeczalny plus: dotrzymałby słowa danego inżynierowi, ocalił swój honor i zainkasował od niego potężne, „generalskie” honorarium. „Mam zatem mordercę i wracam do policji! Nawet jeśli nie potwierdzi on swej winy na oficjalnym policyjnym przesłuchaniu i wbrew mocnym poszlakom będzie się upierał przy swej niewinności, to i tak »sprawa Hebraisty«, a może lepiej »sprawa kwadratów magicznych«, będzie moim sukcesem. Wina Bójki jest aż nadto oczywista: znał obie ofiary, z jedną i z drugą łączyły go stosunki intymne, zdjęcia pornograficzne i sam wygląd predestynują go do miana zboczeńca. A przede wszystkim tworzył kwadraty magiczne, swoiste nekrologi swoich ofiar! Czegóż chcieć więcej? No, może tylko przekonującego motywu… Ale to sprawa sądu, nie moja. Ja swoje zadanie wykonałem: dostarczyłem podejrzanego. Co mnie to obchodzi, czy sąd uzna go za szaleńca, który morduje, by potwierdzić wydumane i nie do końca jasne teorie, czy za wyrachowanego zbrodniarza, który z tychże powodów na zimno zaplanował swe zbrodnie? Ważne, by nie puszczono go wolno, a to jest niemożliwe! Co mnie do tego, jaki dostanie wyrok, o ile tylko go skażą? Jutro usłyszę triumfalne dzwony – myślał w uniesieniu – kiedy będę ściskał rękę komendantowi Grabowskiemu wręczającemu mi policyjną blachę. A potem miną dni, miesiące, a może lata, a ja cierpliwie będę czekał, aż nadejdzie właściwy moment na złożenie nieoczekiwanej nocnej wizyty Józefowi hrabiemu Bekierskiemu”.

Wszedł do łazienki, zrzucił na podłogę lekki jedwabny szlafrok i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Złamany nos upodabniał go do boksera. Odwrócił się bokiem do lustra i z zadowoleniem stwierdził, że brzuch stracił swoją wypukłość. Stanął tyłem do swego odbicia, podniósł dłoń z małym lusterkiem i oglądał w nim przez chwilę plecy. Były pokryte sinoróżowymi wypukłymi bliznami, a brzegi ran pozostawionych przez zardzewiałe kolce drutu przypominały osobliwy rdzawy tatuaż. Wszedł do wanny, usiadł na piętach i odkręcił kurek prysznicu.

W przedpokoju zadzwonił telefon, Hanna przerwała śpiew. Popielski zakręcił kran. Usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

– To bardzu ważny – szepnęła Hanna do dziurki od klucza. – Dzwoni pan Bajdyk. On musi trochi zapaćkany [70]… Ja jemu powiedziała…

– Już wychodzę! – krzyknął. – Niech Hanna odłoży słuchawkę na stolik! Słyszy Hanna? Na stolik, nie na widełki!

Włożył szlafrok i wyszedł do przedpokoju, zostawiając za sobą mokre ślady ku zgrozie Hanny, która patrzyła na wszystko z niedowierzaniem.

– Teeen, jak mu taaam, cholera, teeen Bójko… Zdechł jak pies – Popielski usłyszał bełkotliwy głos Bajdyka. – Nie wieem, jak to się stało…

– Przyznał się do winy?

– Taak, i jedną, i druugą ukatruupił… A pootem gadał, że winni są dzieeennikarze…

Winni czego?

– No jak, kurwa, czego?! – Bajdyk w swym krzyku przestał przeciągać sylaby. – Ich śmierci…

– Wytłumacz to bliżej!

Rozległ się sygnał ciągły. Popielski wcisnął widełki.

– A widzi pan, że to jakiś nachirany [71] łachabunda [72]! – krzyknęła Hanna triumfująco. – Bih me! [73] A pan takich śladów tu mokrych narobił!

„Współudział!” – szepnął jakiś demon w głowie Popielskiego. Dostarczenie mordercy ofiary to współudział. Zagrożony karą wielu lat więzienia. Oparł się o ścianę i zamknął oczy. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Teraz trzeba dostarczyć sądowi innego zabójcę. Trzeba ocalić samego siebie.

Sięgnął po telefon. Połączył się z Bajdykiem i wypowiedział jedną tylko frazę.

– Podwaja pan „generalskie” honorarium.

– Taaak jest, szefuuńciu. Dziesięć tysiaaaczków – odpowiedział inżynier.

– A potem jeszcze więcej. Dużo więcej, rozumiesz? Bardzo dużo kosztuje wywinięcie się od stryczka.

– Ile tyyylko chcesz…

– Będę niedługo. Nie ruszaj się z domu.

Popielski starannie się ogolił i jeszcze staranniej ubrał. Włożył jasnopopielate popelinowe spodnie i beżowe trzewiki z guziczkami. Perłowego krawata nie zaciągał do końca pod kołnierzykiem białej koszuli. Na ramiona narzucił lnianą marynarkę, na głowę – biały włoski kapelusz.

– Dokądże idziesz, że tak się wystroiłeś? – Leokadia minęła go z filiżanką pachnącej kawy i usiadła w salonie. – Jednak zadzwoniła twoja piękna Renatka?

– Jestem umówiony – odparł Edward. – Ale nie z Renatą Sperling… Z kimś o wiele mniej powabnym i nie przywiązującym wielkiej wagi do higieny osobistej. A wcześniej muszę napisać na maszynie pewien list… Wiesz, jak uwielbiam stukanie w klawisze. – Uśmiechnął się.

Leokadia spojrzała uważnie w zawartość swej filiżanki. Była zbyt dystyngowana, by pokazać kuzynowi swe zmieszanie. Znała go od dziecka i wiedziała, że często kłamie, by ją zdenerwować. Wymyśla niestworzone historie, by ją pognębić, a potem śmiać się z tego pognębienia jak z najlepszego dowcipu.

Podniosła na niego wzrok. Jego piwnozielone oczy nie były szydercze, nie były roześmiane. Były takie jak zawsze. Spokojne, nieprzeniknione i zmącone bezsennością. Nagle nabrała pewności, że tym razem kuzyn jej nie okłamał.

Nie myliła się. Popielskiego czekał bardzo pracowity dzień.

[70] Pijany.
[71] Pijany.
[72] Włóczęga.
[73] Na Boga!

## XI

JÓZEF HRABIA BEKIERSKI GWAŁTOWNIE SIĘ OBUDZIŁ. Zaczerpnął głęboko tchu i wciągnął do płuc rozgrzane powietrze, które trąciło sianem i nawozem. Do stodoły wpadały pasma światła, rozświetlały

kłęby wirującego kurzu i zamieniały się w jasne słupy, które zawsze mu się kojarzyły ze strumieniem wysyłanym przez filmowy projektor.

Te filmowe asocjacje skierowały jego myśli w stronę tajemnej kinematografii, która go najbardziej ekscytowała i którą podziwiał w swej piwnicznej salce. Zaciągał tam takie młode, dorodne chłopki jak ta, która teraz głośno chrapie przy jego boku, i kazał im naśladować zachowania rozpustnic na ekranie. Lubił patrzeć na przerażenie w wielkich, cielęcych oczach rusińskich dziewcząt, gdy opierał im ręce na ramionach i zmuszał, by uklękły u jego stóp. Ciskając monety na ich twarze i zalane łzami policzki, starał się zarejestrować ten znamienny moment, gdy przerażenie ustępuje chciwości i udawanemu pożądaniu. Potem dopłacał jeszcze za inne zachowania – takie, których na darmo by szukać w twórczości pornograficznych wytwórni. Najbardziej go podniecały ostatnie chwile – kiedy dziewczęta wychodziły z piwnicy, często kuśtykając i krztusząc się od łez, krwi i śliny. Gdyby je wówczas wezwał z powrotem, natychmiast by wróciły i zrobiły wszystko, czego by zapragnął. Ale to i tak nie rozładowałoby jego pożądania. Było ono tak wielkie, że ekstaza mogła nastąpić jedynie wśród śmiertelnych drgawek.

Podniósł się na łokciu. Obnażył krtań i uda dziewczyny. Zacharczała przez sen. Tak, gdyby mu tylko wczoraj wystarczyło odwagi, dziewka leżałaby teraz w ciszy i nie wydawałaby z siebie tych chrapliwych jęków. Fioletowe pręgi na jej szyi, które wykwitły wczoraj pod jego palcami, byłyby teraz pewnie czarne. Tłuste, trzęsące się szynki, w które wczoraj wrzynały się jego naostrzone pilnikiem paznokcie, byłyby teraz lodowate.

Pomasował się powoli po kroczu. „Kiedyś nadejdzie ta chwila – myślał – jedna z tych suk rozsiądzie się na mnie wygodnie, a kiedy zacznie skakać i rzęzić, mój rosyjski siepacz jednym cięciem odetnie jej głowę. A ona dalej, jak kura, będzie się rzucała w drgawkach, dostarczając mi zakazanej rozkoszy”.

Naciągnął spodnie i pogardliwym ruchem rzucił banknot pomiędzy rozlane cycki śpiącej kobiety. Zdejmując z koszuli źdźbła, śmiał się w duchu – wyobrażał sobie sytuację, kiedy ta maciora się obudzi, przekręci na bok, a banknot wpadnie w siano. Jak zabawnie będzie wtedy ryła w kopcu, wypinając potężny zad!

Ubrał się i wyszedł ze stodoły tylnymi wrotami, wychodzącymi na pole żyta. Ruszył miedzą w stronę gęstej brzeziny, za którą rozpościerał się piękny widok na pałac. Poranne słońce mocno przygrzewało. Przeciągnął

się tak mocno, aż zatrzeszczały mu kości. Był szczęśliwy i przepojony poczuciem władzy. Jego pieniądze zamieniają tych pozornie wolnych chłopów w skretyniałych parobów, a ich żony w mokre lubieżnice. O tak, ma wielką władzę, a będzie miał jeszcze większą!

Utwierdził się w tym przekonaniu na widok kilku aut stojących na podjeździe pałacu. Oto przyjechali goście, jego przyjaciele ze Stronnictwa Narodowego zaproszeni na polityczną konferencję! Trochę wcześniej! Nie szkodzi, będą mieli więcej czasu na debatę, która ma wyłonić kandydata do sejmu, i może mu się uda wszystkich przekonać do swojej kandydatury. On już im przedstawi odpowiednie argumenty i po dzisiejszym, już ostatnim, politycznym mityngu w Stratynie uczyni pierwszy krok w kierunku władzy: na pierwszym miejscu na liście narodowców, kandydatów do sejmu z województwa lwowskiego, pojawi się jego hrabiowskie nazwisko!

Poprawił i rozprostował pogniecione lniane ubranie. Przyczesał włosy i z uwielbieniem spoglądał na pałac bielejący w porannym słońcu. Dwie zębate baszty upodabniały go do średniowiecznego zamczyska. Wszystko w nim i wokół niego było takie jak on sam – męskie, kanciaste i twarde: zielone klocki żywopłotów, prostokątne okna, główne drzwi wejściowe ozdobione geometrycznymi ornamentami, kwadratowy podjazd z granitowych płyt. Na jednej z wieżyc obracał się na wietrze kanciasty kogut ze strzałką, na drugiej kurant zegara rozpoczął suche, krótkie, metaliczne odliczanie.

Bekierski zdumiał się liczbą uderzeń kuranta. Po upojnej nocy stracił rachubę czasu. Spojrzał na samochody stojące na podjeździe. To nie mogli być jego przyjaciele ze Stronnictwa Narodowego. Żaden z nich nie przyjechałby z aż pięciogodzinnym wyprzedzeniem. Żaden nie darłby się tak głośno i nie rzucał się tak prostacko w stronę stratyńskiego gospodarza. Żaden z nich nie dźwigałby ciężkich przedmiotów, które co chwila błyskały białym światłem.

– Jak pan hrabia skomentuje – wrzeszczał jakiś suchotnik w rozchełstanej koszuli – najnowsze doniesienia prasy?!

– Czy obróci się w proch – niewysoki i krępy brunet odpychał chudzielca potężnymi łapskami – pańska polityczna kariera w Stronnictwie Narodowym?

– A z jakiego to niby powodu? – wykrztusił Bekierski, nagle otoczony przez sforę dziennikarzy, ogłuszony i oślepiony białymi fleszami.

– „Fałszywy hrabia jest Żydem z matki Żydówki! – czytał donośnym głosem blondyn z donżuańskim wąsikiem ŕ la Fairbanks. – Hrabina Hanna Bekierska nazywa się naprawdę Chaja Lejbach, twierdzi p. Leon Bójko, były oficjalista we lwowskim biurze ewidencyjnym, który przestudiował wszystkie tamtejsze akta. Dopiero w wieku lat dwudziestu dwóch została adoptowana przez polską parę małżonków. Jaki to może mieć wpływ na karierę polityczną jej syna, członka antysemickiego Stronnictwa Narodowego, który sposobi się do kandydowania do sejmu? Czy uprzedzenia rasowe mogą zablokować tę drogę? Wszak jest pół-Żydem. Czy to dla narodowców znaczy »tylko pół-Żydem« czy »aż pół-Żydem«? Na te wszystkie pytania dotyczące naszych politycznych obyczajów będziemy odpowiadać na bieżąco. Czytaj »Wiek Nowy«!”

Hrabia roztrącił dziennikarzy i pobiegł w stronę wejścia do pałacu. Ci dreptali za nim i wykrzykiwali wciąż te same zapytania.

Bekierski wpadł do budynku i zamknął drzwi od wewnątrz. Oparł się o nie. Każdym nerwem ciała czuł ciosy pięści i kopniaki, jakie dziennikarze wymierzali zamkniętym odrzwiom. Rozbolała go głowa. Szczególnie w okolicach ucha, a ściśle mówiąc: pod jego małżowiną, pęczniał jakiś wrzód, który miał chyba połączenie ze śliniankami, ponieważ powodował napływanie do ust gorzkiej śliny.

Hrabia znał ten ból i niesmak w ustach. Poczuł go kilka tygodni temu, gdy matka zdradziła mu tajemnicę swego pochodzenia. Czuł pieczenie w ustach, gdy okładał ją kułakami, gdy wypluwał na nią nadmiar kwaśnej śliny toczonej przez pobudzone wściekłością gruczoły, gdy nocą – pod wpływem irracjonalnego impulsu – wpychał ją do powozu, który miał ją zawieźć do odległej leśniczówki, gdzie powinna przebywać aż do wyborów do sejmu. Nie mogła przecież uczestników politycznych mityngów kłuć w oczy swoją semicką urodą, która nagle po tym wyznaniu stała się dla niego oczywista. Stała się klątwą wypisaną na jej niegdyś szlachetnej twarzy.

Zagryzł dolną wargę i poczuł w ustach słonawy smak krwi. Wtedy wszystko przestało go boleć. Stał się zimny, skamieniały.

Odgarnął zjeżone włosy z lodowatego czoła. Jego ruchy były pewne i szybkie. Musiał się zastanowić nad znalezieniem rozwiązania nagłej i nieprzyjemnej kwestii. Że problem rozwiąże, w to nawet nie wątpił. Musiał tylko przygotować oficjalne dementi i odczytać je najpierw tym pismakom, a potem politycznym towarzyszom podczas dzisiejszego mityngu, do którego pozostało mu zaledwie kilka godzin.

Wydał polecenie służbie, by wyniesiono dla dziennikarzy butlę domowego kwasu chlebowego i poproszono ich o pozostanie przed pałacem, gdzie niedługo poznają jego stanowisko. Poszedł do gabinetu, na pogniecione ubranie zarzucił bonżurkę i usiadł nad kartką papieru. Nic mu nie przychodziło do głowy. Rozglądał się bezradnie po pokoju. Dojrzał swój blok listowy ozdobiony herbowym nadrukiem. Jego pierwsza strona była zapisana drobnym pismem kamerdynera. Stanisław – zgodnie z zaleceniami pana – zanotował na niej wszystkie połączenia telefoniczne od godziny ósmej wieczór poprzedniego dnia, czyli od momentu kiedy udał się na schadzkę do stodoły. Na kartce były wyszczególnione cztery połączenia, wszystkie dokładnie opisane: kto, kiedy i w jakiej sprawie.

– Pan doktór Zygmunt Kopiczyński oznajmić raczył – Bekierski czytał na głos pierwszą wiadomość, od przewodniczącego lwowskiego Stronnictwa Narodowego – że wobec wiadomych okoliczności odwołuje swój udział w mityngu i wszelkie kontakty z Wielmożnym Panem Hrabią aż do pomyślnego wyjaśnienia tej godnej pożałowania sprawy. Pan doktór Kopiczyński z przykrością oznajmia również, że wszyscy uczestnicy jutrzejszego mityngu podjęli podobną decyzję i każdy z osobna już ją panu Kopiczyńskiemu zakomunikował i scedował na tegoż powinność poinformowania o nieobecności wszystkich i każdego z osobna.

– Pan Antoni Woronowicz – czytał teraz wiadomość od swojego długoletniego przyjaciela – zapytuje, czy informacja o żydowskim pochodzeniu pani hrabiny jest prawdziwa. W razie gdyby tak, zapewnia o swojej chęci niesienia wszelkiej pomocy.

– Pan doktór Samuel Hersztal – sylabizował trudne nazwisko – adwokat prowadzący w głównej mierze sprawy spadkowe, uprzejmie informuje, że chętnie podejmie się prowadzenia sprawy o spadek, gdyby pani Hanna Bekierska vel Chaja Lejbach była przypadkiem spadkobierczynią majątku rodziny Leibach, której prawdopodobnie ostatni przedstawiciel, p. Heinrich Leibach, umarł był bezpotomnie w Wiedniu w ubiegłym roku.

Bekierski uderzył pięścią w stół tak mocno, że podskoczyła starodawna piasecznica. Nie słyszał nic prócz szumu w uszach. Otarł pot z czoła i odczytał ostatnią notatkę, opisującą połączenie, które nastąpiło dzisiejszego poranka. Przeczytał ponownie i poczuł silny ból pod uchem. Ślina wściekłości napłynęła mu do ust. Wyjął browninga z szuflady i wstał od biurka. Nie odrywał oczu od notatki.

Przepraszam, jaśnie panie, że piszę te słowa, które są bez szacunku, ale

telefonujący kazał mi to właśnie napisać, co następuje:
Jak się czujesz? Czy tak jak ja niedawno w twojej piwnicy? To ja napisałem list o Żydówce Lejbach i wysłałem go do „Wieku Nowego”. Ale ty wciąż masz szansę uniknąć kompromitacji. Wystarczy, że sfinansujesz moje badania, a ja ci przebaczę, odwołam wszystko i zniszczę materiały z urzędu meldunkowego. Czekam na ciebie tylko dziś wieczorem. Masz być u mnie bez ruskich psów. Ulica Zadwórzańska 25 m. 14. Tylko dzisiaj masz jedyną i ostatnią szansę.

Jeszcze raz upraszam łaski jaśnie pana, ale telefonujący wyraźnie nakazał pana tykać. Mówi, że jest kolegą ze studiów.

PS Telefonujący się przedstawił: dr Leon Bójko.

Józef hrabia Bekierski schował pistolet do kieszeni marynarki, zrzucił bonżurkę i wyszedł z pałacu bocznym wyjściem. Z nadgryzionej wargi sączyła mu się krew, ale on nie czuł bólu.

## XII

BUTY HRABIEGO ŚLIZGAŁY SIĘ PO OGRYZKACH i obierkach walających się na stopniach schodów. Klatkę schodową kamienicy na Zadwórzańskiej 25 zasnuwała para z garnków, w których gotowały się kalafiory i ziemniaki. Wydostawała się ona z drzwi mieszkań otwieranych na oścież przez lokatorów, tylko bowiem w przeciągu można było znaleźć ochłodę od upału. I nieczystości, i kalafiorowe wyziewy były jednak tylko drobnymi uciążliwościami, na które Bekierski nie zwracał najmniejszej uwagi. Biegł szybko, z zadowoleniem zauważając, że zdrętwiałe od kilkugodzinnej jazdy automobilem mięśnie odzyskują zwykłą sprężystość.

W kieszeni marynarki czuł ciężar pistoletu. Było to obciążenie miłe i pokrzepiające. Gwarantowało spełnienie oczekiwań. Hrabia poklepał broń przez materiał spodni. „Bójko – myślał, pokonując ostatni podest – odwoła na piśmie, z lufą przystawioną do potylicy, swe kłamliwe enuncjacje. A jutro, przekonany innymi już wymiernymi argumentami, wystąpi wraz ze mną na konferencji prasowej i wyjaśni, iż wszystko, co znalazł na temat żydowskiego pochodzenia pani hrabiny, jest jawną nieprawdą, zwykłą podstępną preparacją, którą chciał zrobić głupi dowcip swojemu dawnemu koledze ze studiów”.

Doszedł do drzwi na ostatnim piętrze. Wyjął pistolet i załomotał kolbą w futrynę. Usłyszał szmer. Drzwi się otwarły i stanął w nich Edward Popielski rozebrany do bielizny.

– Zechce pan hrabia wybaczyć mój osobliwy strój – uśmiechnął się przyjaźnie – ale to z powodu gorąca na tym poddaszu.

Bekierski często zdumiewał się nie tym, czym powinien, lecz jakimś zupełnym drobiazgiem. Kiedy niedawno matka mu oznajmiła, że jest Żydówką, hrabia w pierwszej chwili nie zarejestrował wagi tego wyznania, lecz skupił się na odpiętej sprzączce w jej lewym buciku. Z najwyższym zdziwieniem pytał sam siebie nie o to, dlaczego dopiero teraz poznaje mroczną tajemnicę rodzinną, lecz o to, dlaczego matka dotąd nie pozbyła się tych niemodnych mesztów ze sprzączką.

Tak i teraz nie zadziwiła go wcale obecność Popielskiego, lecz coś zgoła innego. Po pierwszym spotkaniu uważał go za pedantycznego i higienicznego dżentelmena – ba, wręcz dandysa! Bynajmniej nie za łachmytę, który w opuszczonych gaciach stoi w progu cuchnącego pomieszkania i sam śmierdzi pewnie niezgorzej.

Intuicja Bekierskiego była mylna. Odór, który go teraz doszedł, nie buchał z mieszkania ani od detektywa, lecz zza pleców hrabiego.

Odwrócił się.

Było już za późno na jakikolwiek ruch.

Na jego plecy zwaliło się potężne ciało. Usta i nos zatkały mu jakieś lepkie dłonie. Sam nie wiedział, czy przytomność stracił od uderzenia głową o podłogę, czy od smrodu napastnika.

Ocknął się po dwóch kwadransach. Okoliczności tego przebudzenia w niczym nie przypominały tych porannych. Nie widział teraz błysków słońca przebijających przez szpary stodoły, lecz ostre światło lampy biurkowej skierowanej prosto w twarz; nie wciągał zapachu siana, lecz kwaśną woń śmietnika dochodzącą z podwórka przez otwarte okno; nie towarzyszyła mu młoda kobieta, w której oczach widział kupione za pieniądze oddanie, lecz potężny łysy mężczyzna wpatrujący się w niego tak przychylnie jak buhaj w czerwoną płachtę w czasie korridy.

W mieszkaniu rozchodziła się dziwna chemiczna woń, którą hrabia skądś znał. Chciał wstać, lecz nie mógł. Szarpnął się mocno. Sznur wrzynał mu się w przeguby.

– Tak bardzo bym chciał z panem dłużej porozmawiać, panie hrabio…

Popielski, już starannie ubrany w letni garnitur i kapelusz, siedział na krześle w pozycji nietypowej. Brodę opierał na dłoniach, a te na oparciu.

– O niczym innym nie marzę, jak o tym, żeby się pana hrabiego zapytać, jakież to uczucie, gdy się upokarza innego człowieka. – Sięgnął po

papierosa i wsunął go do ust, lecz nie zapalił. – Och, nie, nie! – Uderzył się lekko po dłoni. – Nie pal teraz, Edwardzie, to może być tragiczne w skutkach dla tej kamienicy!

Bekierski patrzył z niedowierzaniem na Popielskiego, który nagle zaczął mówić sam do siebie.

– Żal, że nie mam teraz czasu na filozoficzne pogawędki. – Detektyw wstał i podszedł do wiszącej kotary, która lekko falowała w przeciągu. – Porozmawiamy jeszcze o upokorzeniu, o winie i karze… Zrobimy to wtedy, kiedy odwiedzę pana hrabiego w więzieniu, w pańskiej celi, gdzie będzie pan przebywał w towarzystwie hołoty, która nienawidzi arystokratów. Odwiedzę pana i zapytam: jak się czuje człowiek upokarzany codziennie? Dzień w dzień pranie skarpet kolegom spod celi, wyciskanie im pryszczy na jajcach i podcieranie włochatych dup…

– Ty parszywy psie! – Bekierski szarpnął się wściekle, ale sznur nie puszczał. – Jeden mój telefon zadecyduje o twojej karierze…

– Adwokat będzie cię bronił – ciągnął z niewzruszonym spokojem Popielski – powołując się na zbrodnię w afekcie. A sąd mu uwierzy, chyba że udowodnię przed trybunałem, że zabiłeś z premedytacją… Ale tak naprawdę sąd jest nieważny… To ja jestem twoim sędzią, a ja wiem, że zabiłeś Leona Bójkę z wyrachowania. Żeby mieć władzę nad ludźmi, tak jak miałeś władzę nade mną wtedy – nad tym urokliwym potokiem w twoich włościach…

– Co ty zmyślasz, szujo! Nikogo nie zabiłem! A Bójko był u mnie! Mówił o spełnieniu się proroctwa liczb Charona! Chciał mnie tym przekonać do swojej teorii, kiedy przyszedł żebrać o pieniądze!

– Ważne, by sąd uwierzył, że zabiłeś Leona Bójkę.

– Jesteś obłąkany!

– Zobacz sam!

Zza odsuniętej kotary hrabia ujrzał straszny widok. Na środku pokoju, tuż obok żelaznego łóżka stało duże wiadro, nad którym wisiał człowiek. Ciemna powierzchnia przecinała jakby wpół szyję człowieka zanurzonego głową w wiadrze.

Popielski wrócił do drzwi wejściowych i nasłuchiwał. Potem chwycił za włochaty sznur, który na karku Bekierskiego tworzył coś na kształt obroży, i pociągnął hrabiego po podłodze do pomieszczenia z trupem. Najostrożniej jak tylko mógł wsadził do wiadra ręce Bekierskiego, a potem pozwolił, by hrabia runął z hukiem na podłogę.

Ten już wiedział, co to za chemiczna woń, którą poczuł po przebudzeniu.

Popielski coś dosłyszał na klatce schodowej. Jeszcze raz zlustrował okiem pokój i gwałtownie szarpnął się za koszulę. Guziki zastukały po podłodze. Rzucił się ku drzwiom wejściowym i otworzył je na oścież. Uderzył czołem o framugę drzwi, a krew z rozciętego łuku brwiowego rozlała się po policzku. Teraz było słychać bardzo wyraźnie hałasy z klatki schodowej. Tupały ciężkie buty, trzeszczały poręcze pod naporem ramion, sapały przepalone nikotyną płuca. Nagle w mieszkaniu zrobiło się granatowo od policyjnych mundurów. Posterunkowymi kierował zażywny łysiejący jegomość. Wszyscy stali teraz w progu sypialni Bójki i wpatrywali się w Józefa hrabiego Bekierskiego, który leżał pod wiadrem z rękami uwalanymi olejem pędnym.

– Zdążyłem, Wilek – odezwał się Popielski do jegomościa, ocierając wierzchem dłoni krew z twarzy – unieruchomić go i związać! Ale już nie zdążyłem uratować Bójki…

XIII

STERNBACHÓWNA LUDWIKA: Świadek oskarżenia na ławie oskarżonych. Sprawa hrabiego Bekierskiego, (w:) Kryza, Ignacy (red.): Wstać, sąd idzie! Wybór reportaży sądowych z dwudziestolecia międzywojennego, Warszawa: Czytelnik, 1974, s. 182–189.

Sprawa ta była jedną z najbardziej niezwykłych, z jakimi się spotkałam w czasie licznych bytności reporterskich we lwowskim Sądzie Okręgowym. Wielkie zainteresowanie prasy sprawiło, że stała się najgłośniejszym i najżywiej omawianym w Polsce procesem początków lat trzydziestych. Pamięć o niej została przytłumiona jednak bardzo szybko przez słynną sprawę Rity Gorgonowej. Oto dramatis personae [74]: 42-letni hrabia Józef Bekierski, właściciel ziemski dóbr stratyńskich (powiat rohatyński, województwo stanisławowskie), oraz 44-letni doktór Edward Popielski, były policjant, w czasie procesu prywatny detektyw.

A oto fakty.

17 czerwca 1930 roku jest we Lwowie wyjątkowo upalny. Wieczór nie przynosi żadnej odczuwalnej ochłody. Aspirant Wilhelm Zaremba z Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji we Lwowie zmęczony popołudniowym dyżurem spożywa wraz z rodziną kolację, gdy nagle dzwoni telefon. Jego były kolega z Urzędu Śledczego, prywatny detektyw

Edward Popielski, oznajmia, iż pod adresem ulica Zadwórzańska 25 znalazł ciało niejakiego doktora Leona Bójki, matematyka i wynalazcy. Wszystko wskazuje na to, iż Bójko został zamordowany.

Wilhelm Zaremba telefonicznie wydaje rozkaz dwóm dyżurnym policjantom z komisariatu VI, by natychmiast udali się pod wskazany adres. Sam wsiada do samochodu i przybywa tam prawie jednocześnie z mundurowymi. Wchodzą do mieszkania, gdzie detektyw Popielski już przebywa od dwóch kwadransów. Pokazuje im przerażający widok. W pokoju sypialnym stoi wiadro wypełnione olejem pędnym, a w nim głową w dół tkwi zawieszone u sufitu ludzkie ciało. Pod wiadrem leży skrępowany sznurem hrabia Józef Bekierski. Jego ręce i ubranie powalane są olejem pędnym. Popielski oznajmia policjantom, że cichaczem dostał się do mieszkania i zastał w nim hrabiego oraz topielca. Twierdzi, że unieruchomił domniemanego sprawcę, zatelefonował następnie do Zaremby z budki telefonicznej przy politechnice, wrócił do mieszkania Bójki i czekał na pojawienie się stróżów prawa.

Godzinę później topielec znajduje się już na stole sekcyjnym w prosektorium. Tam detektyw Popielski oficjalnie potwierdza tożsamość zmarłego. Był nim matematyk i wynalazca doktór Leon Bójko, z którym kilka dni wcześniej detektyw rozmawiał w związku ze zleceniem policyjnym, jakie realizował jako biegły filolog i znawca języków starożytnych. Bójko był w mniemaniu Popielskiego podejrzany o dokonanie podwójnego morderstwa na wróżce Lubie Bajdykowej i prostytutce Lii Kochównie.

Autopsja, którą przeprowadził sławny na cały kraj medyk sądowy doktór Iwan Pidhirny, potwierdziła, że zgon Bójki nastąpił wskutek „utonięcia w dieslowskim oleju pędnym. Godzina zgonu była wręcz niemożliwa do ustalenia z powodu piorunującego rozkładu zwłok. Putrefactio fulminans [75] nastąpiła w bardzo wysokiej temperaturze, w mansardzie nie wietrzonej i szczelnie zamkniętej, położonej bezpośrednio pod blaszanym dachem, poddanym silnemu nasłonecznieniu w letniej porze”.

Przesłuchanie hrabiego Bekierskiego po zatrzymaniu szybko ujawniło motyw zabójstwa, do którego przesłuchiwany z całym zdecydowaniem się nie przyznawał. Motywem tym mogła być zemsta na Leonie Bójce za ujawnienie tajemnicy rodzinnej, dla przesłuchiwanego Bekierskiego z powodów politycznych, o których poniżej, bardzo bolesnej. Otóż dzień

wcześniej, 16 lipca 1930 roku, ukazał się w wieczornym dodatku do lwowskiego bulwarowego dziennika „Wiek Nowy” artykuł Władysława Matusza, w którym ów dziennikarz, powołując się na list otrzymany od Leona Bójki, ujawnia całemu światu, że matka hrabiego Józefa Bekierskiego jest Żydówką i nazywała się niegdyś Chaja Lejbach. Sędzia śledczy Stanisław Chciuk artykuł ów dołącza do akt jako dowód na istnienie motywu, po czym wydaje nakaz aresztowania Józefa Bekierskiego pod zarzutem zamordowania Leona Bójki z mściwej motywacji.

Czytelnik mógłby teraz przetrzeć oczy ze zdumienia i zapytać: A cóż to za osobliwy motyw? Owszem, trzeba z ubolewaniem przyznać, że barbarzyński pogląd antysemityzmu występuje w naszym życiu społecznym, ale czy jest on na tyle silny, by człowiek zdemaskowany jako Żyd czy semi-Żyd był na tyle rozwścieczony, by zabić swojego demaskatora? Zwykły człowiek nie jest do tego zdolny – odpowiem mojemu hipotetycznemu dociekliwemu Czytelnikowi. – Zwykłemu człowiekowi takie pochodzenie może być całkiem obojętnym. Natomiast działaczowi politycznemu starającemu się o nominację na kandydata do sejmu z listy Stronnictwa Narodowego (a hrabia Józef Bekierski kimś takim właśnie był!) nagle ujawnione żydowskie pochodzenie może doszczętnie złamać karierę!

Oto dwie istotne informacje biograficzne, które rzucą nieco światła na poglądy Bekierskiego, których nie waham się określić mianem skrajnego szowinizmu i zoologicznego antysemityzmu. W roku 1907 w kółku literackim polskich studentów uniwersytetu w Kazaniu hrabia wygłosił referat, w którym uzasadniał, że wszelkie dążenia niepodległościowe Polaków są sterowane z zewnątrz przez Żydów i masonów. Jako z góry skazane na porażkę, miały rzekomo sprowokować mocarstwa zaborcze do zastosowania wobec Polaków skrajnego terroru i najprzykrzejszych represji. Zasadą polityki polskiej – wywodził prelegent – winno być zatem zlikwidowanie wpływów żydowskich, rezygnacja z aspiracyj niepodległościowych i święty wieczny sojusz z Rosją połączony z szeroką autonomią. Ten pierwszy postulat – zalecał Bekierski – można zrealizować poprzez zamknięcie wszystkich Żydów poddanych cara w specjalnych obozach czy też na wydzielonych terytoriach. Referat ten został opublikowany w numerze XVIII pisma „Kazanskij Litieraturnyj Wiestnik”.

Swojego antysemityzmu Bekierski najokrutniej dowiódł nie tylko słowem, ale i czynem. W marcu roku 1915 jako carski oficer nadzorował

pogrom Żydów w Lubaczowie, co było połączone – rzecz wyjątkowo odrażająca – z kilkoma gwałtami zbiorowymi, jakich dokonano na dwóch żydowskich kobietach i czterech dziewczynkach. Za ten czyn został on wyrokiem sądu wojennego – obradującego pod przewodnictwem dowódcy III Armii generała Radka Dimitrijewa – przeniesiony do garnizonu karnego na Kaukazie.

A teraz powróćmy do procesu. Rozpoczął się on dopiero 25 maja 1931 roku, prawie rok po aresztowaniu oskarżonego. Ta zwłoka spowodowana była ciężką chorobą serca Józefa Bekierskiego, co uniemożliwiło mu przebywanie w areszcie śledczym. Zamiast w tym ponurym miejscu oskarżony spędzał swe dnie (oczywista pod nadzorem policyjnym) w luksusowym pomieszkaniu w prywatnym zakładzie doktora Karola Isakowicza.

Proces rozpoczął się zaprzysiężeniem ławy przysięgłych, a następnie głos zabrał prokurator Włodzimierz Szumiło. Ten krótko przedstawił oskarżenie, po czym do akcji przystąpił obrońca, mecenas Wacław Bechtold-Smorawiński. Jego cała aktywność koncentrowała się na podważeniu zeznań głównego świadka oskarżenia, jakim był Edward Popielski. Sławny adwokat wygłosił jedną z najbłyskotliwszych mów wstępnych, jakie słyszałam. Opierała się na paradoksie, którego nie powstydziłby się Demostenes czy Cyceron. „Mój klient, Wysoki Sądzie – perorował, wpatrując się w przewodniczącego jasnymi oczami – jest karierowiczem, który własną matkę ukrył był przed oczyma świata, by swym żydowskiem pochodzeniem nie pokrzyżowała mu planów i aspiracyj. Jest człowiekiem, który uległ wojennemu zepsuciu, jak wielu z tych, którzy na co dzień obcowali ze śmiercią. Nie jest człowiekiem kryształowym, o nie! Ale to nie on zamordował Leona Bójkę, a wszak sprawa, która się toczy przed tym niezawisłym trybunałem, dotyczy właśnie tej śmierci. Mój znakomity kolega, prokurator Szumyło, będzie usiłował pokazać mojego klienta jako zdrajcę i degenerata. Ale nie sądzi się go tutaj pod łatwymi zresztą do obalenia zarzutami zdrady i sprzeniewierzenia się dobrym obyczajom! Przedmiotem badań tego niezawisłego sądu oraz ławy przysięgłych jest bowiem mord, jakiego dokonano na Leonie Bójce! Twierdzę z całą mocą, że mój klient tego mordu nie dokonał, lecz został w całą sprawę bezlitośnie i naumyślnie wmieszany!”

O genialnej strategii mecenasa Bechtolda-Smorawińskiego niech zaświadczą tutaj trzy przesłanki ukryte w tej krótkiej przemowie. Obrońca

wiedział doskonale, że młody, lecz bardzo wytrwały i uparty prokurator Włodzimierz Szumiło dołączył do akt przetłumaczony z rosyjskiego artykuł oskarżonego kwestionujący niepodległościowe dążenia Polski i zechce oczernić Bekierskiego przed sędzią, byłym legionistą Antonim Knipą. Adwokat osłabiał zatem z góry to działanie, mówiąc, że nie zdrady dotyczy sprawa. Nie wspomniał też słowem o przewinach oskarżonego wobec chłopów, a zwłaszcza chłopek, ponieważ wiedział, że włościanie ze Stratyna i Pukowa, w większości Rusini nie znający dobrze języka polskiego, za nic nie zgodzą się zeznawać przed sądem, choćby ich nie wiadomo jak zachęcał do tego prokurator Szumiło, sam zresztą Rusin. Geniusz obrońcy był również widoczny w charakterystycznej wymowie nazwiska swojego antagonisty. Wymawiając je z ukraińska „Szumyło”, sugerował bardzo wyraźnie, iż prokurator, jako Ukrainiec, może być uprzedzony do oskarżonego – nacjonalisty pełnego pogardy dla swych ukraińskich włościan. Sam mecenas swoje poglądy polityczne demonstrował znaczkiem Polskiej Partii Socjalistycznej w klapie marynarki, który miał zaświadczyć, iż jego posiadacz służy wyłącznie Temidzie i jest wolny od politycznych niechęci, jakie socjalista pepeesowiec mógłby odczuwać wobec klienta narodowca.

Obrońca postawił następnie tezę, iż to Edward Popielski wplątał w całą sprawę Bekierskiego, ponieważ miał jeden oczywisty motyw, który odwołuje się do rzymskiej zasady prawnej is fecit, cui prodest [76]. Otóż dzięki ujęciu mordercy Leona Bójki została wszczęta w Wydziale III Personalnym Komendy Głównej Policji Państwowej w Warszawie oficjalna procedura anulowania decyzji o wydaleniu Popielskiego ze służby i o przyjęciu go do pracy w Urzędzie Śledczym. Prywatnemu detektywowi, którego dochody są dość nieregularne, mogło zatem bardzo zależeć na ujęciu jakiegokolwiek kozła ofiarnego, by wrócić na dobrze płatną państwową posadę. Obrońca podsumował swój wywód przypuszczeniem, że Popielski chciał na Bekierskiego zrzucić całą winę, gdyż pragnął powrotu do pracy w policji. Kolejność zdarzeń mogła być następująca:

· Popielski jako biegły filolog i matematyk prowadzi na zlecenie policji dochodzenie lingwistyczne. W trakcie tego dochodzenia natrafia na ślad Leona Bójki. Podejrzewa go o podwójne morderstwo, o którym wyżej. Przesłuchuje go raz, a po raz drugi zamierza to uczynić 17 czerwca.

· Tegoż dnia przychodzi do Bójki po raz drugi i zastaje go utopionego w wiadrze oleju pędnego.

· Krótko potem do Bójki przybywa ze Stratyna Józef Bekierski, by wyjaśnić (zatuszować dzięki finansowemu wsparciu) sprawę demaskacji swojej matki.

· Popielski obezwładnia Bekierskiego, nurza jego ręce w oleju, po czym dzwoni na policję.

– Dlaczegóż to taki szanowany obywatel – adwokat retorycznym gestem wzniósł palec ku sufitowi – jakim jest Edward Popielski, człowiek honoru, czego przecież my, społeczeństwo, wymagamy od funkcjonariusza policji, otóż pytam, dlaczegóż to taki człowiek jak on chciał obarczyć winą niewinnego? Wiem, że Wysoki Sąd i szanowna ława przysięgłych mogą nie być przekonani zasadą is fecit, cui prodest. Ale powiem z całą mocą – jest też inny powód! Otóż Edward Popielski najmocniej, jak tylko mógł, z całej duszy nienawidził oskarżonego, ponieważ był jego rywalem o względy pewnej pięknej niewiasty oraz został przez niego dotkliwie pobity i upokorzony!

I tutaj adwokat wcielił się w aktora. Donośnym głosem wezwał na świadków trzech Rosjan, przyjaciół i podwładnych oskarżonego. Powtórzył jeszcze dwukrotnie to wezwanie, a kiedy nikt się nie pojawił, mecenas uderzył się dłonią w czoło i udał, że teraz dopiero sobie przypomina, iż niedawno otrzymał stosowne pismo w tej sprawie od naczelnika Oddziału Politycznego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego Urzędu Wojewódzkiego pana Franciszka Pirożka. Przeczytał je powoli, aby wszyscy dobrze zapamiętali. W piśmie tym poinformowano, iż wspomniani Rosjanie – personae non gratae bez prawa pobytu – zostali pod koniec roku 1930 deportowani z Polski. Mecenas Bechtold-Smorawiński obiecał wrócić jeszcze do tego, jak się wyraził, „arcyszybkiego” wydalenia Rosjan z Polski, po czym wezwał na świadka doktora Bazylego Hilarewicza ze Szpitala Sióstr Miłosierdzia w Rohatynie i doktora Tytusa Buraczyńskiego ze lwowskiego Szpitala św. Wincentego ŕ Paulo. Obaj lekarze zgodnie potwierdzili, że ciężko pobity Edward Popielski był w maju ubiegłego roku ich pacjentem. Doktór Buraczyński zauważył, ku wyraźnej satysfakcji obrońcy, że rany były „tak bestialskie, że mogły świadczyć o najwyższym okrucieństwie”. Adwokat podziękował medykowi i oddał obu lekarzy do dyspozycji oskarżenia, które zrezygnowało z ich przesłuchiwania.

Wtedy na sali pojawiły się różne mniej lub bardziej podejrzane indywidua, jacyś drobni przestępcy, kelnerzy, właściciele szynków, którzy zgodnym chórem potwierdzali, iż „kumisarz Popielski jest bardzu chwytki

[77] du bęcki [78]”, i podawali liczne przykłady, dowodząc, że sponiewierał ich czynem lub obelżywym słowem. Oskarżyciel kąsał ostro każdego ze świadków, wyśmiewał niewielkie sprzeczności w zeznaniach i wykazywał ich usłużność wobec obrony. Adwokat zareagował na to stwierdzeniem, że zeznania świadków wyraźnie pokazują naturę Edwarda Popielskiego jako „zajadłą, mściwą i gwałtowną”. Wtedy prokurator Szumiło go skontrował – przyznajmy, mało przekonująco i nieco demagogicznie – że „opieranie się na zeznaniach ludzi, wśród których są społeczne wyrzutki, świadczy o słabości argumentów obrony”.

Zniecierpliwiony sędzia poirytowanym tonem zwrócił uwagę mecenasowi, że wchodzi w rolę oskarżyciela osoby trzeciej, co doprawdy jest kuriozalne wobec nieobecności tejże osoby, czyli tyleż już razy pomienionego i o tyle bezeceństw oskarżanego pana Edwarda Popielskiego. Na to obrońca z uśmiechem zauważył, że czyni zadość życzeniu Wysokiego Sądu i wzywa na świadka doktora Edwarda Popielskiego.

[74] Osoby dramatu.
[75] Proces gnilny błyskawiczny.
[76] Ten zrobił, w czyim to było interesie.
[77] Szybki.
[78] Bijatyki.

XIV

STERNBACHÓWNA LUDWIKA: Świadek oskarżenia na ławie oskarżonych. Sprawa hrabiego Bekierskiego, (w:) Kryza, Ignacy (red.): Wstać, sąd idzie! Wybór reportaży sądowych z dwudziestolecia międzywojennego, Warszawa: Czytelnik, 1974, s. 189–195.

Edward Popielski był mężczyzną postawnym, mocno zbudowanym. Wytwornie ubrany, pachnący drogą wodą kolońską ten znany na cały Lwów skandalista obyczajowy robił wrażenie na damach licznie obecnych na sali sądowej. Po bokach jego łysej, gładko ogolonej czaszki sterczały ostro zakończone uszy, które nadawały fizjognomii niejakiego demonizmu. Przetrącony nos, dwie fałdy skóry na byczym karku, szerokie, mocne ramiona i pewna brutalność bijąca z jego zielonych oczu kontrastowały z pięknie uformowanymi dłońmi oraz ze starannym wysławianiem – ba, elokwencją nawet! Ten doktór filologii klasycznej, kształcony w Wiedniu,

zamiast kariery akademickiej wybrał policyjną, zamiast siedzieć nad Cyceronem lub Lukrecjuszem wolał ciemne zaułki zbrodni.

Po zaprzysiężeniu obrońca wziął świadka w krzyżowy ogień pytań, który nie zrobił najmniejszego wrażenia na ekspolicjancie nawykłym do podstępnych przesłuchiwań.

– Kiedy pan poznał oskarżonego?

– 18 kwietnia.

– Gdzie?

– W jego majątku w Stratynie.

– Co pan tam robił?

– Na prośbę pewnej damy, której nazwisko przemilczę, chciałem zapytać Józefa Bekierskiego, co też się stało z jego matką Hanną Bekierską.

– Czy ta prośba była zleceniem, jakie owa anonimowa dama wydała panu jako prywatnemu detektywowi?

– Nie byłem wtedy jeszcze prywatnym detektywem.

– Ale mimo to przyjął pan zlecenie?

– To pan mecenas nazywa zleceniem prośbę, jaką mi przedstawiła owa dama.

– Czy za spełnienie tej prośby wziął pan honorarium? A jeśli tak, to czy na pewno rozliczy się pan z niego?

– Nie, uczyniłem to gratis jako człowiek prywatny, nie detektyw, którym z punktu widzenia prawa wówczas nie byłem.

– Czy gdybym ja wówczas zwrócił się do pana z tą prośbą, też by ją pan spełnił?

– Nie.

– A dlaczegóż to?

– Bo spełniam jedynie prośby moich znajomych, a pan mecenas do nich, ku mojemu wielkiemu ubolewaniu, nie należy.

– Proszę nam podać nazwisko owej damy.

– Odmawiam.

Adwokat zwrócił się do Wysokiego Sądu o wydanie świadkowi stosownego polecenia, gdyż – jak twierdził – owa dama jest figurą bardzo ważną w całej sprawie. Sędzia Knipa spełnił prośbę obrońcy.

– Renata Sperling – odpowiedział Popielski.

– Tak – potwierdził Bechtold-Smorawiński. – Renata Sperling, lat dwadzieścia siedem, buchalterka w dobrach Bekierskich. Dama niezwykłej urody. Skąd pan ją zna?

– Dziewięć lat temu przygotowywałem ją do matury. Udzielałem jej prywatnych lekcji z matematyki.

– Jakie było zlecenie… pardon, prośba, którą panu przedstawiła?

– Prosiła mnie, bym odnalazł hrabinę Bekierską, która nagle, według Renaty Sperling, zaginęła.

– Czy utrzymywał pan lub utrzymuje stosunki natury intymnej z panną Renatą Sperling?

– Nie chcę uchybić czci i honorowi niezamężnej damy, toteż nie odpowiem na to pytanie.

Ta postawa godna dżentelmena wywołała westchnienia i głośne komentarze obecnych na sali dam, co najwyraźniej nie spodobało się sędziemu Knipie. Srogi iudex zmarszczył brwi i upomniał publiczność, by raczyła zachowywać się w sposób licujący z powagą tego trybunału. Mecenas zachował spokój, ale ja – jako długoletnia sprawozdawczyni procesowa – zauważyłam u niego to sekundowe przymknięcie powiek, co mogło świadczyć albo o pewnym pomięszaniu, albo o koncentracji przed zadaniem celnego ciosu.

– Wysoki Sądzie i szanowni panowie przysięgli, nie będę zmuszał dżentelmena do wyznań delikatnej natury, pozwoli jedynie Wysoki Sąd, iż zaznaczę, że po pannie Renacie Sperling wszelki ślad zaginął. Nie mogę zatem poprosić jej o złożenie zeznań przed tym trybunałem. Zauważę ponadto, że pan Popielski, odmawiając odpowiedzi na moje pytanie, niejako potwierdził, iż łączyły go z panną Sperling stosunki wielce zażyłe. Gdyby tak nie było, odpowiedziałby na moje pytanie po prostu: „nie, nie miałem z ową damą nic intymnego”, i nie uchybiłby w ten sposób czci i honorowi wspomnianej niewiasty…

– Proszę, by świadek odpowiedział na to pytanie! – Sędzia Knipa spojrzał srogo na Popielskiego, mając najwyraźniej dość wywodów złotoustego prawnika. – Czy utrzymywał pan lub utrzymuje stosunki natury intymnej z panną Renatą Sperling?

– Kochałem ją – odpowiedział spokojnie detektyw – a ona odeszła ode mnie. Nie wiem, gdzie teraz przebywa.

Damy obecne na sali popadły w jakieś rozgorączkowanie, słyszalne w scenicznych szeptach i wybuchach nerwowych chichotów. Tym razem sędzia Knipa ich nie uspokajał. Bechtold-Smorawiński powiódł po zebranych triumfalnym wzrokiem.

– A czy wiadomo było świadkowi, że oskarżony Józef Bekierski okazywał jej względy?

– Tak.

– Panna Sperling powiedziała panu o tym?

– Tak.

– Mógłby pan zatem, będąc zakochany w pannie Sperling, uważać hrabiego Bekierskiego za rywala?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ panna Sperling go nienawidziła. Trudno uważać za rywala mężczyznę, którego umiłowana kobieta nienawidzi.

Bechtold-Smorawiński nie rozwijał już tego wątku. Najwyraźniej złapał wiatr w żagle i przypuścił teraz zmasowany atak. Zapytał mianowicie, jak wyglądało pierwsze spotkanie świadka z oskarżonym. Kiedy się dowiedział, iż Popielski został podczas tego spotkania dotkliwie pobity przez oskarżonego oraz jego rosyjskich pretorianów, spojrzał z powagą i troską na przesłuchiwanego.

– Czy upokorzył pana również jeszcze jakoś inaczej? – zapytał.

– Nie.

– A teraz zadam panu bardzo trudne pytanie. Będzie ono przykre dla takiego mężczyzny jak pan, nawykłego raczej do niepoddawania się woli innych, a zatem dla natury niezależnej, władczej i zdecydowanej. O tych cechach, informuję Wysoki Sąd, świadczy zwolnienie świadka z policji za niesubordynację. Ale ad rem. Pytanie, które zadam – spojrzał na publiczność – będzie szokujące dla obecnych tu osób postronnych, a zwłaszcza dla dam, które niniejszym proszę o wybaczenie. A zatem pytam świadka – znów spojrzenie pełne troski rzucone w stronę Popielskiego – czy oskarżony po pobiciu oddał na pana mocz?

Na sali zaszumiało, a potem zapadła martwa cisza. Wszyscy wpatrywali się w zacięte usta Popielskiego.

– Nie, nic takiego nie nastąpiło.

Adwokat jeszcze raz wykonał liczne słowne kontredanse, zapewniając, iż zdaje sobie sprawę, że dla męskiej natury upokorzenie, o którym mowa, jest bardzo dotkliwe. Zdaje sobie sprawę ponadto, w jak złym świetle ten haniebny postępek stawia jego klienta. Pracując jednak non sordidi lucri causa, sed ut veritas magis propagetur [79], prosi z całą mocą o przyznanie, iż świadek był obiektem tego ohydnego postępku. Popielski ponownie

kategorycznie zaprzeczył. Dla wyrobionych bywalców sądowych (w tym dla piszącej te słowa) było oczywiste, iż strategia obrońcy polega na wytworzeniu przekonania, iż ohydnie upokorzony Popielski mógł sfingować całe zajście w mieszkaniu zamordowanego Bójki, by rzucić podejrzenie na swego oprawcę. W ten oto sposób miał się na nim zemścić.

– Tak jest, panowie przysięgli – mecenas podsumowywał ten moment przesłuchania – oto świadek zaprzecza czemuś, co mogliby potwierdzić rosyjscy przyjaciele oskarżonego. Ci jednak dziwnym zbiegiem okoliczności zostali bardzo szybko deportowani. Pragnę zwrócić uwagę, że procedura deportacyjna trwa zwykle minimum pół roku. Tym razem ważni świadkowie oskarżenia zostali wydaleni po trzech miesiącach! Służę również Wysokiemu Sądowi informacjami o charakterze personalnym, które wyraźnie pokazują, że związki koleżeńskie Edwarda Popielskiego mogły umożliwić tę arcyszybką deportację! Jak wynika z pisma przedstawionego Wysokiemu Sądowi przez wydział polityczny, nakaz deportacji wydał naczelnik Oddziału Politycznego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego Urzędu Wojewódzkiego, były komisarz policji, pan Franciszek Pirożek, który prywatnie jest przyjacielem Wilhelma Zaremby, kolegi Edwarda Popielskiego z ławy gimnazjalnej! Zauważmy ponadto, że w tej sprawie znika również inny ważny świadek obrony, panna Renata Sperling. Owa dama mogła być obiektem miłosnej rywalizacji pomiędzy oskarżonym i świadkiem. Cóż naturalniejszego dla zakochanego mężczyzny niż pozbycie się rękami Temidy znienawidzonego rywala, znanego gwałtownika, któremu bardzo łatwo przypisać jakąkolwiek zbrodnię, tym bardziej umotywowaną politycznie zbrodnię na Bójce, który zniszczył karierę owego rywala?

Następnie obrońca dzięki umiejętnie stawianym pytaniom wyciągnął ze świadka, wbrew wyraźnemu oporowi tegoż, informacje o mizerii jego bytowania w okresie, kiedy był zwolniony z pracy w policji. Zwracał uwagę na nieudane próby polepszenia egzystencji wykładami uniwersyteckimi. Kiedy już odmalował w czarnych barwach pozapolicyjne życie Popielskiego, zwrócił się znów do świadka z zapytaniem, czy to prawda, że złapanie mordercy Bójki skutkowałoby ponownym przyjęciem do pracy w policji.

– To nieprawda.

– Czy nie zawarł pan umowy ustnej w tej sprawie z samym komendantem wojewódzkim?

Cios musiał być celny, Popielski zbladł bowiem nieco. Szybko jednak odzyskał równowagę ducha.

– O ponownym przyjęciu do pracy w policji miało zadecydować to, w jakiej mierze byłbym pomocny w rozwiązaniu sprawy zabójstwa Luby Bajdykowej i Lii Kochówny. Bardzo wiele wskazuje na to, że Leon Bójko był mordercą i jednej, i drugiej kobiety. Do tego przekonania doszedłem w wyniku samodzielnego śledztwa, które najpierw prowadziłem more linguistico et mathematico [80], później zaś w sposób wywiadowczy. Dotarłem do mordercy, ale nie zdążyłem wydobyć z niego prawdy za pierwszej mojej u niego bytności. Drugą wizytę złożyłem już trupowi. Mam dowody na to, że mordercą Bajdykowej i Kochówny był Bójko. Gdyby zostały zaaprobowane w czasie śledztwa i Bójko trafiłby na ławę oskarżonych, wtedy rzeczywiście zostałbym ponownie przyjęty do pracy w policji. Natomiast samo wykrycie sprawcy zamordowania Leona Bójki nic by mi nie dało, bo nie zostałem przez policję zatrudniony do tej sprawy. Nadmieniam, że do tej pory nie zostałem przywrócony do pracy w policji, ponieważ nie zakończył się niniejszy proces. Jak zatem widać, sprawa Bekierskiego niewiele mi w tym pomogła.

– Ale przecież sprawa Bekierskiego wiąże się ze sprawą Bójki, nie sądzi pan?

– Tak, wiążą się one ściśle ze sobą, ale dla mojego przywrócenia do pracy wykrycie mordercy Bójki nie ma najmniejszego znaczenia.

– Ale nie zaprzeczy pan chyba, że zabicie Bójki było panu na rękę. Wszak Bójko nie przyznał się do zamordowania Bajdykowej i Kochówny, a zatem teraz może pan całą winą obarczyć trupa, który nie ma możliwości prawnej obrony. Tym samym uznanie mojego klienta za mordercę kończy zupełnie całą sprawę. Zabił Bójko. Bójko nie żyje, zamordowany rzekomo przez Bekierskiego, i nie może się już bronić. Zabicie Bójki ułatwiło panu życie, panie Popielski, czy tak? – Detektyw siedział zamyślony. – Nie odpowiedział pan na moje pytanie!

– Istotnie, śmierć Bójki zniosła pewne procedury dochodzenia do prawdy…

– Czyli ułatwiła panu życie?

– W tym sensie tak.

Bechtold-Smorawiński odetchnął i donośnym głosem zwrócił uwagę na trzy motywy, które mogły kierować Popielskim.

– Zemsta za upokorzenie – perorował, kierując w stronę Popielskiego wymanikiurowany palec – o którym ta honorowa natura woli milczeć, chęć pozbycia się rywala oraz ułatwienia kariery – oto trzy motywy, Wysoki Sądzie, pana Popielskiego, by obarczyć winą mojego klienta! Czegoż chcieć więcej?

– Dowodów na moje machinacje, które jakoby miały mi ułatwić życie! – ripostował świadek, który za tę uwagę został surowo upomniany przez sędziego.

Mecenas nie ustępował. Przedstawiwszy dowody, iż Popielski ukończył był kilka lat wcześniej w policyjnej Szkole Oficerów kurs szybkiego maszynopisania, zasugerował, iż list do „Wieku Nowego” został napisany nie przez Bójkę, lecz przez detektywa. Świadczyć by o tym miało to, iż list donoszący o żydowskim pochodzeniu hrabiny został napisany bezbłędnie, podczas gdy Bójko swe prace pisał na maszynie bardzo niedbale i z wielu wyrazami „wyiksowanymi”, czyli skreślonymi poprzez nadpisanie na nich szeregu liter „x”.

Popielski zaprzeczył energicznie, jakoby kiedykolwiek pisał ów lub podobny list. Adwokat przeczytał wtedy pisemną ekspertyzę językoznawcy z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Profesor Jerzy Kuryłowicz, występujący w roli biegłego sądowego, a obecnie przebywający na stypendium rządu francuskiego w Paryżu, odkrył drobne różnice stylistyczne pomiędzy wyrażeniami w liście a pracami naukowymi Bójki. Na to świadek zareagował śmiechem, zauważając, że teksty o różnym charakterze pisze się przecież odmiennie.

Nieco stropiony tą zdecydowaną wypowiedzią adwokat skończył przesłuchanie i sędzia Knipa zarządził z powodu późnej już pory zakończenie obrad. Decyzja ta była obronie niezwykle na rękę i wywarła ważny wpływ psychologiczny na ławę przysięgłych. Sędziowie bowiem, zmęczeni wyjątkowym nawet jak na lwowski maj upałem, przyjęli z ulgą zakończenie obrad i owa ulga, uczucie niewątpliwie przyjemne, kojarzyć się im będzie podświadomie z celnymi wypowiedziami mecenasa Bechtolda-Smorawińskiego, które tym samym uzyskają walor przyjemności. Sprytne.

Jak się jednak okazało, oskarżenie miało w swym repertuarze argumenty o równie dużym ciężarze gatunkowym, choć liczba świadków była nieporównanie mniejsza, obejmowała bowiem tylko dwóch. Pierwszym był kamerdyner ze Stratyna, pan Stanisław Wiącek.

[79] Nie dla brudnego zysku, lecz po to, by krzewić prawdę.

[80] Sposobem językoznawczym i matematycznym.

XV

KAMERDYNER STANISŁAW WIĄCEK zajął miejsce na ławie świadków. Trzymał się sztywno. Palce prawej dłoni zacisnął na klapie jasnej marynarki. Ten gest był elegancki i pełen godności. Kontrastował jaskrawo z zachowaniem wielu przesłuchiwanych dotychczas świadków, którzy z zakłopotaniem wykręcali palce, splatali je, by natychmiast rozplątać, rozciągali, wydając charakterystyczny chrzęst stawów, albo stukali nerwowo paznokciami o blat. Wiącek panował nad dłońmi, nie pozwalał, by ich nie kontrolowane ruchy zdradziły jego słabość czy bezradność. Jedna z nich leżała płasko na blacie i ani drgnęła, druga zaś trzymała się klapy marynarki w geście niemal napoleońskim.

– Zechce świadek się przedstawić, podać swój wiek i wykształcenie. – Prokurator Szumiło uśmiechnął się do Wiącka zachęcająco.

– Stanisław Wiącek, lat pięćdziesiąt trzy, cztery klasy gimnazjum klasycznego i dwie klasy szkoły zawodowej ślusarskiej.

Było w postawie kamerdynera coś żołnierskiego. Spokój połączony z lakonicznym i wyczerpującym odpowiadaniem na pytania – bez żadnych zbędnych dodatków – takim jak choćby lokalizacja owego gimnazjum.

– Dziękuję, a teraz proszę nam przedstawić wydarzenia z piątku 17 czerwca 1930 roku, które miały miejsce w pałacu w Stratynie.

– Tego dnia około dziewiątej rano przyjechały do pałacu trzy samochody ze Lwowa. Dziennikarze chcieli pilnie przeprowadzić z panem hrabią wywiad na temat rewelacyj, jakie się ukazały poprzedniego dnia w „Wieku Nowym”. Rewelacje owe mówiły, iż pani hrabina jest z pochodzenia Żydówką.

– Czy im się to udało?

– Nie.

– Czy oskarżony powitał jakoś dziennikarzy?

– Pan hrabia przyszedł do pałacu około dziesiątej…

– Skąd przybył?

– Nie wiem.

– A zatem oskarżony zjawił się w pałacu około dziesiątej rano. Co było dalej?

– A zatem pan hrabia, przyszedłszy do pałacu, zobaczył zbiegowisko dziennikarzy, którzy na jego widok zaczęli wykrzykiwać pytania o matkę Żydówkę. Pan był zaskoczony i najwyraźniej nie rozumiał, o co go pytają. Wtedy jeden z nich odczytał mu artykuł z „Wieku Nowego”, gdzie była mowa o Leonie Bójce jako o informatorze, który przekazał gazecie wspomniane rewelacje. Pan hrabia na takie dictum nie podjął z dziennikarzami żadnej rozmowy, lecz zostawiwszy ich na podjeździe, wszedł do pałacu i udał się do swego gabinetu. Tam pan hrabia zapoznał się z moją notatką dotyczącą wieczornych telefonów. Następnie wydał mi polecenie dostarczenia panom dziennikarzom kwasu chlebowego. Potem wyszedł tylnym wyjściem, wsiadł do samochodu zaparkowanego na podjeździe i odjechał.

– Wysoki Sądzie, panowie przysięgli. – Prokurator odwrócił się od Wiącka i wyjął z aktówki dużą kartę papieru. – Wspomniana przed chwilą notatka jest dołączona do akt, a ja trzymam w ręku jej odpis. Są na niej zapisy kilku rozmów telefonicznych, które są nieprzyjemnymi dla oskarżonego reakcjami na informację o matce Żydówce. Chcę tylko w tym momencie zwrócić panów uwagę na to, iż w notatce jest też zawarty szantaż ze strony zmarłego Leona Bójki. Otóż Leon Bójko zatelefonował poprzedniego wieczoru do oskarżonego i wobec jego nieobecności nakazał świadkowi zapisać te oto słowa. Cytuję najważniejsze: „To ja napisałem list o Żydówce Lejbach i wysłałem go do »Wieku Nowego«. Ale ty wciąż masz szansę uniknąć kompromitacji. Wystarczy, że sfinansujesz moje badania, a ja ci przebaczę, odwołam wszystko i zniszczę materiały z urzędu meldunkowego. Czekam na ciebie dziś wieczorem. Masz być u mnie bez ruskich psów. Ulica Zadwórzańska 25 m. 14. Tylko dzisiaj masz jedyną i ostatnią szansę”. Koniec cytatu. I tutaj następuje dalszy zapis Stanisława Wiącka. Cytuję: „PS Telefonujący się przedstawił: dr Leon Bójko”. Koniec cytatu. Czyli – prokurator zwrócił się do świadka – oskarżony przeczytał między innymi te słowa i wyszedł potajemnie z domu, czy tak?

– Właśnie tak.

Prokurator Szumiło umilkł i kilkakrotnie przespacerował się przed ławą dla świadków. Widać było, iż analizuje jakieś logiczne powiązania, by zadać decydujące pytanie. Jego milczenie było wręcz intensywne. Wiącek stał godnie i nieruchomo, ale upał panujący w sali zdawał się i jemu doskwierać. Cztery blizny na jego twarzy nabrały krwistej barwy, wyraźnie widocznej na tle bladości policzków.

– Czy oskarżony wydał polecenie, by poczęstować dziennikarzy kwasem chlebowym – Szumiło odezwał się wreszcie, gdy przysięgli zaczęli się nerwowo kręcić na krzesłach – przed przeczytaniem notatki o telefonach, czy też po?

– Po przeczytaniu notatki.

– A zatem notatka aż tak bardzo nim nie wstrząsnęła, nie sądzi pan?

– Nie wiem, nie rozumiem pytania pana prokuratora. – Wiącek po raz pierwszy oderwał prawą dłoń od marynarki i ułożył ją równo obok lewej.

– No bo gdyby nim wstrząsnęła, nie myślałby chyba o takim drobiazgu jak napój dla dziennikarzy, którzy ponadto mogli mu się jawić jako wrogo nastawieni, prawda? Gdyby był wzburzony notatką, a ściśle mówiąc: szantażem Bójki, przecież natychmiast by wybiegł z domu, nie zważając na to, czy komuś chce się pić, czy nie! Co pan sądzi o takim rozumowaniu?

– Zgadzam się z nim – odparł Wiącek.

– Gdyby zatem przyjąć, że oskarżony jest winny zarzucanego mu czynu – prokurator zwrócił się do przysięgłych – można by powiedzieć, że udał się z zamiarem dokonania tego czynu, nie będąc wewnętrznie wzburzonym. Z zupełnym spokojem wyjechał do Lwowa, by zabić Bójkę, nie zapominając pierwej poczęstować dziennikarzy kwasem chlebowym. Panowie przysięgli, ten spokój mordercy może świadczyć o jednym – o premedytacji!

Szumiło usiadł, dając znak, iż zakończył przesłuchanie.

– Veto! – zakrzyknął mecenas Bechtold-Smorawiński. – Ten wniosek a posteriori [81] jest logicznie nieuprawniony. Mój znakomity kolega wnioskuje z czegoś, co ma być dopiero wnioskiem końcowym. Wszak to błędne koło!

– Oddalam sprzeciw, mecenasie. – Sędzia Knipa zaczerpnął tchu. – Oskarżyciel próbuje jedynie zrekonstruować okoliczności zarzucanego czynu. Teraz świadek jest do dyspozycji obrony.

Adwokat podszedł do Stanisława Wiącka i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Może pan nam zdradzić, skąd się wzięły te blizny na pańskiej twarzy?

– Moja ślubna małżonka podrapała mnie niegdyś dotkliwie w czasie kłótni małżeńskiej.

Lokaj, zaskoczony najwyraźniej tym pytaniem, zdradził pewien niepokój. Stracił bowiem żołnierską ścisłość i lakoniczność wysłowienia, dodając w swej odpowiedzi niepotrzebne „ślubna” i „małżeńskiej”.

– Czy mógłby pan powiedzieć, czego dotyczyła owa kłótnia?

– Tajemnica małżeńska.

– No dobrze. – Mecenas Bechtold-Smorawiński uśmiechnął się. – Przepraszam, nie chciałem ingerować w pożycie małżeńskie świadka z powodu plotkarskiej ciekawości. Pytam jednak, kierując się wyłącznie dobrem sprawy. Muszę uświadomić świadkowi, że dysponuję pisemną ekspertyzą lekarza sądowego, jednego z najwybitniejszych specjalistów, doktora Iwana Pidhirnego, który, jak świadek sobie przypomina, przyjrzał się ranom świadka – za jego zgodą – podczas przesłuchania na policji. Otóż doktór Pidhirny uważa, że te rany wyglądają jak ślady po uderzeniu wąskim i ostrym przedmiotem, na przykład szpicrutą. Jak świadek skomentuje ten wniosek doktora?

– Paznokcie mojej żony są wąskie i ostre.

– Czy świadek widział kiedykolwiek szpicrutę oskarżonego?

– Tak.

– Czy świadek widział, jak oskarżony bije nią innych?

– Tak.

– Czy bił nią swoją służbę?

– Tak.

– Kogo na przykład?

– Kuchcika, pokojówkę, chłopaka stajennego…

– A czy kiedykolwiek uderzył świadka?

– Nie.

– Stawiam tezę, Wysoki Sądzie – adwokat demonstracyjnie odwrócił się od przesłuchiwanego i teatralnym gestem udrapował togę – że zeznania świadka, wiedzionego pragnieniem zemsty za oćwiczenie go przez oskarżonego szpicrutą po twarzy, są obarczone pewną dozą wątpliwości. Tego motywu zemsty świadek nie chce potwierdzić, kierując się godnością osobistą, którą tak doskonale widać w zachowaniu i postawie świadka.

Po ogłoszeniu przez adwokata, iż nie ma więcej pytań, Stanisław Wiącek zszedł z podium i usiadł na swoim miejscu wśród publiczności. Na jego klapie od marynarki widniała plama po spoconej dłoni.

[81] Wnioskowanie z następstw o przyczynach.

XVI

KAMERDYNER STANISŁAW WIĄCEK urodził się w Kozowej w powiecie brzeżańskim w bogatej rodzinie chłopskiej. Jego ojciec Kazimierz

Wiącek jako jeden z nielicznych w swym środowisku potrafił czytać, a jego podstawową lekturą była Biblia. Znał ją na wyrywki, a jej wskazówki moralne nieustannie wpajał swym licznym dzieciom. Nauka mądrości Świętej Księgi odbywała się w każdą niedzielę po mszy świętej i zaczynała się od chóralnej deklamacji Dekalogu. Ojciec szczególny nacisk kładł na przykazania „Czcij ojca swego i matkę swoją” oraz „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Sądził, że inne przykazania dotyczą wieku dojrzałego i jako takie nie powinny obchodzić jego progenitury. Drobiazgowo je omawiał, przytaczając inne cytaty biblijne i ilustrując je przykładami z życia codziennego Kozowej i okolic. Stary Wiącek byłby pewnie dobrym katechetą, gdyby nie zbytnia pedanteria – żądał mianowicie od dzieci bezbłędnego odtwarzania Biblii, a w razie pewnych przeinaczeń w cytatach natychmiast sięgał po skórzaną dyscyplinę. Czynił to nader często, a nieuniknione błędy w dosłownym przytaczaniu treści biblijnych z okrutną przesadą nazywał „kłamstwem”. Przez to postępowanie rodziciela u małego Stasia i u jego rodzeństwa wykształcił się następujący proces skojarzeniowy: kłamię, więc cierpię pod batogiem.

To wspomnienie bólu zadawanego ojcowskim nahajem Stanisław Wiącek odczuwał ostatnio nieustannie. Również i teraz, kiedy wpatrywał się w Edwarda Popielskiego wezwanego przez oskarżyciela. Słuchał jego wypowiedzi, lecz nie zwracał na nie uwagi, a nawet więcej – w ogóle nie trafiały one do jego uszu, ponieważ te ostatnie wypełnione były okrzykami ojca: „Skłamałeś, że pan hrabia najpierw czytał twoje notatki, a potem kazał kwasem chlebowym ugościć utrudzonych przybyszów, a było owoż odwrotnie – najpierw dał pić spragnionym, a potem czytał. Kłamiesz, więc cierp teraz!”.

Tymczasem Popielski począł plastycznie i szczegółowo odmalowywać charakterystykę oskarżonego.

STERNBACHÓWNA LUDWIKA: Świadek oskarżenia na ławie oskarżonych. Sprawa hrabiego Bekierskiego, (w:) Kryza, Ignacy (red.): Wstać, sąd idzie! Wybór reportaży sądowych z dwudziestolecia międzywojennego, Warszawa: Czytelnik, 1974, s. 197–203.

Edward Popielski i tym razem prezentował się równie starannie i pewnie jak uprzednio. Nie znać było po nim śladu zaniepokojenia i

desperacji, jaka mogłaby się przecie zrodzić w świadku oskarżenia, który stał się prawie oskarżonym i któremu oficjalnie na sali sądowej postawiono zarzut zakłamania śledztwa i wplątania w morderstwo niewinnego człowieka. Był nadzwyczaj opanowany. Skała, nie człowiek. Nastrój zapewne zawdzięczał również temu, że przesłuchiwał go przyjazny mu prokurator, który bardziej słuchał, niż pytał.

A słuchać było czego. Dawno nie słyszałam tak zwięzłej i jednocześnie pełnej charakterystyki psychologicznej. Chętnie przeczytałabym raporty policyjne Edwarda Popielskiego. Jeśli jest w nich tyle literackiej maestrii, ile w jego wypowiedziach, mogę śmiało stwierdzić, że ten interesujący mężczyzna nie powinien być detektywem ani filologiem, lecz pisarzem.

Przedstawiał bardzo dokładnie sylwetę hrabiego Józefa Bekierskiego, jaką był poznał z relacji nieżyjącego już Leona Bójki. Oskarżony w opowieści świadka stanął jako żywy przed naszymi oczyma. Zobaczyliśmy człowieka pełnego sprzeczności, w którego duszy matematyka i inżynieria walczyły z niezwykłą religijnością. Nie była ona jednak ślepa i egzaltowana, ale właśnie nakierowana, by tak rzec, „matematycznie". Bekierski zetknął się był bowiem w czasie studiów w Kazaniu z rosyjską sektą religijną imiesławców, wśród których dominowali właśnie matematycy! Byli to znani profesorowie moskiewscy – nie wiem, przez kogo znani, ja o nich w życiu nie słyszałam! – Jegorow czy Łuzin. Wyznawcy tej sekty, do których Bekierski dołączył już był na początku studiów, uważali, że „Bóg jest swym imieniem", co dla matematyków jest poniekąd zrozumiałe – nie pytajcie mnie jak! – w odniesieniu do teorii liczb porządkowych. Bekierski, zafascynowany imiesławiem, rozpoczął badania nad językiem hebrajskim, ponieważ interesowały go konteksty, w jakich używano magicznego i niewymawialnego imienia starotestamentowego Boga, które składało się z czterech spółgłosek, JHWH, i jedni je wymawiali jako „Jehowa", inni jako „Jahwe". Niewiarygodne, że ten zajadły antysemita studiował hebrajszczyznę! Ale mroki natury ludzkiej, by pozostać przy metaforyce biblijnej, są bardziej nieprzeniknione niż ciemności egipskie.

Po tej prezentacji osoby Bekierskiego detektyw przystąpił do charakteryzowania zmarłego Leona Bójki, który wraz z oskarżonym przez trzy semestry studiował był w Kazaniu matematykę, zanim hrabia podjął studia techniczne. Bójko dokonał wiekopomnego wynalazku matematycznego: opracował teorię tak zwanych liczb Charona, w których

jest „zapisany każdy skończony ciąg”. Ponieważ opowieści, czy to mówione, czy pisane, są skończonym ciągiem liter, w liczbach Charona zakodowana jest każda z nich. Ponieważ życie każdego człowieka jest opowieścią, w liczbach Charona zakodowane jest życie wszystkich razem z narodzinami i śmiercią. Do tej pory nie znano klucza do tego nieskończonego szyfru, obejmującego wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli i żyć będą na ziemi. Bójko uważał, że klucz ów odnalazł był w hebrajskim tekście Starego Testamentu. Zestawiając rozmaite frazy i słowa wyrwane z kontekstu, budował kwadraty magiczne – nie pytajcie mnie, na Boga, co to jest! – które (i tu Popielski był też bezradny) nie wiadomo jak wykorzystywał do rozszyfrowywania opowieści o życiu ludzkim, zapisanym w liczbach Charona. W każdym razie Bójko poświęcił się całkowicie badaniom nad Biblią. Przypadkiem odkrył ciekawą zbieżność liczbową dotyczącą dwóch kobiet, które znał był od dawna i z którymi utrzymywał stosunki intymne. Mowa tu o wróżce Lubie Bajdykowej i o prostytutce Lii Kochównie. Otóż po dodaniu liczb, które tkwią w literach ich imion – nie pytajcie mnie, w jaki to mianowicie sposób litery mogą mieć wartość liczbową! – otrzymał liczbę 68. Po dodaniu liter-liczb w hebrajskim określeniu ich profesyj (wyrazy „prorokini” i „nierządnica” też mają jakieś liczby w hebrajszczyźnie), otrzymał również 68. Uznał to za wyraźny znak. Wciąż pracując w urzędzie ewidencyjnym, po kryjomu zaczął w księgach szukać takich ludzi. Przypadkiem natrafił na informacje o żydowskim pochodzeniu matki swego dawnego kolegi z ławy uniwersyteckiej, obecnie bajecznie bogatego właściciela dóbr ziemskich i działacza nacjonalistycznego Józefa Bekierskiego.

I tutaj nastąpiło połączenie dwóch opowieści – o Bójce i Bekierskim. Popielski, rozpoczynając ten wątek, przyznał z niejakim smutkiem, że tajemnicę odczytania liczb Charona Bójko zabrał do grobu i to, co teraz on, Popielski, powie, ma charakter czysto hipotetyczny. Otóż nie wiadomo, czego się Bójko dowiedział o Lubie Bajdykowej i Lii Kochównie, ale prawdopodobnie z liczb Charona wyczytał datę i okoliczności ich śmierci. Poszedł z tymi informacjami do Bekierskiego, aby poprosić go o fundusze na dalsze badania. Potrzebował bowiem maszyny liczącej oraz stałych współpracowników, hebraistów i matematyków, którzy by zestawiali biblijne frazy w kwadraty magiczne. A tacy specjaliści nie będą wszak pracować za darmo.

Hrabia odmówił. Wtedy Bójko zaszantażował go ujawnieniem informacyj o matce Żydówce. Hrabia znów odmówił, po czym dotkliwie pobił Bójkę. Kwadraty magiczne, które ten zaprezentował Bekierskiemu, pozostały w rękach hrabiego. Bekierski zaczął je pilnie studiować. Zafascynowała go zagadka liczb Charona.

Tymczasem Bójko, pozbawiony zupełnie nadziei na fundusze na dalsze badania, przystąpił do zbrodniczej części planu. Zamordował mianowicie i Lubę Bajdykową, i Liję Kochównę, a kwadraty magiczne wysłał na policję jako osobliwe nekrologi. Po co? Bo chciał się pochwalić światu wiekopomnym odkryciem! Liczył, że ktoś odczyta jego rewolucyjne przesłanie i może dołączy, by wspólnie poprowadzić dalsze eksploracje! Szukał bogatego ekscentryka, który by sfinansował badania. Najpierw wysyłał hebrajskie kwadraty do prasy okultystycznej i bulwarowej z prośbą o publikację, pisząc, iż są tam zaszyfrowane proroctwa. Niczego mu nie opublikowano. Toteż zaczął mordować i miał nadzieję, że ktoś z przekupnych funkcjonariuszy sprzeda kwadraty magiczne prasie i wkrótce jego tajne komunikaty staną się powszechnie znane. Lecz się przeliczył. Policjanci nie byli łasi na brudne pieniądze brukowców, a kwadraty magiczne odkrył nie zamożny finansista, który chce władzy nad ludzkim życiem i światem, lecz Popielski. Ten dzięki poszukiwaniom w oddziale ewidencji ludności dotarł do Bójki. Matematyk, chcąc uniknąć stryczka, już w czasie pierwszego spotkania przymilał się do detektywa, wychwalając pod niebiosa jego talent matematyczny, po czym zaproponował mu wspólne badania nad największym wynalazkiem ludzkości.

– Nie obawiałem się, że podejrzany ucieknie – mówił Popielski. – Ubogi dystrakt [82], oberwaniec z kępkami włosów sterczących nad uszami jest wszędzie łatwy do wytropienia. Tymczasem Bójko zrozumiał, że grunt mu się pali pod nogami, i tego samego dnia napisał do „Wieku Nowego” list, w którym ujawniał żydowskie pochodzenie hrabiny Bekierskiej. Potem zatelefonował do Bekierskiego z żądaniem pieniędzy za odwołanie swych rewelacyj. Telefoniczne polecenie zanotował kamerdyner Bekierskiego, pan Stanisław Wiącek. Na drugi dzień hrabia, powróciwszy zapewne z jednej ze swoich erotycznych eskapad, które w okolicznych wsiach urządzał sobie wcale często, natrafił na dziennikarzy pytających go o matkę Żydówkę. Kiedy przeczytał notatkę lokaja, już wiedział, kto ujawnił tajemnicę jego życia, której publiczne objawienie zamknęło mu drogę do politycznej kariery. Wymknął się zatem chyłkiem z pałacu i pojechał do Lwowa. Po

jego wyjeździe kamerdyner Wiącek natychmiast zatelefonował do mnie z obawą, iż życiu Bójki zagraża niebezpieczeństwo, ponieważ pan poznał źródło informacyj o pochodzeniu swojej matki. Niestety, nie było mnie w domu i wiadomość ta dotarła do mnie dopiero wieczorem. Pobiegłem czym prędzej do mieszkania Bójki i zastałem w nim zamordowanego gospodarza i pobrudzonego olejem Bekierskiego. Tak było. Quod erat demonstrandum [83].

– Kłamiesz, ty kanalio! – wrzasnął Bekierski. – Wszystko jest sfingowane! Lałem na ciebie jak koń, a ty się teraz mścisz!

Publiczność zabuczała, sędzia krzyknął ostro na oskarżonego, a Popielski usiadł z westchnieniem politowania. Po jego wystąpieniu wszystko ułożyło mi się w oczywistą i zwartą całość. Tej żelaznej logice wydarzeń nie mógł nie ulec również i obrońca Bekierskiego. Jego wystąpienie było teraz chwiejne i niepewne. Po zapytaniu Popielskiego o kilka niuansów dotyczących jego znajomości ze Stanisławem Wiąckiem zadał nieprzekonujące pytanie retoryczne.

– Na moim kliencie spoczywa zarzut zamordowania Leona Bójki – mówił, osuszając czoło chusteczką. – Czyż nie zastanawia Wysokiego Sądu i panów przysięgłych to, że mój klient, czyli rzekomy morderca, miał ręce powalane olejem? Czy nie jest to zbyt oczywisty dowód? Czyż nie jest dziwne, że inne części jego garderoby nie uległy pobrudzeniu? Wszak przesunięcie wiadra pod głowę wiszącego człowieka i następnie opuszczenie go tak, aby ta głowa się zanurzyła w oleju, może spowodować znaczny rozprysk płynu, którym można powalać resztę ubrania! Tymczasem mój klient miał pobrudzone tylko ręce, które jakże łatwo mógł do beczki wsadzić mu ktoś trzeci! Mój znakomity kolego – zwrócił się do prokuratora Szumiły – to dowód jak z broszurowej powieści tajemnic!

– Mamy też inny – odparł oskarżyciel. – Coś, co byłoby za trudne dla czytelników broszur kryminalnych.

– Co mianowicie?

– Trzeci kwadrat magiczny – Szumiło wyjął z teczki kartkę, na której widniała macierz o sześcioliterowym boku – znaleziony w gabinecie hrabiego Bekierskiego podczas rewizji po dwóch dniach od momentu aresztowania. Ten dowód zbrodni jest bezdyskusyjny. Proszę świadka, pana Edwarda Popielskiego, o objaśnienie kwadratu.

***

Stanisław Wiącek patrzył na Popielskiego, ale niczego z jego wywodów nie rozumiał. Nie słyszał spokojnego, donośnego głosu detektywa, bo wciąż w jego głowie dźwięczało ojcowskie „Skłamałeś, no to cierp!”. „Żadne cierpienie nie będzie zbyt wielkie – myślał – bym odkupił grzech nielojalności wobec hrabiego”.

Nagle zesztywniał i zacisnął pięści. Przypomniał sobie swoje zaniedbanie sprzed miesięcy. Nazajutrz po aresztowaniu pana Popielski dostarczył mu ten właśnie kwadrat magiczny i nakazał umieścić w biurku Bekierskiego. Detektyw był – co nie uszło uwagi kamerdynera – senny, blady i zmęczony. „Też by pan tak wyglądał, gdyby pan tworzył przez całą noc hebrajskie kwadraty” – powiedział. Stanisławowi wydało się zgoła nieprawdopodobne, iż hrabia, zaciekły antysemita, miałby trzymać w biurku żydowskie szpargały. Jego zdumienie było tak wielkie, że zapomniał się i podrzucił zapisaną kartkę do biurka pana gołymi rękami – wbrew wyraźnemu zaleceniu, by użyć do tego rękawiczek. I teraz patrzył na ten kwadrat magiczny i oczyma wyobraźni widział na nim odbitkę daktyloskopijną swoich palców.

Popielski skończył objaśniać i oddał kartkę prokuratorowi. Ten włączył ją do akt, gdzie zniknęła na zawsze wśród innych dokumentów. Żaden daktylotechnik już z niej nie zbierze odcisków palców.

Wiącek otworzył dłonie. Przy kciuku przez kilka sekund drgał mały mięsień. Nikt tego nie zauważył. Nikt nie patrzył na Wiącka. Bóg go ocalił.

[82] Człowiek roztargniony.

[83] Co było do udowodnienia (w formułach matematycznych).

## XVII

POPIELSKI POWIÓDŁ PO SŁUCHACZACH spokojnym spojrzeniem. Oto po raz czwarty w życiu staje przed poważnym audytorium, które musi przekonać do swoich racyj. Jego pierwszy wykład matematyczny – ongiś na Uniwersytecie Wiedeńskim – przerwał ponury zwiastun epilepsji, drugi – niedawno wygłoszony na Uniwersytecie Jana Kazimierza – został zmiażdżony przez złośliwego profesora, trzeci, przedstawiony kolegom w gabinecie Kocowskiego, niósł nadzieję właściwego tropu, czwarty, na sali sądowej, będzie – tego był pewien – jego wielkim triumfem.

Woźny sądowy wniósł tablicę i Popielski przyczepił do niej pinezkami dwie plansze z kwadratami magicznymi Luby Bajdykowej i Lii Kochówny. Widząc zmieszanie sędziego i przysięgłych, którzy oniemieli na widok liczb i hebrajskich liter, stracił był na chwilę poczucie pewności siebie, przez co rozpoczął wykład nieco drżącym głosem. Zaraz jednak jego basowe brzmienie podziałało na słuchaczów uspokajająco, a jemu samemu przywróciło pełne panowanie nad sobą. Wyjaśnił najpierw, czym są kwadraty magiczne, następnie przyczepił trzecią planszę, na której wyrysowane były puste kwadraty oraz hebrajskie litery z odpowiadającymi im wartościami liczbowymi. Wtedy w wolne miejsca pustych kwadratów wpisał liczby odpowiadające literom, po czym wyjaśnił, że niektóre liczby w kwadratach są uprzywilejowane, ponieważ są iloczynem swych współrzędnych. Liczby te znów pozamieniał na litery i ułożył w odpowiedniej kolejności.

– Proszę teraz zauważyć, drodzy panowie – z rozmysłem i z radością pozwalał sobie na profesorskie frazy – że z wyeksponowanych liter otrzymaliśmy imię i nazwisko każdej z ofiar oraz dwie przyczyny ich śmierci. Jedną z nich jest przyczyna bezpośrednia, czyli narzędzie śmierci, corpus delicti (gwóźdź, sznur, ręka), drugą zaś powód, dla którego ofiara została zabita (choroba, arogancja). Ponadto gematria nazwiska i tu, i tu wynosi 68, podobnie jak gematria hebrajskiej nazwy zawodu wykonywanego przez kobiety. Proszę spojrzeć na podsumowanie tego wątku rozważań. – Popielski przyczepił na tablicy jeszcze jedną planszę.

Odetchnął, widząc zrozumienie i zainteresowanie w oczach przysięgłych i sędziego. Wciągnął w płuca ciepłe powietrze sali i przeszedł do rzeczy.

– Po śmierci Leona Bójki policja znalazła w gabinecie Józefa Bekierskiego ten oto trzeci kwadrat magiczny. Jest w nim zakodowane nazwisko zamordowanego, powód śmierci oraz narzędzie, którym ją zadano. Najpierw przedstawię go panom w wersji surowej i pierwotnej. – Mówca zdjął z tablicy wszystkie plansze i przyczepił nową.

Teraz zapisujemy ten absurdalny tekst w postaci liczb, przypisując każdej hebrajskiej literze stosowną liczbę, i otrzymujemy kwadrat liczbowy, w którym podkreślamy liczby będące iloczynem współrzędnych.

Teraz przenosimy podkreślenie z liczby na odpowiadającą jej literę i otrzymujemy jedenaście uprzywilejowanych liter.

Wypisujemy te litery osobno:

ŕ á ä á Ĺ â ă ë é ě ě

a następnie układamy je w odpowiedniej kolejności

Mamy tutaj imię, nazwisko, narzędzie zbrodni (pojemnik na olej) oraz główny powód – świat podziemny, Hades, do którego zamordowany chciał bezkarnie wchodzić jak Charon. I na koniec jeszcze dodajmy, że gematria nazwiska zamordowanego i gematria jego możliwego określenia „mędrzec” chkm wynosi i tu, i tu równo 68.

Jak zatem panowie widzą, trzeci kwadrat magiczny o identycznym boku sześcioliterowym został skonstruowany identycznie jak dwa poprzednie. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że dwa pierwsze sporządził morderca. Trzeci kwadrat magiczny znaleziono u Józefa Bekierskiego. Kto go sporządził? Bójko, bo to on przecież twierdził w rozmowie z Bekierskim, że ma kwadrat magiczny dotyczący samego siebie. Bekierski znalazł go w mieszkaniu Bójki, przeszukawszy je, gdy więził matematyka w swej piwnicy. I wtedy wpadł na szatański pomysł zbrodni doskonałej. Chciał zwalić winę na mordercę, który zabił i Lubę Bajdykową, i Liję Kochównę. Wystarczyło samemu zabić Bójkę, mordercę obu kobiet, w sposób opisany w kwadracie magicznym i podesłać ten kwadrat policji. Ta wówczas byłaby przekonana, że sprawcą trzech morderstw jest jedna i ta sama osoba. A wtedy do końca świata mogłaby równie dobrze szukać wiatru w polu – jakiegoś Żyda lub hebraisty. Tak czy inaczej, trzeci kwadrat magiczny jest znakiem rozpoznawczym mordercy. Ten zabił, kto go miał ostatni. Znaleziono go u Bekierskiego? Ergo – jest on mordercą! Quod erat demonstrandum.

Teraz gruchnęły brawa. Popielski odszedł od tablicy wśród wrzawy. Sędzia bił młotkiem w pulpit, by uspokoić publiczność. Przez ten hałas przedarł się mocny kobiecy głos. Dystyngowana starsza dama siedząca w pierwszym rzędzie wstała gwałtownie i wbiła w prelegenta wzrok pełen nienawiści.

– Ty podlecu! – krzyknęła. – Pomyliłeś imię! Zamordowany miał na imię Leon, nie Lew, i wychodzi tu zupełnie inna gematria!

Na sali zapadła cisza, jedynie między rzędami przemieszczały się szepty „To hrabina Bekierska!”.

Popielski uśmiechnął się radośnie.

– Tak bardzo jestem szanownej pani hrabinie wdzięczny za przypomnienie mi tej nieścisłości, że daruję jej nawet to mało przychylne określenie mojej osoby. Otóż wyjaśniam już państwu tę zagadkę. Leonowi

Bójce podczas studiów na rosyjskim uniwersytecie w Kazaniu zruszczono imię na „Lew”, co było normalną praktyką. Podobnie w dokumentach uniwersyteckich w Kazaniu zamiast „Józef Bekierski” widnieje „Josif Bekjerskij”. A zatem imię „Lew”, nie „Leon”, znalazło się w kwadracie magicznym przeze mnie zaprezentowanym!

Ruszył do ławy. Wtedy kątem oka dostrzegł, że hrabina kiwa na niego dłonią w czarnej włóczkowej rękawiczce. Mimo że od początku uczestniczyła w procesie swojego syna, Popielski zauważył ją, dopiero kiedy zabrała głos. Podszedł do niej i z szacunkiem pochylił głowę.

– Tydzień temu w Stratynie Renata Sperling urodziła twojego bękarta! Ladacznicę i pomiot wyrzucę do chlewa! Chcesz zobaczyć, jak pełza w gnojowicy niczym ludzka glista?

Po swym czwartym w życiu wykładzie Popielski nie czuł nawet cienia satysfakcji.

## XVIII

JECHAŁ BARDZO SZYBKO nowiutkim policyjnym chevroletem, którego mu użyczył Wilhelm Zaremba. Kurz z pylistych dróg za Rohatynem wzbijał się i osiadał na reflektorach. W ich świetle tańczyły owady, przebiegały psy i jarzyły się ślepia leśnych zwierząt.

Popielski był ubrany w najlepszy letni garnitur, w którym wystąpił tego dnia w sądzie. Na siedzeniu obok leżał bukiet czerwonych róż i aktówka ze wszystkimi kwadratami magicznymi oraz artykułami i notatkami Bójki. Spoczywała w niej również wypchana koperta z pieniędzmi. Dym z papierosa zasnuwał na chwilę wnętrze auta i szybko wypadał w noc wąskimi pasmami.

Jadąc z dużą szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, mrużył oczy przed dymem i wystukiwał na kierownicy jakiś nie znany sobie rytm. Był on znakiem nieposkromionej radości. Popielski czuł, że rozsadza go miłość do całego świata. „Nie jest rzeczą zwykłą – tłumaczył sobie w myślach swój nastrój – by jednego dnia wymknąć się katu spod topora, a jednocześnie dowiedzieć się, że zostało się ojcem”. Wprawdzie i jeden, i drugi powód radości może okazać się przedwczesny. Nowy adwokat Bekierskiego, gwiazda warszawskiej palestry, już zgłasza apelację od wyroku dwudziestu lat więzienia, jaki spadł na hrabiego. Nie jest wcale pewne, czy nie dopatrzy się winy Popielskiego i czy to on nie wyląduje w więzieniu. Przecież to doprawdy cud, że Bechtold-Smorawiński nie

dowiedział się o nagłym wyjeździe Bajdyka do Ameryki! Ale co tam! Nawet gdyby to odkrył, cóż znaczy kolejny zbieg okoliczności wobec porażającej logiki macierzy? Wszystko to furda! Nie ma się co martwić. Bajdyk już dawno siedzi w swoim Teksasie, a Wiącek będzie milczał. Do tajemnicy zobowiązuje go przecież fałszywe zeznanie, a jego wyrzuty sumienia zostały uciszone dolarami Bajdyka. Inżynier podobnie zabezpieczył Popielskiego. Teraz już mógł się przestać martwić o pieniądze i założyć nową rodzinę. Otrzymał od losu nowe życie z kobietą u boku! Jest pełen sił witalnych, nie brak mu rozumu ani pieniędzy i wnet się unieśmiertelni w kolejnych potomkach, których mu zapewnią młoda matka i jego własne niespożyte lędźwie!

Niepokój zrodzony tą myślą aż nim szarpnął. Wcale nie był pewien reakcyj Renaty Sperling. Jej uczucie do niego, o ile w ogóle się pojawiło, mogło już dawno zaniknąć. Poza tym podczas ich ostatniego spotkania sprzed wielu miesięcy tak dotkliwie i okrutnie ją był upokorzył! „Dlaczego nie próbowałem jej odszukać? Wszak było to pewne, że wróciła pod skrzydła swej protektorki, hrabiny Bekierskiej, która rozwścieczona pod wpływem całego procesu, teraz ją wyzywa od ladacznic!” Czy Renata przyjmie en bloc jego przeprosiny wraz z oświadczynami? Czy biedna niewiasta samotnie wychowująca ich dziecko uczyni to kierowana uczuciem, czy wyrachowaniem? A nawet gdyby je przyjęła, to – abstrahując już od jej motywów – sama się skaże na nieusuwalne piętno, na codzienną wrogość, rodzinne przekleństwo wyrażone nienawistnym spojrzeniem Rity i ironiczną zimną wściekłością Leokadii. Czy ich niechęć rozleje się na tygodniowe maleństwo, które śpi u boku matki w jakiejś oborze? Może jest ułomne, może zdeformowane, bo dlaczegóż by hrabina nazwała je „ludzką glistą”?

Te smutne myśli towarzyszyły mu, gdy wjeżdżał do Pukowa. Zwolnił. Nad ciemnymi chatami szumiały drzewa targane przedburzowym wichrem. Zza opłotków rozległo się szczekanie psów. Minął uśpioną wieś. W oddali szumiał potok Studeny, nad którym został niegdyś zmaltretowany. Rozterki, które go nachodziły w czasie tej podróży, uznał za słuszną karę, jaka mu się należała. I to wcale nie za wsadzenie za kratki niewinnego człowieka – nie, tu nie szarpały nim najmniejsze wyrzuty sumienia. Ocalił sam siebie, ponadto uważał, że dwadzieścia lat choćby za niezawiniony czyn to nie jest wcale za dużo dla zwyrodnialca, który ma na sumieniu pogromy i gwałty. Przygnębiające myśli były raczej karą za próżność i dumę, które czuł w

sądzie podczas rozprawy. Zatrzymał samochód na podjeździe pałacu w Stratynie i w tym momencie zrozumiał, że każdy z jego czterech wykładów, podczas których z rozkoszą wsłuchiwał się we własne wymyślne frazy, napawał się niskim, aksamitnym tembrem swojego głosu, to były chwile przerażającej pychy, przejaw przeklętej hybris, za którą teraz karali go bogowie.

Zapukał do bramy pałacu. Otworzyła mu zaspana, owinięta w szlafrok służąca i na pytanie o Renatę Sperling wskazała mały murowany budynek gospodarczy, pewnie jakiś składzik na narzędzia, stojący w głębi pałacowego ogrodu. Popielski poszedł tam po trawie pokrytej wieczorną rosą. W jednej dłoni dzierżył teczkę z pieniędzmi i z materiałami Bójki, w drugiej – bukiet róż.

Zapukał raz. I jeszcze raz. Drzwi się otworzyły.

Stała w nich Renata Sperling w nocnej koszuli. Włosy miała zmierzwione od poduszki, oczy podkrążone od bezsenności. Za jej plecami, w świetle lampki naftowej, dojrzał czysto wysprzątany pokój, w którym niegdyś pewnie przechowywano narzędzia ogrodowe, a teraz stało dziecinne łóżeczko.

Wręczył jej bukiet kwiatów. Spojrzała na niego uważnie. Zdjął kapelusz i ukląkł przed nią na progu. Na jego głowie lśniły krople potu.

– Zostań moją żoną – powiedział cicho.

Wicher rozwiał koronę starej lipy, zaszumiał w wejściu do domku i rozkołysał skrzydłem otwartego okna. Rozległ się łoskot uderzenia o framugę. Z pokoju dobiegł zgrzytliwy, jakby blaszany płacz noworodka.

– Mam syna czy córkę? – zapytał.

– Kocham cię – szepnęła Renata, jakby nie słyszała jego pytania. – I wyszłabym za ciebie, ale ty zaraz cofniesz swoje oświadczyny.

– Dlaczegóż to?

– Nigdy nie będziemy mężem i żoną!

– Mów! Dlaczego?!

– Spójrz na moje dziecko!

Popielski powstał z kolan i wszedł do pokoju. Położył kwiaty i teczkę na stole. Potem pochylił się nad łóżeczkiem dziecka i poczuł zimny pot na szyi. Renata miała rację. Nigdy nie będą mężem i żoną.

Na główce dziecka rozlewała się duża włochata czarna myszka. Gdyby się jej dobrze przyjrzeć, można by się w niej dopatrzyć kształtu Italii.

Wybiegł szybko z domku i ruszył do samochodu. Kiedy wsiadał, o dach zastukały ciepłe i napęczniałe krople deszczu.

XIX

Mój Paniczu!

Starszy pan hrabia Antoni Bekierski był dla mnie dobry. Służyłem u niego od momentu, kiedy wróciłem do rodzinnej wsi Kozowej i zacząłem tam terminować w zakładzie ślusarskim. Pewnego dnia wezwał mnie do naprawy drzwi do bawialni. Gdym się dobrze z nimi sprawił, dał mi posadę w pałacu. I tam awansowałem – od pomocnika do kamerdynera. Starszy pan hrabia rozmawiał ze mną o wszystkim, co przeczytałem w pałacowej bibliotece, traktował mnie jak równoprawnego człowieka. Kiedy spotykałem go na korytarzu, pierwszy mnie pozdrawiał, mnie, młokosa, chłopskiego syna! Kazał mi kiedyś przysiąc na krucyfiks, że nigdy panicza nie opuszczę. On znał dobrze słabości i skłonność panicza do gwałtu, które ujawniły się już w dzieciństwie. Przysięgłem, że zawsze będę panicza chronił. Pamiętałem o tej przysiędze, kiedy panicz niewolił chłopki, a ja po cichu płaciłem ich rodzinom odszkodowanie albo uciekałem przez pola szczuty psami. Byłem jej wierny, kiedy panicz bił mnie szpicrutą i kiedy biegał za panienką Renatą, zmuszając ją, by całowała go po obnażonych genitaliach. Byłem wierny przysiędze. Ale w końcu ją złamałem, ponieważ cały czas kochałem Renatę. Złamawszy świętą zasadę gościnności, z jaką mnie przyjęto, mogę teraz tylko – niegodny krzywoprzysięzca – odejść ze Stratyna, by ocalić resztki honoru i nie patrzyć w oczy starszej pani. Powinienem w łeb sobie wypalić, ale brak mi odwagi. Żegnaj, Paniczu!

Popielski złożył list i spojrzał pytająco na komendanta wojewódzkiego inspektora Czesława Paulina Grabowskiego. Ten w zamyśleniu stukał palcami po blacie masywnego biurka i wpatrywał się w przeszklone drzwi biblioteki zasłonięte od wewnątrz jasnymi firankami.

– Ten list znaleziono po rewizji celi Józefa Bekierskiego – sapnął komendant. – Cała Polska bardzo się interesowała jego słynnym procesem. A pan, komisarzu, był na nim głównym świadkiem oskarżenia. Ten list pokazuje, że inny świadek, Stanisław Wiącek, złożył fałszywe zeznania. Jakiś szukający rozgłosu, nadgorliwy adwokacina może rozgrzebać ponownie całą sprawę, a ona rzuci na pana długi i ponury cień… Jeśli jeden świadek oskarżenia był niewiarygodny, to taki sam może być i drugi, czyli pan… Kto Wiącka skłonił do fałszywych zeznań? Może to pan Popielski? –

zapyta jakiś dziennikarzyna i napisze o tym artykuł! Oczerni pana! Tak, tak… Długi i ponury cień… A w tym cieniu znajdzie się również cała policja… Co pan na to, komisarzu?

– Odeprę wszelkie zarzuty, panie komendancie, i prasowe, i sądowe – krótko i po wojskowemu odpowiedział Popielski, a potem dodał powoli: – Nawet ponowny proces…

– Ponownego procesu nikt nie chce. – Grabowski pstryknął w ołówek, który potoczył się po błyszczącym blacie biurka i oparł o stojak na listy. – A zwłaszcza znakomity przedstawiciel służb penitencjarnych, naczelnik naszego więzienia karno-śledczego, pan Arnold Piasecki… Żaden szef więzienia nie lubi, kiedy więzień wiesza mu się w celi…

– Zaraz, zaraz. – Popielski pomasował sobie powieki. – Czegoś tu nie rozumiem… Kto się powiesił w celi? Wiącek? Przecież pisze, że nie ma odwagi…

Grabowski przyglądał się uważnie Edwardowi, ale na twarzy tego ostatniego nie drgnął nawet mięsień.

– Dzisiaj rano w celi powiesił się Bekierski. I to przy nim znaleziono list Wiącka. – Komendant dokończył swoją kwestię, wstał i zaczął spacerować po gabinecie z rękami założonymi na plecach. – Może mi pan wyjaśni to samobójstwo? Może ktoś mu w tym pomógł? Ktoś, kogo on sponiewierał? Rękami współwięźniów?

– Nikt nie lubi zadzierających nosa arystokratów – mruknął Popielski.

– Morda w kubeł! – wrzasnął Grabowski i rozpoczął szybki spacer wokół biurka.

Po dwóch minutach zatrzymał się, sięgnął po list Wiącka, przyłożył do niego płomień zapalniczki i obserwował, jak papier zamienia się w popielnicy w szary pył.

– Nikt nie chce ponownego śledztwa.

– Najważniejsze, że mamy pewność, iż wsadziliśmy właściwego człowieka. A ten poniósł zasłużoną karę. – Popielski się uśmiechnął.

Komendant spojrzał surowo na swego podwładnego i bez słowa pokazał mu drzwi.

## EPILOG

Oslo 1988

KAMERY POSZŁY W RUCH. Telewizyjny prezenter Sverre Ĺsland patrzyů na swojego rozmówcć ze wzrastajŕcŕ niechćciŕ. Zabrakůo mu sůów,

zabrakůo mu pytań – i to wcale nie dlatego, ýe uwaýaů obejrzany film za wybitny, a historić za fascynujŕcŕ, bo wcale tak nie byůo. W gůowie czuł pustkę, ponieważ nie wiedział, jak wykorzystać ostatnie sekundy programu. Nie wiedział, o co zapytać gościa, by zaskoczyć widzów celną puentą, olśnić ich mądrym résumé, rozbawić kalamburem lub dowcipem. Przeklinał researcherów, którzy mieli mu dokładnie opowiedzieć o filmie, a zamiast tego przygotowali stereotypowe informacje o Polsce i Polakach. Kamery szumiały. Musiał coś powiedzieć. Nie można pracować w tym zawodzie, jeśli się nie ma refleksu.

– Podobał się panu ten film, profesorze?

– Niezły. – Matematyk zacisnął usta.

– Musiaů na panu zrobiă wielkie wraýenie. – Ísland uúmiechnŕů sić. – Milczy pan, a przecieý zawsze milczymy, gdy wychodzimy z kina po wstrzŕsajŕcym filmie.

– Być może. – Profesor podrapał się po łydce.

Znów kilka sekund ciszy. Ísland spojrzał na minutnik. Teraz chyba rzeczywiście nadeszła pora na pytanie ratunkowe.

– A czy teoria liczb Charona – już się cieszył na dłuższą wypowiedź matematyka – została później rozwinięta przez naukę, czy też pozostała kolejną nie rozstrzygniętą hipotezą?

Profesor zaczął się śmiać. Otworzył szeroko usta, by złapać oddech. W ich kąciki spływały mu łzy. Klepał się po kolanach wypychających szare sztruksowe spodnie. Zerwał fioletowy fular i jęczał ze śmiechu, nie mogąc zaczerpnąć powietrza.

– To doprawdy skandal! – wrzasnął nagle. – Zapraszasz mnie do studia z okazji otrzymania przeze mnie królewskiej Nagrody Abla i nie wiesz nawet, za co ją dostałem! Szanowni państwo – spojrzał w kamerę – otrzymałem ją za opracowanie liczb szumiących, zwanych liczbami Charona. Potrafię odczytać każdą opowieść o każdym człowieku zawartą w tej literowej magmie. Potrafię w niej nurkować i wyławiać ludzkie żywoty. Kilka wzorów i przekształceń, kilka minut pracy komputera i wiem, kiedy dany człowiek będzie cierpiał i kiedy umrze. Mam władzę nad ludźmi!

Wstaů i otarů fularem ůysinć. Fioletowy jedwab zaszeleúciů na czarnej wůochatej myszce, której kształt skojarzyů sić Ízlandowi z italskim butem.

– Dziękujemy panu, profesorze Sperling! – wyszeptał pobladłymi wargami.

***

Ukończyłem we Wrocławiu 15 lipca 2010 roku o godzinie 14.53.

PODZIĘKOW ANIA

POWIEŚĆ TA ZAWIERAŁABY WIELE BŁĘDÓW RZECZOWYCH, gdyby ich nie skorygowali wybitni eksperci: z zakresu matematyki – dr Piotr Borodulin-Nadzieja z Instytutu Matematycznego Uniwersytetu Wrocławskiego; z zakresu medycyny sądowej – dr Jerzy Kawecki z Akademii Medycznej im. Piastów Śląskich we Wrocławiu; z zakresu historii polskiej policji – dr hab. Robert Litwiński z Instytutu Historii Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie.

W powieści tej byłoby wiele pomyłek rzeczowych, logicznych i narracyjnych, gdyby ich nie wytropili jeszcze przed oddaniem do druku (omissis titulis): Leszek Duszyński, Witold Horwath, Zbigniew Kowerczyk, Gościwit Malinowski, Krzysztof Morta, Przemysław Szczurek i Marcin Wroński. Moim Konsultantom oraz moim pierwszym Czytelnikom bardzo dziękuję za ich trud. Za wszystkie ewentualne błędy winę ponoszę wyłącznie ja sam.